



Elizabeth Rolls



Odważna decyzja

Rozdział pierwszy

- Davidzie, chyba nie mówisz serio! Dlaczego tak nagle zapragnął mojego powrotu? Po tylu latach? Przecież nic się nie zmieniło! Zupełnie nic! - Thea westchnęła głęboko. - Jestem wciąż... - Zawahała się, widząc zaciśnięte pięści brata. - Nie chcę wracać. Co się stało, że ojciec zmienił plany?

- Nie wiem. Mam tylko pewne podejrzenia i wolałbym o tym nie mówić. Kazał mi sprowadzić cię do Londynu, to wszystko - odrzekł po namyśle David.

W zagraconym salonie ciotki Marii panował półmrok. Dorothea szczerzej otuliła się szalem, trzęsła się bowiem z zimna, choć na kominku buzował suty ogień. Jeszcze dwadzieścia minut temu robiła na drutach skarpetę, była zadowolona i spokojna. Teraz odżyły dawne strachy.

- Papa był szczęśliwy, że przez osiem lat nie musiał na mnie patrzeć - ciągnęła. - Nie pozwolił mi nawet pojechać na pogrzeb mamy. Co się odmieniło? Nie mów, że zapragnął, abym go na stare lata pocieszała!

- Wspomina o wydaniu cię za mąż.

- O nie!

- Półtora roku temu, na pogrzebie mamy, wiele osób o ciebie pytało. Dziwili się, że wciąż żyjesz w samotności, oplakując narzeczonego. Siostrzyczko, nie może tak być, pomyśl o małżeństwie. Jeśli ludzie zaczną zadawać za dużo pytań... - Urwał.

- Jeśli ludzie zaczną zadawać za dużo pytań, prawda może wyjść na jaw.

- Ojciec boi się plotek. To jeden z powodów, dla których chce cię zmusić do powrotu do Londynu.

- Zmusić?

- Kazał ci powiedzieć, że wstrzyma wypłatę pieniędzy na twoje utrzymanie - oznajmił z ponurą miną.

- Mogę zostać przy ciotce Marii.

- Napisał do niej i poinformował ją, że pojedziesz do Londynu. Ciotka mu się nie sprzeciwi, jest zależna od niego finansowo. Zdaniem ojca, osiem lat to dość czasu, aby zapomnieć o... rozczarowaniu.

Thea wykonała gwałtowny ruch, niechcący strącając na podłogę filiżankę z wystygłą herbatą. Nie ruszyła się, aby ją podnieść.

- Rzeczywiście, osiem lat to wystarczająco długo, żeby zapomnieć o „rozczarowaniu”. Zwłaszcza o takim, do którego nie doszło, jak niektórzy uważają.

Nie odpowiedział.

- Davidzie, nie pomożesz mi?

- Myślisz, że nie próbowałem odwieść go od tego pomysłu? - Zerwał się na nogi i zaczął gorączkowo przemierzać pokój.

- Wiem, że to wbrew twojej woli, a jeśli moje podejrzania są słuszne, jest w tym sporo mojej winy, ale nic nie odmieni jego planów.

- Nie zdradzisz mi, o co chodzi?

- Lepiej nie.

- Przypuszczam, że wynalazł mi przyzwoitkę?

- Zatrzymasz się u lady Arnsworth. Ona będzie twoją przyzwoitką.

Thea odetchnęła z ulgą. Ukłękła i w milczeniu zaczęła zbierać z podłogi rozbitą porcelaną. Ciotka Maria będzie zmartwiona zdekompletowaniem jej najlepszego serwisu.

Dorothea siedziała wyprostowana z otwartą książką na kolanach w kącie dyliżansu pocztowego, kołyszącego się na wybojach gościńca wiodącego z Yorkshire do Londynu. David zajął miejsce po przeciwnej stronie i czytał gazetę. Za oknem przesuwał się krajobraz północnej Anglii. Każda mila, każde uderzenie kopyt końskich o bruk przybliżały ich do Londynu.

- Myślę, Davidzie...

Uniósł wzrok znad gazety.

- Widzę. Nic nie mówisz, a ostatni raz przewróciłaś kartkę chyba z pół godziny temu.

- Przeszkadzam ci? - zapytała ze smutkiem.

- Nie. Jestem twoim bratem. Nigdy mi nie przeszkadzasz.

- Ty nieraz mi przeszkadzałeś.

- To inna sprawa, bracia są od tego.

- Papa nie może chcieć, żebym zamieszkała z nim na stałe w Londynie, nawet w Arnsworth House.

- Wcale tego nie chce. Liczy na to, że wyjdiesz za mąż.

- To się nie stanie - ucięła. - Może mnie zmusić do przyjazdu do Londynu, ale nie do małżeństwa. Jeśli nie wyjdę za mąż do końca sezonu... Jestem pewna, że zda sobie sprawę...

- Lepiej pomyśl o znalezieniu kogoś sympatycznego, komu będzie zależało na tobie, żebyś nie była zdana na wybór ojca.

David pochylił się i przykrył jej dłoń swoją dłonią. To było silniejsze od Thei, instynktownie szarpnęła się do tyłu. Zapadło przedłużające się milczenie, które przerwały słowa Thei:

- W Bogu nadzieja, że nie będę do tego zmuszona.

- Co ty sobie wyobrażasz? Siedemdziesiąt tysięcy funtów przeszło ci koło nosa! Tak się starałam, żeby utrzymać tę znajomość! A ty gdzie byłeś? W Kencie!

Richard Blakehurst cierpliwie słuchał tyrady. Z drobnymi zmianami hrabina Almeria Arnsworth powtarzała ją od kilku miesięcy.

- Pisałam do ciebie, tłumaczyłam, jakie to pilne! Teraz ona jest zaręczona z kim innym!

Dziękując w duszy bogom za tę szczęśliwą okoliczność, Richard kręcił się na połączanym „egipskim” fotelu i tęsknym wzrokiem spozierał na karafki ustawione na wspartej na parze sfinksów konsolce. Herbata, którą podano, była nie do picia: słaba, przesłodzona i zanadto zabelona śmietanką. Nie, stanowczo

nie byłoby w dobrym tonie odstawić na bok herbatę i przejść się po salonie po kieliszek brandy. Nawet jeśli gospodyni, owdowiała hrabina Arnsworth, była jego ciotką i zarazem matką chrzestną.

- Richardzie, czy rozumiesz, że skoro nie odziedziczysz tytułu hrabiowskiego z powodu egoistycznego ożenku Maksa, musisz w inny sposób zabezpieczyć swoją przyszłość?

- Nie brak mi pieniędzy, nie muszę się żenić dla majątku. - Uwaga na temat ożenku brata bliźniaka zabolęła go, dlatego dodał: - Wiedz, że nikt nie jest bardziej zadowolony z powodu małżeństwa Maksa niż ja. Cieszę się jego szczęściem.

- Nawet nie pojawił się w tym roku w Londynie!

- Nie - przyznał Richard - bo Verity spodziewa się dziecka. Braybrook obiecał informować Maksa o wszystkim, co dzieje się w Izbie. Przyjedzie, jeśli zajdzie taka konieczność.

Informacja o tym, że jej drugi siostrzeniec, hrabia Blakehurst, nie zaniedbuje parlamentarnych obowiązków, nie wystarczyła Almerii. Nie potrafiła ukryć rozdrażnienia.

- Musisz się ożenić. To twój obowiązek - nie ustępowała hrabina.

Obowiązek ciążył na najstarszych synach, dziedzicach majątku. Richard właśnie kupił niewielki mająteczek. Nie był w przymusowej sytuacji.

- Względem kogo ten mój rzekomy obowiązek, droga ciociu?

- Chodzi o ciągłość tytułu hrabiowskiego.

Tytuł hrabiowski? Tego za wiele. Od tytułu dzieliło Richarda dwóch starszych braci, co więcej, nie chciał go dziedziczyć. Oznaczałoby to, że życzył śmierci braciom. Zrezygnował z wystygłej i słodkiej jak syrop herbaty i nalał sobie kieliszek brandy. Zignorował widoczną dezaprobatę Almerii. Było za wcześnie na brandy, ale chciał się wzmocnić, aby stawić opór ofensywnie nastawionej ciotce.

Wrócił na miejsce i sącząc brandy, odezwał się łagodnym głosem:

- Almerio, śmierć Fredericka to było nieszczęście. Chyba nie oczekujesz, że podobny wypadek przydarzy się Maksowi? Na marginesie, on jest żonaty, a Verity wkrótce wyda na świat ich pierwsze dziecko. Jak to możliwe, żeby ciążył na mnie obowiązek założenia rodziny?

- Równie dobrze może to być dziewczynka - odparła Almeria z nadzieją w głosie. - Prawdę mówiąc, nie zdziwiłabym się, gdyby ta... dziwka urodziła mu tuzin córek!

- Verity nie jest dziwką - zaproponował zdecydowanie Richard.

- Może nie, ale nie ma gwarancji, że urodzi dziedzica.

To prawda, uznał w duchu Richard, nie ma gwarancji. Ponadto poród jest związany z ryzykiem.

- Nigdy nie wiadomo, jak zakończy się poród - zauważyła Almeria, jakby czytała w myślach siostrzeńca. - Jesteś bardzo nierozsądny.

Cierpliwość Richarda się wyczerpała.

- Max to mój brat bliźniak. Kocham go i Verity. Wykluczone, abym zaczął poważnie traktować możliwość, że moja bratowa umrze podczas porodu.

Almeria zaczerwieniła się, co odnotował z satysfakcją.

- Zamierzam się ożenić - dodał pojednawczo.

- Ale z kim? Było parę odpowiednich dziewcząt, kiedy siedziałeś w Kencie, ale wszystkie się zaręczyły. Nawet ta mała Scantelbury. Wprawdzie jej ojciec jest kupcem, ale miała okrągłe sto tysięcy w posagu.

- Nie jestem łowcą posagów. A poza tym znasz Maksa. Obdarzy Verity tuzinem synów podobnych do niego jak dwie krople wody. Teraz też sprawili się szybko. Są dopiero dziewięć miesięcy po ślubie.

Ciotka rzuciła mu spojrzenie, które mogłoby uśmiercić smoka.

- Powiedz mi - zmieniła nagle temat - gdzie się zatrzymałeś? Przyjechałeś wczoraj, prawda?

- Tymczasem u Braybrooka. Prawdopodobnie wynajmę mieszkanie, ponieważ planuję zostać na kilka tygodni,

Nie zamierzał mówić Almerii, że oprócz tego, że nabył niewielką posiadłość, właśnie negocjował zakup domu w mieście. Na pewno będzie wzburzona, gdy się dowie, bowiem dzielnica, w której położony był dom, Bloomsbury, nie znajdowała się na liście adresów odpowiednich dla dżentelmena.

- Weźmiesz udział w wydarzeniach tegorocznego sezonu? - zapytała z nadzieją w głosie.

- Chyba tak.

- Naprawdę? W takim razie powinieneś tutaj się zatrzymać.

- U ciebie?

- Naturalnie! Kto słyszał o wynajmowanych mieszkaniach!

- Jeśli nie zrobię ci kłopotu...

- Ależ skąd. Zostaniesz na kolacji?

- Nie, obiecałem wieczór Braybrookowi. Pójdę na Brook Street i każę przynieść mojemu służącemu rzeczy, jeśli ci to nie przeszkadza.

- Doskonale. Myles da ci zapasowy klucz.

- Dziękuję, ciociu.

- Nie ma za co. Nie myśl, że oczekuję, iż będziesz dotrzymywał mi towarzystwa. Będę zajęta. Pewnie nie wiesz, że mam opiekować się w tym sezonie Dorotheą Winslow.

- Dorotheą? Przecież przed laty...

- Podejrzewam, że myślisz o jej zaręczynach z jednym z młodszych synów Chasewatera?

Richard pamiętał aż nadto dobrze. Niespełna siedemnastoletnia Thea Winslow została zaręczona z Nigelem Lallertonem, trzecim synem nieżyjącego dzisiaj hrabiego Chasewatera. Młody człowiek szykował się do kariery parlamentarnej, szukał więc panny z dużym posagiem. Lallerton zginął w wypadku na polowaniu.

- Myślałem, że otrząsnęła się z żałoby i wyszła za mąż.

- Niestety, nie. Co za niezwykła lojalność! Nigel Lallerton nie żyje od lat.

Richard pamiętał, że Thea wycofała się z życia towarzyskiego po śmierci Lallertona, To zupełnie zrozumiałe, jeśli zaangażowała się uczuciowo. Ale żeby przez tyle lat nie wyjść za mąż? Czyżby aż tak bardzo kochała narzeczonego? Nie przepadał za Lallertonem.

- Nie może oplakiwać go bez końca. Podejrzewam, że Aberfield uznał, iż czas najwyższy...

Richard nie miał wątpliwości, co chciała powiedzieć ciotka: Thea musi wyjść za mąż. Wymagają tego polityczne ambicje jej ojca.

- Aberfield prawdopodobnie sprowadziłby ją do Londynu już w zeszłym roku, gdyby nie żałoba po biednej lady Aberfield. To nienaturalne, by Dorothea marnowała życie dlatego, że jej pierwszy wybranek pożegnał się z tym światem. Aberfield liczy na korzystny związek, ale Dorothea jest już praktycznie starą panną i żadna z niej piękność. Myślę, że mimo to otrzyma jakieś propozycje.

- Chyba nie zaliczasz mnie do grona kandydatów do jej ręki, ciociu? - zapytał Richard.

- Uchowaj Boże! - wykrzyknęła. - Zresztą nie sądzę, by Aberfield uznał twoją kandydaturę za korzystną.

- Nie wiedziałem, że moja kandydatura w ogóle wchodzi w grę.

- Oczywiście, że nie - odrzekła z irytacją Almeria. - Wprawdzie gdy Aberfield napisał do mnie z prośbą, abym podjęła się roli przyzwoitki Thei, pomyślałam o tobie. W końcu kiedyś ją lubiłeś.

- Była dzieckiem, Almerio. Nie myślałem o niej jako o przyszłej pannie na wydaniu.

- Domyślam się, że Aberfield wybadał teren. Szuka politycznego sojusznika w osobie kogoś bardzo potężnego, możesz być pewny.

- Bardzo rozsądnie - rzekł sarkastycznie Richard, tłumiąc nagły przypływ irytacji na myśl, że Thea ma być użyta w charakterze spoiwa dla planowanego przez ojca sojuszu politycznego.

Almeria zajęła się wyliczaniem, kto mógłby zaspokoić oczekiwania wpływowego wicehrabiego i dostać jego córkę za żonę, a na zakończenie powiedziała:

- Zapomniałam cię poinformować, że Thea przyjeżdża dzisiaj po południu.

Wiadomość zelektryzowała Richarda. Aberfield House stał po drugiej stronie Grosvenor Square. Może Thea zajrzy tutaj? Miło byłoby ją zobaczyć.

Aberfield House nie zmienił się od czasu, gdy Thea była tu po raz ostatni osiem lat temu. Szkoda, że nie pozwolono jej najpierw udać się do Arnsworth House, aby mogła się umyć i przebrać, ale najwidoczniej ojciec chciał ją widzieć bez zwłoki. Lord Aberfield i tak znalazłby coś niewłaściwego w jej wyglądzie, a gdyby mu się to nie udało, okazałby niezadowolenie z innego powodu. W odpowiedzi na ciche pukanie Davida rozległo się głośnie wezwanie, aby weszli do biblioteki.

Lord Aberfield siedział w fotelu przed kominkiem. Zabandażowaną nogę oparł na podnóżku. Thea wiedziała, co to znaczy: będzie dodatkowo nieprzyjemny z powodu podagry. David podprowadził siostrę do fotela. Uśmiechnął się do niej zachęcająco, a ojcu rzucił ostrzegawcze spojrzenie.

- Dzień dobry, ojcze.

- Nie spieszyło ci się za bardzo, co?

- Następnym razem wynajmę skrzydlate konie. - David nie przejął się tą zaczepką.

Lord Aberfield spojrzał na niego spode łba, po czym utkwiał wzrok w córce.

- Siadaj. Nie zamierzam marnować całego dnia. A ty - zwrócił się do syna - poczekaj na zewnątrz, zaprowadzisz ją do Almerii Arnsworth. Nic tu po tobie.

- Nie, ojcze - sprzeciwił się David. - Zostanę.

- Po cholere! I tak już namąciłeś, pisząc kłamliwe listy.

Na twarzy Davida pojawił się wyraz zadowolenia. O to chodzi! - pomyślał. Otrzymał moje listy.

- Wynocha.

- Idź do diabła, ojciec.

Thea nie posiadała się ze zdumienia. David mówił spokojnym głosem, jakby wymieniał grzecznościowe formułki na powitanie. Nie rozumiała, w czym rzecz. Do kogo pisał David i co to ma wspólnego z jej przybyciem do Londynu?

Lord Aberfield skupił uwagę z powrotem na córce.

- Daruj sobie tę świętoszkowatą minę - rzucił w jej stronę. - Nie zmylisz mnie, znam cię.

- Dosyć tego! - przerwał mu David.

- Przypuszczam, że powiedział ci, dlaczego po ciebie posłałem. Bezcelny szczeniak.

- Nie - odparła Thea.

- Nie? - Aberfield poczerwieniał ze złości. - Śmiesz mi przeczyść...

- Nie mam pojęcia, dlaczego po mnie posłałeś.

- Nie przerywaj mi! Banda głupców! Powiedział ci, że zatrzymasz się u Almerii?

- Tak, ojciec, ale nie rozumiem dlaczego.

- Bóg jeden wie, za jakie grzechy mnie tobą pokarał. - Aberfield spojrzał na Davida. - Sytuacja się zmieniła. - Zebrał ze stolika plik papierów i rzucił je w stronę córki. - Czytaj, jeśli potrafisz! Co za cholerny bałagan. Myślałem, że jasno postawiłem sprawy tamtemu idiocie, ale ten się wtrącił...

- Zrobiłem, co uważałem za słuszne - powiedział David.

- David mocno namieszał, niech go szlag! Mimo to. poślubisz tego, kogo ja ci wskażę!

Thea spojrzała na brata. Przybrał przeproszającą minę.

- Czytaj, Theo - poprosił łagodnym głosem.

Pierwszy dokument okazał się listem z londyńskiej kancelarii prawniczej, informującym Aberfielda, że kilka miesięcy wcześniej zmarł w Bombaju jego szwagier, nieodżałowanej pamięci Theodore James Kirkcudbright. Wuj Theo był ojcem chrzestnym Thei a ona była jego dziedziczką. Kiedyś.

Czytała dalej. Prawnicy załączyli do listu kopię testamentu zmarłego, który w ich opinii różni się znacznie od wcześniejszego dokumentu wyrażającego jego ostatnią wolę. Były jeszcze dwa listy od nieżyjącego pana Kirkcudbrighta: jeden do szwagra, piątego wicehrabiego Aberfielda, drugi do chrześniaczki Dorothei Sophie Winslow, jedynej córki wicehrabiego Aberfielda. Prawnicy wyrażali nadzieję, że listy dostatecznie jasno odzwierciedlają intencje pana Kirkcudbrighta.

Zaciekawiona Thea skupiła uwagę na liście adresowanym do niej.

Moja kochana Dorotheo!

Będę już w grobie, gdy ten list dojdzie do Ciebie, i mogę się tylko modlić, że Twój brat nie omylił się, zapewniając mnie o Twojej względnej niewinności w sprawie, którą relacjonował mi przed kilkoma laty Twój ojciec. Zrozumiesz więc, że przywracając Cię w swoim testamencie, nałożyłem bardzo ścisłą kontrolę nad sposobami dziedziczenia, aby nie narażać Cię znowu na wkroczenie na drogę pokusy. Nie jest moją intencją wynagradzanie grzechu, ale udowodnienie mojej dobrej wiary i umożliwienie Ci korzystnego zamążpójścia.

Pozostaję Twoim kochającym ojcem chrzestnym i wujem.

Theodore Kirkcudbright

To David przekonał wuja, żeby ją na powrót uczynił swoją spadkobierczynią. Thea wzięła do ręki list adresowany do ojca.

- To do ciebie - zawahała się.

- Czytaj! - polecił. - Cholerny głupiec! Ostrzegałem go, pisałem, kim jesteś, a on robi coś takiego!

Trzymała list drżącymi rękami. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Ma dostawać dwieście funtów rocznie? Od dwudziestego piątego do trzydziestego roku życia. Jeśli w tym czasie wyjdzie za mąż za zgodą ojca, w dniu zamążpójścia otrzyma resztę spadku. Wuj Kirkcudbright dowiedział się od Davida, że Thea nie ponosi całej winy, że w znacznej mierze zawiniła nierozsądna postawa lorda Aberfielda.

Thea uzmysłowiła sobie sens przeczytanego fragmentu. Dwieście funtów rocznie! Dwudzieste piąte urodziny wypadają za trzy miesiące. Będzie wolna, niezależna. A co po trzydziestych urodzinach? Wróciła do lektury testamentu. Były w nim różne drobne zapisy, ale największy wuj przeznaczył dla niej. Po ukończeniu trzydziestego roku życia miała otrzymywać cały dochód od zapisanej sumy. Oszołomiona uniosła wzrok i napotkała niezadowolone spojrzenie ojca.

- No i co? - zapytał. - Powiedziałem mu, co się stało! A on wyskoczył z czymś takim! Teraz już nie ma wyjścia: musisz wyjść za mąż!

- Pod warunkiem, że Thea tego chce - wtrącił David. Aberfield zignorował uwagę syna.

- Z pięćdziesięcioma tysiącami nietrudno będzie dobić targu - powiedział. Dokumenty wypadły z rąk Thei.

- Pięćdziesiąt tysięcy?

- Coś koło tego. Ulokowanych w funduszu powierniczym, ma się rozumieć. Mimo interwencji Davida Theodore zachował choć tyle rozsądku. Bądź pewna, nigdy nie zobaczysz więcej niż dwieście funtów na rok, jeśli nie wyjdiesz za mąż według mojej woli.

Dwieście na rok do trzydziestych urodzin. Thea nie odzywała się, zbierając papiery z podłogi. Otrzyma te pieniądze za niecałe trzy miesiące. Do tego czasu musi koniecznie odwlekać matrymonialne plany ojca.

- Niech ci nie przyjdzie do głowy, że po dwudziestych piątym urodzinach zdobędziesz niezależność - ostrzegł Aberfield, jakby czytał w myślach córki. -

Zanim to nastąpi, będzie po ślubie. Prawdę mówiąc, będzie po ślubie jeszcze przed końcem tego sezonu. Wyjdiesz za Dunhavena - dokończył triumfalnym tonem.

- Dunhavena? Na litość boską, ojcze! Czy jesteś przy zdrowych zmysłach?! - wybuchnął David.

Aberfield uderzył dłonią w oparcie fotela.

- A któż inny by ją chciał? - Obrzucił pogardliwym spojrzeniem córkę. - Nie ma co wybrzydzać. Chodzi o to, żeby ją wydać.

- Thea - zaczął David - wcale nie musisz...

Dała mu znać dłonią, aby zamilkł. Jej samopoczucie zmieniło się gruntownie. Teraz nie była już pozbawiona możliwości wyboru.

- Przypuszczam, że lord Dunhaven owdowiał? - zapytała, pragnąc zyskać na czasie.

- Właśnie zakończył żałobę - potwierdził Aberfield. - Szuka nowej żony.

Thea gorączkowo się zastanawiała, jak powinna postąpić. Najbezpieczniej byłoby udawać, że akceptuje plany ojca oraz nie okazywać otwarcie nieposłuszeństwa. Dowiódł już wcześniej, że nie cofnie się przed niczym, żeby wymusić na niej uległość.

- Chętnie odnowię znajomość z lordem Dunhavenem. To wszystko, ojcze? Nie wątpię, że będę bezpieczna pod dachem lady Arnsworth.

Zauważyła, że David zrozumiał, o co jej chodzi.

- Pamiętaj, tym razem zrobisz, co ci każę - odezwał się ojciec. - Nie spodziewaj się, że ci pomogę, jeśli wystawi cię do wiatru ktoś inny.

- Nie myślę, że coś takiego mogłoby mi przyjść do głowy - odparła Thea, tracąc powoli cierpliwość.

- Panna i pan Winslow, milady - zaanonsował Myles.

Mówiąc to, spojrział w stronę Richarda, który mógłby przysiąc, że wzrok kamerdynera wyrażał sympatię, ale i rozbawienie. Miał rację. To pułapka, i Myles o tym wiedział. Almeria poderwała się z fotela.

- Witajcie. Jesteście na pewno bardzo zmęczeni. Mam zadzwonić, aby podano herbatę?

Wygląd Thei Winslow zaskoczył Richarda. Ubrana w szarości, w skromnym czepku i pelerynce wyglądała raczej na guwernantkę niż dziedziczkę sporej fortuny. Nawet jej policzki były szare. Czyżby nadal opłakiwała Lallertona? Ich spojrzenia się skrzyżowały. Najwyraźniej go nie rozpoznała.

Ale czy on by ją poznał? Oczy miały ten sam szary odcień, co ubranie. Dawniej były niebieskie. Pamiętał też żywą, pełną ekspresji twarz Thei, tak odmienną od obecnej nieruchomej maski. Sprawiała to żałoba?

Thea zachnęła się na widok dżentelmena w salonie lady Arnsworth. Wstał i obdarzył ją przyjacielskim uśmiechem. Wyglądał znajomo... Wysoki, szczupły, ciemne brązowe oczy, twarz lekko poorana... Nie, to niemożliwe...

- Myślę, że pamiętacie mojego siostrzeńca, Richarda Blakehursta.

Jednak to on. Siostrzeniec i chrzestny syn lady Arnsworth. Jako chłopiec po upadku z konia spędził ze złamaną nogą kilka miesięcy w Arnsworth House. Nie było pewne, czy będzie mógł chodzić bez kul.

Pierwszy odezwał się David.

- Blakehurst, nie spodziewałem się ciebie tutaj - powiedział lodowatym tonem.

- Ja również, Winslow. Co u ciebie? - zrewanżował się równie zimno Richard.

- W porządku.

Thea poczuła, że palą ją policzki. Czy David uważa, że grozi jej coś ze strony Richarda?

- Pamięta mnie pani? - zwrócił się do niej Blakehurst.

- Tak... pamiętam. Jak się pan miewa? Spojrzała mu w twarz. Jakie wyraziste rysy...

- Dziękuję, dobrze, panno Winslow. Miło panią znowu widzieć.

Wpadła w panikę, gdy podszedł z wyciągniętą dłonią. Spodziewał się, że mu poda rękę. Chciał jej dotknąć. Przecież znała go jeszcze jako chłopca, tłumaczyła sobie w duchu. Tyle że Richard Blakehurst nie jest chłopcem. Wysoki, szeroki w barach, dorosły mężczyzna. Opanowała panikę i wyciągnęła dłoń. Uścisnął ją delikatnie, a Theę niespodziewanie przeniknęło uczucie ciepła.

Milczenie przerwała lady Arnsworth.

- Usiądź, Dorotheo. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności, że Richard cię tu spotkał. Nie widzieliście się od lat.

- Chyba od ośmiu...

Richard był na jej balu debiutanckim. Wtedy dotknięcie jego dłoni nie zrobiło na niej takiego wrażenia.

- Za to pana Winsłowa spotykasz od czasu do czasu, prawda, Richardzie?

- Nie za często.

Thea starała się nadażyć za lady Arnsworth, przedstawiającą plan spotkań towarzyskich, na które zamierzała zaprowadzić podopieczną. Aprobując kiwała głową. Richard musi mieć ze trzydzieści dwa lata. Był około ośmiu lat od niej starszy. Przyglądała mu się ukradkiem.

- ...no i Almack, oczywiście. Nie powinno być kłopotu z biletami - kontynuowała lady Arnsworth.

Ciekawe, czy nadal zasiada do szachów. Dobrze im się kiedyś razem grało. Teraz chyba również by się udało. Spokojne spojrzenie i opanowanie to dobry prognostyk. Dlaczego zatem jego dotknięcie podziało na nią tak pobudzająco?

- ...jak się dowiedzą, że Dorothea jest w Arnsworth House, zaproszenia się posypią. Lord Dunhaven już zostawił swoją wizytówkę.

Na wzmiankę o Dunhavenie Richard skrzywił się z pogardą. David także wyraził dezaprobatę, co nie dziwiło, zważywszy na uwagi, jakie wygłaszał na jego temat, gdy szli przez plac z domu ojca do Arnsworth House.

- Nie wątpię, że wszyscy będą chcieli poznać szlachetną pannę Dorotheę Winslow, możecie być pewni - zakończyła lady Arnsworth. Zabrzmiało to, jakby chciała powiedzieć: szlachetną i bogatą pannę Winslow.

- Bez wątpienia - potwierdził Blakehurst. - Jakże inaczej?

Theę dotknęła ta lekko zawoalowana ironia i chciała zareagować, ale się powstrzymała. Musi kontrolować swoje reakcje. Nie może sobie pozwolić na odkrycie kart. Lady Arnsworth posłała Richardowi ostrzegawcze spojrzenie.

- Może zechciałabyś teraz pójść na górę i nieco odpocząć? - zapytała Dorotheę. - Kolacja jeszcze nie tak prędko. Tymczasem każę ci posłać tacę z herbatą, dobrze?

- Panie Winslow, proszę poinformować lorda Aberfielda, że Dorothea jest u mnie bezpieczna. Mój siostrzeniec odprowadzi pana do drzwi. Żegnam was obu.

RS

Rozdział drugi

W drodze do sypialni lady Arnsworth rozgadała się na temat uciech, jakie oferuje Londyn. Zwłaszcza młodym, majątnym damom.

- ...takim jak ty, Dorotheo! - podkreśliła.

- Tyle że ja... - Jak powiedzieć chrzestnej matce, że ona nie wybiera się za mąż. - Ja nie życzę sobie gromady starających się łowców posagów.

W sypialni pokojówka rozpakowywała jej rzeczy.

- Nie obawiaj się. Nic takiego ci nie grozi - zapewniła Almeria. - Myślę, że będzie ci wygodnie w tym pokoju. Nie martw się o łowców posagów. Zaufaj mi. - Odprawiła ruchem dłoni pokojówkę, która uporała się z bagażami Thei. - Rozgość się i daj mi znać, jeśli czegoś będziesz potrzebowała.

- Dziękuję. Nie martwią więc pani łowcy posagów?

- Moja droga, widzę, że jesteś bardzo rozsądna. Naturalnie skupi się na tobie pewne zainteresowanie, ale bądź spokojna, starannie prześwietlę kandydatów do twojej ręki. Zostaną ci przedstawieni tylko najbardziej odpowiedni. Dwóch, najwyżej trzech.

- Prawdę mówiąc, w ogóle nie planuję zamążpójścia. Wszelka myśl o tym... budzi we mnie odrazę.

- Wiem, twój ojciec wspomniał o tym. To się zdarza. - W głosie lady Arnsworth Thea nie dosłyszała dezaprobaty. Spojrzała na nią zdziwiona. - Generalnie trudno to zaakceptować, ale w szczególnych okolicznościach... Twój posag jest znaczny. Nie musisz się przejmować. - Lady Arnsworth pochyliła głowę, poprawiając mankiety przy rękawach. - Naturalnie w ciągu długich lat... hm... żałoby... miałaś dużo czasu na rozmyślania.

- Zapewne.

- Twoje odczucia są całkiem zrozumiałe. Wychodzę wieczorem. Jutro pojedziemy na zakupy. Potrzebujesz nowej garderoby. Poczujesz się w niej odmieniona. - Z tymi słowami lady Arnsworth opuściła pokój.

Na samą myśl, że kilka najbliższych miesięcy będzie wywoływała zainteresowanie hałaśliwego i rozplotkowanego światka londyńskiego, który zwróciłby się przeciwko niej, gdyby znał prawdę, Thei zrobiło się niedobrze. Znowu poczuła się osaczona, schwyтана w pułapkę. Opanowała jednak fizyczny lęk, wyrównała oddech. Nadal drżała, ale umysł miała jasny. Wtedy pojawiła się wątpliwość, czy to nie szaleństwo wyobrazić sobie, że zdoła zrealizować swój plan?

Po wyjściu Almerii i Thei Richard zmełł cisnące się na usta przekleństwo. Jedyne, co mógł zrobić, to podziwiać kunszt, z jakim została na niego zastawiona pułapka.

- Co za przypadek, że się tu znalazłeś, aby powitać moją siostrę - odezwał się zgryźliwie David.

- Żebyś wiedział. Może usiądziesz?

- Zatrzymałeś się w mieście? - odparł pytaniem David. Nie zajął miejsca.

- Tak. Prawdę mówiąc, tutaj.

Cisza, która zapadła po tym oświadczeniu, aż dźwięczała w uszach. Richard usiadł i czekał. Ze spojrzenia szarych oczu Davida wyzierała nieskrywana wrogość.

- Jaka to... wygoda - zauważył ironicznie.

W Richardzie wezbrał gniew. David Winslow odgrywał rolę opiekuńczego starszego brata, ale Richardowi nie mieściło się w głowie, dlaczego wymyślił sobie, że Thea potrzebuje ochrony akurat przed nim.

- Należę ci brandy - zaproponował, nie okazując irytacji. David odmówił.

- Zaraz wychodzę - poinformował.

- Zobaczymy się wkrótce. Domyślam się, że będziesz odwiedzał siostrę.

- To oczywiste. Choćby po to, żeby mieć na oku hołotę, która zazwyczaj kręci się wokół dziedziczek wielkiej fortuny.

Richard oniemiał. Od dawna nikt nie rzucił mu w oczy takiego oskarżenia.

- Nie wołaj lokaja. Sam znajdę drzwi. - David skłonił się niedbale i wyszedł.

Richard zaklął soczyście. Wiedział, że posag Thei musi być znaczny, ale określenie „dziedziczka wielkiej fortuny” sugerowałoby, że w grę wchodzi rzeczywiście duże pieniądze. Almeria miała skłonność do stawiania na jego drodze posażnych panien, co niekiedy było dla niego źródłem zakłopotania, nigdy jednak nie wiązało się z zagrożeniem. Tymczasem David Winslow najwyraźniej był gotów na wszystko.

A sama Thea? Zaszła w niej zmiana, ale nie sprawił jej upływ czasu. Nie chodziło o przeistoczenie się młodej dziewczyny, tuż przed debiutem, w młodą kobietę.

Thea-dziewczyna była radosna, szczebiotliwa, skora do żartów. Thea-kobieta wyglądała na wpół zagubioną, przygnębiającą. Ożywiła się na moment, gdy spotkały się ich dłonie. Co do jej majątku, o którym jeszcze nikt nie wiedział, Winslow miał rację. Łowcy posagów zlecają się jak pszczoły do miodu.

Zanim Almeria ponownie zjawiła się w salonie, Richard przemyślał sytuację i sprowadził ją do właściwego wymiaru. Ciotka chciała go wyswatać, to jasne.

- Chyba zapomniałam ci powiedzieć, że Dorothea będzie moim gościem przez cały sezon. To szokujące, jak człowiek zaczyna tracić pamięć w starszym wieku - oznajmiła lady Arnsworth.

Richardowi chciało się śmiać, ale zachował powagę.

- Rzeczywiście - przyznał.

Oczywiście nawet nie odważyłby się sugerować, że Almeria posunęła się w latach, ale jak mogła oczekiwać, że on uwierzy, iż wszystko to nie było

ukartowane. Jego zdaniem powinna postępować nieco subtelniej. Natomiast sam postanowił zachować się mało subtelnie.

- Almerio, co ty knujesz? - zapytał, nie owijając w bawełnę.

- Ja? Knuję? Co też ci przychodzi do głowy, Richardzie?

- Nie kręć i nie trać czasu. Zdradź, jakim majątkiem dysponuje Thea. Nie wiedziałem, że w ogóle coś ma.

- Odziedziczyła po ojcu chrzestnym. Nie jest to jakaś przesadnie wielka fortuna.

- A ile to wynosi?

- Zaledwie pięćdziesiąt tysięcy. Zarobionych na handlu, naturalnie - dodała z lekceważącym grymasem Almeria.

Zaledwie pięćdziesiąt tysięcy! Do wszystkich diabłów! Jeśli tyle wchodzi w grę, Richard nie byłby zdziwiony, gdyby Almeria miała w torebce zgodę sądu kościelnego na przyspieszony ślub, a biskup czekałby w drugim salonie.

- Almerio, wyjaśnijmy coś sobie. Zamierzam się ożenić, ale nie będę polował na majątek.

- Dajże spokój! Oczywiście, kiedy Aberfield poprosił mnie, żebym wzięła pod swoje skrzydła Theę, pomyślałam o tobie. Przecież i tak zamierzałeś mnie odwiedzić.

- Zamierzałem?

Richard nie mógł sobie przypomnieć, żeby miał taki pomysł. Zaproszenie Almerii do odwiedzenia jej zaraz po przyjeździe do Londynu przyszło całkiem nieoczekiwanie.

- Planowałam cię zaprosić.

W momencie, gdy pod jej dachem znalazła się posażna panna, to rozumiało się samo przez się, uznał.

- Richardzie, musisz mądrze się ożenić! Potrzebujesz odpowiedniej żony! Zwłaszcza teraz, gdy kupiłeś posiadłość w Kencie. Zakładam, że chcesz mieć spadkobiercę.

Rozsądek podpowiadał Richardowi, żeby wstrzymać się od uwag.

- Jeśli mowa o pozostawieniu spraw własnemu biegowi - wróciła do poprzedniego tematu - widzimy, jakie są tego oplakane skutki na przykładzie niefortunnego ożenku Maksa.

- Dosyć! - przerwał ostrym tonem Richard, a po chwili dodał już nieco łagodniej: - Almerio, nie wyobrażam sobie mojego pobytu u ciebie, jeśli ciągle będziesz krytykowała Maksa i Verity. On jest szczęśliwy. Czy to się dla ciebie nie liczy?

Lady Arnsworth poczuła się urażona.

- Jak długo potrwa, zanim ona zrobi coś niegodnego?

Tego już za wiele, pomyślał Richard.

- Na przykład co? Przyprawi mu rogi?

- Właśnie!

- Będzie musiał sobie z tym poradzić, tak jak potrafi. Jak radził sobie nasz ojciec - uprzedził ripostę Almerii.

Nie odezwała się.

- Myślisz, że nie wiedziałem? Tamtego lata, kiedy złamałem nogę, mieszkałem z tobą. Wszystko widziałem.

Twarz Almerii pokryła się rumieńcem.

- Moja siostra była przynajmniej dyskretna! - wykrzyknęła ze złością. - Nie twierdzę, że pochwalałam jej zachowanie, ale nie okryła rodziny wstydem!

Wstała i opuściła pokój. Zamknęła za sobą drzwi z taką energią, że gdyby nie chodziło o dystyngowaną damę, można by stwierdzić, że trzasnęła drzwiami.

Richard pociągnął spory łyk brandy z kieliszka. Co robić?

Rozmowa z Almerią potoczyła się w złym kierunku. Plan pogodzenia jej z Maksem nie wypalił. Rozjuszył ją tym, że nie rozumie, iż zrujnował swoje widoki na przyszłość. Zamierzała więc to naprawić, swatając go z panną dysponującą pięćdziesięciotysięcznym posagiem.

Aberfielda chyba szlag by trafił, gdyby dowiedział się, jaką grę prowadzi Almeria. Bogaty wicehrabia nie miał widoków na miejsce w rządzie, ale zachował dość wpływów wśród tych, którzy je mieli.

Ciotka porywała się z motyką na słońce. Aberfield nigdy nie zgodzi się na małżeństwo córki z młodszym synem zamożnej rodziny, ale pozbawionym wszelkich ambicji politycznych i „dynastycznych” do tego stopnia, że nie konkurował z bliźniaczym bratem o hrabiowski tytuł.

Nigel Lallerton był młodszym synem, przypominał sobie Richard. Fakt ten miał jednak drugorzędne znaczenie, albowiem Lallertonowi zagwarantowano bezpieczne miejsce w parlamencie, gdzie mógłby zabiegać o interesy swojego ojca. Nie mówiąc już o interesach Aberfielda. Ojciec Lallertona, lord Chasewater, był starym politycznym wyjadaczem. Nic dziwnego, że ułożyli między sobą to małżeństwo. To przypadek i wielkie szczęście, że Thea zakochała się w Lallertonie.

Richard wyciągnął zdrętwiałą nogę. Co robić?

Gdyby wrócił na wieś, ciotka pomyślałaby, że obraził się na nią za to, co powiedziała o Verity. Max kochał żonę i dbał o jej dobre imię, ale po co narażać bratową na gniew Almerii. Richard nie chciał, aby rozdźwięk między Maksem a Almerią się powiększał.

Zapewne ciotka się obrazi, jeśli on wyjedzie. W gruncie rzeczy go kocha. Gdy złamał nogę i groziło mu kalectwo, przyjechała do Londynu i opiekowała się nim tak długo, aż lekarze zezwolili mu na powrót do domu. Dwunastolatek ze złamaną nogą, zagrożony wózkiem inwalidzkim, nie zastanawiał się, czy ciotce należy się jakaś szczególna wdzięczność. Okazała mu wiele uczucia, kupowała książki, kazała kucharce piec codziennie jego ulubione ciasto. Tolerowała nawet jego psa, chociaż nie akceptowała zwierząt w mieszkaniu.

Matka, chociaż tyle mówiła o poświęcaniu się dla synów, tamtego lata nie zrezygnowała z udziału w licznych spotkaniach towarzyskich w wiejskich

rezydencjach przyjaciół. Na początku nie rozumiał, dlaczego Almeria zajęła jej miejsce.

Energiczna, rzeczowa, wielokrotnie wypominała mu pomysł dosiadanania tamtego przeklętego konia, ale była przy nim, podczas gdy matka zatrzymywała się przelotnie w Londynie między jednym przyjęciem a drugim i jej jedyną radą na cierpienia chłopca było podawanie laudanum. U boku matki tkwił stale lord Ketterley. Richard skrzywił się. Ketterley sprawiał na nim przyzwoite wrażenie. To cyniczny i zbuntowany Max wszystko odkrył.

Almeria nie miała nic przeciwko temu, że Myles zaraził Richarda miłością do szachów. Pewnego dnia oznajmiła:

- Droga Dorothea zamieszka z nami. Też chciałaby nauczyć się grać w szachy.

Dwunastoletni Richard był mocno niezadowolony, że musi znosić towarzystwo „drogiej, małej Dorothei”. Uczył ją gry w szachy dla świętego spokoju.

Z rozczeniem wspominał teraz małą dziewczynkę, pochyloną nad szachownicą, zagryzającą z przejęcia wargi. Nieustannie odgarniała na boki opadającą na oczy grzywkę. Nawet kiedy miała szesnaście lat i debiutowała w towarzystwie, jej nieposłuszne loczki wciąż wymykały się z uczesania. Przekomarzał się z nią z tego powodu. Dzisiaj trudno byłoby powiedzieć, czy w ogóle ma jakieś włosy pod tym okropnym czepek. Równie dobrze mogłaby być łysa. Nie znał się na modzie, ale potrafił odróżnić twarzowy czepek od bezkształtnego nakrycia głowy.

Nawiedziła go dziwna myśl: czy zdoła pomóc Thei? A czy ona tego potrzebuje? Bogata dziedziczka? Nawet takie potrzebują przyjaciół, odpowiedział sam sobie. Z pewnością Almeria wykorzysta każdą sposobność, żeby ich skojarzyć. Czy on ma być na tyle nierozsądny, żeby ją w tym wspierać? Wspomnienie szarych oczu, które powinny błyszczeć, podczas gdy były przysgaszone, sugerowałoby, że będzie nierozsądny.

Westchnął. Byłoby chyba wskazane osobiście poinformować Braybrooka, że u niego nie zostanie.

Julian, lord Braybrook, przyjął wiadomość zadziwiająco spokojnie.

- Aha - mruknął i dopiero po chwili zapytał: - Nie odpowiada ci kuchnia, stary? Łóżko nie dość miękkie?

Richard się roześmiał.

- Jeśli chodzi o jedzenie, to kompletnie niestrawne i zimne. Szybko się zorientowałeś.

- Dziękuję - odparł sucho Braybrook. - Ricky, na litość boską! Oszalałeś? Właśnie złożył mi wizytę zgorszony brat.

- David Winslow?

- Ma tylko jednego.

- Zapomniałem, że się przyjaźniliście. Ostatnimi laty nie bywał za często w Londynie.

- Nie, lecz pamiętał, że znam ciebie. Wyobrażasz sobie, jak byłem zaskoczony, gdy poinformował mnie, że postanowiłeś zatrzymać się u lady Arnsworth. O ile sobie przypominam, pierwotnie planowałeś wynająć mieszkanie.

- Nie jest tak, jak myślisz - powiedział Richard.

- Jasne, że nie. Zachowałem dyskrecję. Nie poinformowałem Winsłowa, że pomysł z zamieszkaniem u lady Arnsworth jest świeżej daty.

- Do jasnej cholery, Julian! Nawet nie wiedziałem, że ciotka spodziewa się panny Winslow, kiedy dałem się jej namówić, żeby u niej zostać!

- Nie bądź naiwny. Wiem, że nie połujesz na posag. Próbowałem nawet przekonać o tym Winsłowa. Ze zwykłej ludzkiej ciekawości chciałbym wiedzieć, dlaczego przyjąłeś zaproszenie lady Arnsworth. Niezależnie od moich niewygodnych łóżek i niestrawnej kuchni.

Mimo całej irytacji Richard się roześmiał. Przecież nie wyjawia Julianowi tego, że zmartwił się stanem Thei, bo przyjaciel mógłby wyciągnąć niewłaściwe wnioski.

- Jak wiesz, Almeria ciągle nie może pogodzić się z ożenkiem Maksa - zaczął.

- Słyszałem.

- Tak? - Richard się zaniepokoił.

- Dostałem list od mojej macochy.

Serena, wdowa po lordzie Braybrooku, była unieruchomiona na wózku inwalidzkim.

- Tak?

- Napisała do niej lady Arnsworth.

- Przypuszczam, że udzielała rad, jak cię ożenić.

- Zgadza się. Przypadek Maksa posłużył jej za odstrasżający przykład, ilustrujący, co się stanie, jeśli mężczyźni pozostawią sobie swobodę decydowania w tej materii.

- Irytujące - orzekł Richard - ale co w tym nowego? Dzisiaj powiedziała mi to samo. Jest podwójnie wściekła z powodu mającego przyjść na świat dziecka.

- Przypuszczam. Czy kwestionowała ojcostwo dziecka?

- Co takiego?!

- W liście do Sereny znalazły się pewne aluzje.

- Wyrwała się z tym już raz w zeszłym roku.

- Wobec ciebie? - I Maksa.

- To by wyjaśniało, dlaczego Max jej nie odwiedza.

- Właśnie z tego powodu zgodziłem się u niej zostać. Chciałem przekonać ją, że ożenek Maksa nie skazał mnie na nędzę, i zapobiec ostatecznemu zerwaniu stosunków między nią a moim bratem.

- Kwestionowanie ojcostwa dziecka mogłoby do tego doprowadzić.

- Max nie chce zerwania, ale jeśli będzie musiał wybrać między Almerią a Verity, jest oczywiste, jak postąpi.

- Nie ma wątpliwości. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego lady Arnsworth tak bardzo zależało na tym, żeby Max się nie żenił.

- Max ci nie mówił?

- Nigdy nie pytałem.

- Wszystko zaczęło się od mojego wypadku. Mama i ciotka obwiniały Maksa, że rzucił mi wyzwanie, i twierdziły, iż dlatego dosiadłem tego konia. Nieważne, że mogłem się nie zgodzić. Pomysł był jego i jego wina. Rodzina planowała, że wstąpię do armii. Moja niesprawna noga zniweczyła ten zamysł, więc według matki Max powinien to zrobić. W zanadrzu trzymali też dla niego karierę kościelną.

Braybrook nie krył zdziwienia.

- Sam widzisz. Myślę, że Max wolał armię. Był lepiej do niej predestynowany niż ja. Ale wtedy tuż po ojcu zmarł Freddy i Max odziedziczył tytuł hrabiego. Zamiast nalegać na niego, żeby się ożenił i zapewnił rodzinie sukcesję, matka i Almeria zdecydowały, że ze względu na mnie powinien pozostać kawalerem.

- Co za melodramat! - zauważył Julian.

- Ja nie brałem tego serio, ale Max owszem. A przecież żył w poczuciu winy za mój wypadek. Matka i Almeria zdołały mu to wmówić.

- I uważały, że byłeś gorzko rozczarowany, że nie zostałeś hrabią.

- Mam dość pieniędzy na swoje zachcianki.

- A jeśli ci zabraknie, zawsze będziesz mógł poślubić pannę

Winslow. Nie odrzucaj tej możliwości. Chcesz na złość babci odmrozić sobie uszy? A może to wymarzona partia dla ciebie?

- O ile jej brat wcześniej mnie nie zastrzeli.

- Istnieje pewne ryzyko. Zastanawiałeś się nad tym, jak uspokajająco podziałaby na lady Arnsworth taka wizja: ty bezpiecznie związany z bogatą panną.

- Julian! Idź do diabła!

Mimo wszystko Richard rozmyślał o radzie udzielonej przez przyjaciela, gdy kładł się do łóżka. Zapewne Thea Winslow śpi głęboko w najlepszym pokoju gościnnym. Przechodził obok niego na palcach, udając się do swojej sypialni. Zastał tam śpiącego lokaja, który na niego czekał. Niestety, zapomniał ściszyć głos, gdy mu przykazywał nigdy więcej tego nie robić. Miał nadzieję, że nie zbudził Thei. Dlaczego tak się o nią martwi?

Nie odżegnywał się od ożenku. Miał sens w jakiejś odległej, nieokreślonej przyszłości. Najwidoczniej przyszłość właśnie nadeszła. Wraz z kupnem domu w Londynie małżeństwo stało się, jeśli nie koniecznością, to przynajmniej czymś pożądanym. Należy jedynie znaleźć właściwą kobietę i oczywiście przekonać ją, że on jest dla niej odpowiednim mężczyzną. Tak, powinien poszukać rozumnej, inteligentnej kobiety, obdarzonej poczuciem humoru. Musi dać się polubić i zasługiwać na szacunek, być kimś, kto nie uzna dziecka ze złamaną nogą za dopust boży. Kimś, komu nie będzie przeszkadzała niechęć męża do błyszczenia w towarzystwie i jego zamiłowanie do spokojnego życia na wsi w otoczeniu książek. Kimś, kto z radością będzie mu towarzyszyć w takim życiu. Bez poświęceń, bez narzekań na nudę, którą urozmaicałaby sobie wypadami z kochankiem do znajomych. Nie, lepiej nie rozpamiętywać przeszłości, tylko wyciągnąć z niej naukę. Dodał jeszcze jedną cechę takiej kobiety: honor. Pragnął kobiety, dla której honor znaczyłby więcej niż dyskrecja.

Jego myśli powędrowały ku Thei. Była prostolinijna i szczerą jako dziecko i potem młoda dziewczyna, nawet w sytuacjach, gdy rozsądek nakazywał maskowanie prawdziwych uczuć. A jaka lojalna. Najlepszy dowód, że tyle lat opłakiwała Nigela Lallertona. A jeśli jest kobietą, której szuka?

Rozsądny wybór. Szaleństwem byłoby odrzucanie go z góry tylko dlatego, że Almeria postanowiła ich wyswatać.

Taka kobieta znajduje się teraz pod tym samym dachem, co on. Czy na dawnej dziecięcej przyjaźni da się zbudować udane małżeństwo? A może zbyt racjonalnie podchodzi do tej sprawy, może powinien pomyśleć o kobiecie, którą mógłby pokochać? W końcu miłość nie zrujnowała życia Maksa. No cóż, ojciec ożenił się z miłości i do czego to doprowadziło. Małżeństwo rodziców było pomyłką. Max miał szczęście. Cholerne szczęście.

Nie zaszkodzi spędzić trochę czasu w towarzystwie Thei, odnowić starą przyjaźń. To na pewno dobry pomysł. Zmartwił się, widząc dzisiejszego popołudnia odmienioną Theę. Gdzie podziała się jej dawna radość życia? Opanowało go zupełnie nieracjonalne pragnienie. Usunie przyczynę smutku czającego się w jej oczach; będą znów niebieskie, nie szare, jak obecnie.

Od wielu godzin Thea bezskutecznie próbowała zasnąć. Może zapalić lampę i poczytać chwilę? Obce łóżko i tyle wrażeń. Zrobiło się naprawdę późno. Trzeba zamknąć oczy i przestać myśleć. Wypraktykowała to przez ostatnie lata. Pustka w głowie, żadnych emocji. Nie było to łatwe w Londynie, wśród ludzi, którzy znali ją od dziecka. Chociaż ciało było zmęczone, umysł pracował i nie pozwalał jej pograć się we śnie.

Po całym Londynie rozniesie się wiadomość, że u lady Arnsworth przy Grosvenor Square mieszka panna Winslow, jedyna córka wicehrabiego Aberfielda, która odziedziczyła po wuju pięćdziesiąt tysięcy funtów. Będzie w centrum zainteresowania. Będą się do niej umizgiwać, schlebiać jej. Na samą myśl o tym Thei zrobiło się niedobrze.

Za pięćdziesiąt tysięcy funtów wielu zignoruje jej przeszłość, o ile nie poznają prawdy, a będą mieli do czynienia wyłącznie z plotkami. Thei nie zależało na tego rodzaju akceptacji. Wuj James okazał jej więcej zrozumienia i uczucia niż własny ojciec. Był gotów uwierzyć w niewinność Thei i zmienił decyzję o wykluczeniu jej z dziedziczenia. Aberfield sprowadził ją do Londynu

wyłącznie z powodu pieniędzy. Wolą nazywać ojca „Aberfield”, a nie „papa”. Nie zależało mu na córce. Za posag chciał kupić przychylną jej męża, którą zamierzał wykorzystać do swoich interesów.

Thei przyszło do głowy, że jeśli Richard pozna prawdę, wyrobi sobie określoną opinię, której nic nie będzie w stanie zmienić, a na pewno nie pieniądze. Zrobiło się jej zimno. Wyżej naciągnęła przykrycie. Dlaczego myśli o Richardzie? Skąd może wiedzieć, jakim jest teraz człowiekiem? Nie widziała go przecież od czasu swojego balu debiutanckiego. Tańczył z nią i żartował z jej nieposłusznych loczków. Bawił się równie dobrze jak ona, chociaż z powodu chromej nogi rzadko wychodził na parkiet. Z Theą zatańczył aż dwa razy.

Richard będzie poruszony, gdy pozna prawdę. W najlepszym wypadku okaże współczucie, a ona nie chce litości. Nikogo nie potrzebuje. Da sobie radę sama. Za niecałe trzy miesiące będzie wolna i niezależna. Co zrobi z wolnością, gdy już ją zdobędzie? Będzie się nią cieszyła, i tyle. Do tego czasu postara dobrze się bawić w Londynie. Nie pozwoli, żeby smutek panował nad jej życiem, nie będzie czekała na dwudzieste piąte urodziny, by się uwolnić, zacznie od zaraz. Od jutra. Nie, od dzisiaj, już jest dzisiaj.

Thea wstała wcześniej i ubrała się bez pomocy pokojówki. Nie była zdziwiona, że pokój śniadaniowy jest pusty. Lady Arnsworth zabawiła z wizytą do późnego wieczoru, będzie więc odsypiała do południa. Gotowe śniadanie czekało na kredensie. Raczyła się nim powoli. Popijając herbatę, zastanawiała się, jak spędzi dzień. Może robić, co tylko jej się podoba. Nieczęsto bywała w tak szczęśliwym położeniu. Zdecydowała, że weźmie do towarzystwa jedną z pokojówek i pójdzie na spacer.

Do pokoju wkroczył Richard Blakehurst z taką pewnością siebie, jakby był właścicielem domu. Stwierdziła, że nie utyka w sposób widoczny, raczej chodzi nierównym krokiem. Głębokie linie, jakie wyrzeźbił na jego twarzy ból, nadawały mu wygląd prawie posepny. Jednak ten jego charakterystyczny, nieco krzywy uśmiech, który Thea znała i zapamiętała, sprawiał, że Richard

natychmiast się zmieniał. Tak właśnie się uśmiechał, niezdarnie partnerując jej w kontredansie. Traktowała go jak kogoś, na kim można polegać, dobrego przyjaciela. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek zastanawiała się, czy Richard jej się podoba jako mężczyzna. A właściwie dlaczego? Jest całkiem atrakcyjny, uznała.

- Dzień dobry, Theo.

- Dzień dobry. Lady Arnsworth jeszcze nie zeszła.

- Prawdziwe damy nie wstają przed południem, nie wiedziałas o tym?

Roześmiała się.

- Sugeruje pan, że ja nią nie jestem?

- Sugeruję, że prawdziwe damy mnie nudzą. Powinnaś się częściej śmiać.

I nie mów do mnie „pan”, od tego bolą mnie zęby. Co tu mamy? - zapytał, unosząc pokrywę półmiska.

- Skąd się tu wzięłeś? Trochę wcześniej jak na poranną wizytę. Zwłaszcza że ciotka jeszcze w łóżku.

Rozejrzał się dookoła zakłopotany.

- Nie powiedziała ci?

- O czym? Milczał.

- O czym? - powtórzyła pytanie Thea.

- Nie miej pretensji do mnie, wiń naszą wspólną matkę chrzestną.

- Ale za co?

- Almeria zaproponowała, żebym się u niej zatrzymał na czas pobytu w Londynie. Mam różne sprawy do załatwienia.

- Aha. - Co mnie obchodzą jego sprawy, pomyślała Thea. - A więc...

- Nie zalecam się do ciebie ani nie poluję na twój posag. Możesz o tym powiedzieć swojemu zapalczywemu bratu. Choćbyś dysponowała dwa razy większym majątkiem, niż masz, nie byłbym zainteresowany.

Zapadło niezręczne milczenie.

- Chyba powinnam ci podziękować za takie jasne postawienie sprawy - oznajmiła Thea.

To bez znaczenia, uznała. Przecież i tak nie chce, żeby Richard o nią zabiegał. Ani on, ani żaden inny mężczyzna. Ale jak się dowiedział? Od lady Arnsworth?

- Thea, przepraszam. Źle to ująłem, użyłem niewłaściwych słów. Chciałem, żebyś wiedziała, iż nie jestem zainteresowany ożenkiem z posażną panną. Niestety, Almeria ma inne plany.

Thea odetchnęła z ulgą. Przez chwilę obawiała się, że Richard wie.

- Co to znaczy: Almeria ma inne plany? Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Thea, przestań bujać w obłokach. Pomyśl: jej chrzestna córka ma pięćdziesiąt tysięcy w posagu, jej chrzestny syn i ulubiony siostrzeniec, młodszy syn w rodzinie, jest wolny i pod ręką. Przecież to wymarzona para.

Rzeczywiście! Dlaczego się nie domyśliła? Nic dziwnego, że lady Arnsworth zapewniała ją, że nie będzie wokół niej gromady łowców posagów.

- Teraz rozumiesz?

- Doskonale - skłamała Thea. - Dziękuję panu za szczerość. - Przynajmniej był szczery, pomyślała.

Richard zmarszczył brwi.

- Jeśli sądzisz, że zacznę się do ciebie zwracać „panno Winslow”, to się grubo mylisz. Przestań wreszcie mówić do mnie „pan”

W tym niefortunnym momencie otworzyły się drzwi i wszedł kamerdyner Myles, niosąc dzbanek świeżo zaparzonej kawy, który postawił przed Richardem. Następnie dyskretnie wycofał się z pokoju.

- Panie Blakehurst - odezwała się Thea po wyjściu kamerdynera. - Był pan uprzejmy jasno wyrazić swoje stanowisko.

Moje jest podobne. Nie jestem zainteresowana poślubieniem pana. Jeśli martwi pana, że ciotka pragnie doprowadzić do naszego ślubu, może być pan

pewny, że nie otrzyma ode mnie żadnej zachęty ani pomocy. Żegnam pana. Nie powinniśmy dopuszczać do żadnych poufałości, aby nie dać nikomu powodu do wyciągania błędnych wniosków. Na przyszłość będę jadła śniadanie w sypialni. Będzie bezpieczniej dla nas obojga, jeśli będziemy unikali wszelkich sam na sam. - Powiedziawszy to, Thea wyszła z pokoju.

Richard był wściekły na siebie. Okazał finezję kawaleryjskiej szarży, a przy tym wcale nie wyjaśnił swojego stanowiska. Przypomnił sobie, że zawsze Thei udawało się z łatwością odwracać jego uwagę od tego, co właśnie chciał wyrazić. A ten zwyczaj rezerwowania dla siebie ostatniego słowa doprowadzał go do szału.

Tyle dobrego, że przynajmniej Thea się ożywiła. Jakie iskry sypały się z jej oczu, zanim opuściła pokój. Woskowa lalka ożyła, pokazała się dawna zapalczywa Thea. Była jednak blada i mizerna. A może wyglądała tak z powodu nietwarzowej ciemnozielonej sukni?

Wydając pomruki niezadowolenia, nalał kawy do filiżanki i wsypał cukier. Doszedł do wniosku, że Thea miała rację, mówiąc, że powinni się unikać. Ciotka Almeria nie potrzebowała zachęty. Nie zabraknie jej okazji do rzucania mimochodem uwag na temat korzyści wynikających z ich związku.

Tyle że on chciał widywać Theę. Kiedyś się lubili, a poza tym przecież postanowił się przekonać, czy jest dla niego odpowiednią kobietą.

Rozdział trzeci

Krawcowa przyniosła wieczorową suknię z różowej gazy. Thea lubiła różowy kolor, a ta kreacja była ostatnim krzykiem mody. Na obrębie sukni był wyhaftowany subtelny kwiatowy wzór. Jaki piękny strój! - zachwyciła się w duchu Thea, machinalnie gładząc mieniący się, zwiewny jedwab. Powiedziała jednak:

- Nie mogę włożyć tej sukni.

- Ależ panienko! - zaprotestowała krawcowa i zaapelowała do lady Arnsworth: - Proszę pani!

Thea od lat nie nosiła sznurowanego gorsetu, bo nie można go włożyć bez pomocy pokojówki.

- Ten dekolt jest stanowczo za głęboki, staniczek za mały, a rękawków prawie wcale nie ma! - oznajmiła stanowczo.

Na myśl o pokazaniu się w takiej sukni cierpła na niej skóra. Mężczyźni będą się jej przyglądali, komentowali jej wygląd, niewykluczone, że dotykali. To nie do zniesienia, chociaż suknia jest rzeczywiście prześliczna, przyznała w duchu Thea.

- To faktycznie nieprzyzwoite, że niektóre kobiety wystawiają na pokaz swoje wdzięki - zauważyła lady Arnsworth. - Najważniejsze, żebyś nie ściągała niezdrowego zainteresowania swoją osobą. Z drugiej strony, to bardzo wytworna i elegancka suknia, ale jeśli ci się nie podoba, to wybierz inną.

Thea milczała. Rzecz w tym, że suknia bardzo jej się spodobała. Wszystkie jej stroje były szare albo brązowe. Skromne i bez szyku. Obudziła się w niej uśpiona od lat buntownicza natura. Dlaczego do końca życia ma się ubierać w nijakie, nieciekawe suknie? Dostyc tego! Po śmierci Lallertona i po zakończeniu zarządzanej przez ojca żałoby, egzekwowanej przez ciotkę Marię,

która spaliła nawet jej różową wstążkę do włosów, Thea nie miała pieniędzy na zakup innych sukien. Ale teraz ma. Podjęła decyzję.

Uśmiechnęła się do krawcowej i powiedziała:

- Chciałabym przymierzyć tę różową suknię, jeśli pani pozwoli.

Lady Arnsworth pokiwała aprobuszując głową.

- Doskonale. Bardzo rozsądnie, moja droga.

Zanim opuściły pracownię, Thea zamówiła cały komplet garderoby, włącznie z bielizną. Natychmiast przebrała się w nową suknię przedpołudniową i peliszkę w kolorze czerwonym. Nie mogła się nadziwić, że zdecydowała się wydać tyle pieniędzy. Zgodnie z przewidywaniem Almerii, Thea poczuła się odmieniona.

- Twój czepek woła o pomstę do nieba - stwierdziła lady Arnsworth, gdy sadowiły się z Theą w powozie. - Teraz, gdy masz na sobie ten prześliczny strój, widać to jeszcze wyraźniej. Trzeba kupić nowe nakrycie głowy, a najlepiej kilka, i to zaraz. - Hrabina wydała stangretowi odpowiednią dyspozycję. - Po zrobieniu wszystkich zakupów pojedziemy do parku

- zdecydowała.

Stary czepek Thei wylądował na śmietniku. Powóz posuwał się wolno ocienioną drzewami aleją parkową. Londyńska socjeta obudziła się do żyda po trudach poprzedniego wieczoru. Stangret co i raz musiał się zatrzymywać, aby lady Arnsworth mogła wymienić powitania ze znajomymi.

Droga była zatłoczona, między powozami przemieszczali się konno wymuskani dżentelmeni i eleganckie damy. Powietrze wypełniały ulotne rozmowy i wybuchy perlistego śmiechu. Wszystko obliczone na pokaz niczym rozłożony ogon pawia.

- O, mój Boże! To Laetitia Chasewater! Mam wrażenie, że chce się z tobą przywitać, Dorotheo. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności - stwierdziła lady Arnsworth i kazała zatrzymać powóz.

Po przeciwnej stronie drogi siedziała w powozie ubrana w gustowną popielatą suknię z czarnymi przybraniami dama, która uśmiechała się życzliwie. Thea wstrzymała oddech.

- Nie chciałabym, żeby pani Chasewater czuła się zobligowana...

- Nonsens, moja droga! - wpadła jej w słowo lady Arnsworth. - Wszyscy wiedzą, że biedny Nigel był jej ukochanym synem i że była bardzo szczęśliwa z powodu waszego związku. Zobacz! Przywołuje cię! Musisz do niej podejść i się przywitać. Stangret pójdzie z tobą.

Thea z duszą na ramieniu wysiadła z powozu, aby porozmawiać z kobietą, która miała zostać jej teściową. Byłoby to wystarczająco stresujące przeżycie, nawet gdyby spora część eleganckiej londyńskiej publiczności nie zatrzymała się, aby przyjrzeć się widowisku.

- Droga panno Winslow! - Palce lady Chasewater wpijały się w dłoń Thei jak szpony. - Cieszę się, że cię spotkałam! Nie widziałam cię od czasu... No cóż... - Dama spojrzała w dal, po czym dokończyła: - Od bardzo dawna. Dobrze, że przyjechałaś do Londynu. Nie można wiecznie żyć w żałobie.

Thea najchętniej wyrwałaby dłoń z uścisku starszej pani. Z trudem zdobyła się na uprzejmą odpowiedź.

- jak się miewa Aberfield? Podejrzewam, że okrutnie cierpi wskutek podagry? - zapytała lady Chasewater i nie czekając na odpowiedź, kontynuowała: - Niedawno znalazłam kilka listów, które napisał do Chasewatera. Obudziły tyle wspomnień! Tyle nadziei!

Chociaż w tym, co mówiła omdlewającym głosem starsza pani, nie było niczego nadzwyczajnego, Thea ledwie panowała nad nerwami.

- Przykro mi, jeśli to panią zasmuciło - powiedziała, siląc się na uprzejmość.

Lady Chasewater zaczęła głaskać jej dłoń.

- Dlaczego miałoby ci być przykro? To, co się wydarzyło, odeszło w przeszłość. Pozwolę sobie wkrótce wpaść do Almerii. Nie zatrzymuję cię.

- Do widzenia pani.

Thea odetchnęła z ulgą, oddalając się od powozu lady Chasewater. Zrobiło się jej zimno, choć przygrzewało słońce i miała na sobie nową peliszkę.

Po powrocie do Arnsworth House Thea poszła do sypialni, żeby zostawić rękawiczki, czepek i wierzchnie okrycie. Na łóżku piętrzyły się dostarczone pod jej nieobecność pudła z nowo zakupionymi sukniami.

Nie wezwała pokojówki, sama zaczęła je rozpakowywać. To tylko część zamówionych strojów. Inne zostały w pracowni, bo wymagały niewielkich poprawek, w tym różowa suknia wieczorowa, którą krawcowa obiecała dostarczyć jeszcze dzisiaj.

Thea uświadomiła sobie, że w jedno popołudnie wydała więcej niż w ciągu minionych ośmiu lat, i to tylko u krawcowej. Musiała przyznać sama przed sobą, że sprawiło jej to satysfakcję. Nie chodziło o to, że po okresie wyrzeczeń chciała szastać pieniędzmi. Zakupione dzisiaj stroje z pewnością wystarczą na dłuższy czas, uznała. Jednak jak to przyjemnie pomyśleć, że jutro będzie mogła włożyć coś ładnego i twarzowego.

- Tu jesteś, Dorotheo. - Do pokoju zajrzała lady Arnsworth. - Zejdź na dół, gdy będziesz gotowa. Poprosiłam o podanie herbaty do salonu. - Przyjrzała się sukniom rozłożonym na łóżku i oparciach krzeseł. - Starczy na początek. Gdy nadejdzie więcej zaproszeń, pomyślimy o nowych nabytkach. Pospiesz się, moja droga.

- Nie do wiary! Mała Winslow!

Richard stał obok Braybrooka na środku zatłoczonego salonu Fothergillów. Zaalarmował go okrzyk, który padł z ust nieznanej mu matrony w średnim wieku. Rozejrzał się i niemal natychmiast dostrzegł lady Arnsworth ubraną w królewską purpurę.

- Dostałam wielce interesujący list, moja droga - kontynuowała stojąca za Richardem kobieta, po czym zniżyła głos.

Richard odwrócił się i zauważył, że kilka ozdobionych turbanami i piórami głów pochyliło się ku niej, aby wysłuchać, co ma do powiedzenia. Wyraźnie zgorzone obserwowały Theę.

- Powiadasz, że było coś więcej? Jakaś niedyskrecja? Domyślam się, że ta historia o jej żałobie...

Do cholery z nimi! - zirytował się Richard. Czy dziewczyna nie może wycofać się na parę lat z życia towarzyskiego, żeby te plotkary nie zaczęły snuć domysłów, że „było coś więcej”? Czy tak trudno im pojąć, że ktoś potrzebuje spokoju i odosobnienia, aby dojść do siebie po ciężkich przeżyciach?

W tym momencie dosłyszał swoje nazwisko, a za chwilę urywki zdań:

- Ile, powiadasz? Mieszka u Almerii? Pod jednym dachem? Bywało, że Richard kpił z nastawienia do życia, obyczajów

i cynizmu londyńskiej socjety. Teraz wcale nie było mu do śmiechu. Braybrook pochwycił jego spojrzenie.

- Ludzie są bardzo przewidywalni, nie sądzisz, Ricky? Nie możesz wyzwąć na pojedynek tej plotkary, choć mniejsze przewiny wymagają satysfakcji.

Zanim Richard zdążył się odezwać, Julian dodał:

- Zabawne. Zapewne będą starali się odgadnąć, jak wielką niedyskrecję może zmazać pięćdziesiąt tysięcy funtów.

Zagadkowa wymowa tej uwagi zaskoczyła Richarda.

- O jakiej niedyskrecji mówisz? - spytał. Julian skinął głową znajomemu.

- Oczywiście o wymyślonej. Nie zaciskaj tak pięści, Ricky, proszę cię. A poza tym zdradza cię twój głos, chłopie.

Tymczasem matrony nadal plotkowały.

- Śmiem twierdzić, że Aberfield nie pozwoli sobie na grymasy i nie wypuści z rąk Dunhavena, a on potrzebuje dziedzica.

Richard miał tego dość. Obrzucił kobiety wrogim spojrzeniem i w milczeniu patrzył w ich stronę dopóty, dopóki nie

rozeszły się po sali i nie zniknęły w tłumie. Wtedy dostrzegł Theę.

Co ona z siebie zrobiła? Gdzie podziała się szara myszka, która zmyła mu głowę podczas śniadania? Miał przed sobą zjawisko w powiewnej, różowej sukni. Płowe, wysoko spiętrzone włosy były przewiązane różową wstążką, połyskującą w świetle kandelabrow.

Powodem irytacji Richarda nie była jednak zmiana w wyglądzie Thei, która go wręcz zachwyciła. U boku dziewczyny stał lord Dunhaven, niczym stróżujący pies pilnujący smakowitej kości. Najwyraźniej Aberfield nie tracił czasu, pragnąc złożyć córkę na ołtarzu politycznego oportunisty.

- Popatrz - szturchnął go Braybrook. - Czy to panna Winslow? W tej różowej sukni? Z Dunhavenem?

- Tak - potwierdził wściekły Richard. Puścił mimo uszu mało parlamentarną uwagę Juliana o starych kozłach i już torował sobie drogę w tłumie.

Braybrook oniemiał. Jakie to niepodobne do przyjaciela, że nie przemyślał z góry strategii. Doszedł do wniosku, że być może frontalny atak okaże się wystarczający, ale nie zaszkodziłoby przygotować manewr oskrzydający.

Thea nie doceniła szybkości, z jaką rozchodzą się wiadomości w eleganckim świecie. Parę osób zobaczyło ją w parku i dowiedziało się, kim jest. Wszyscy, którym przedstawiła ją lady Arnsworth, byli szczęśliwi, że mogą się poszczycić znajomością z panną, której posag liczone w dziesiątki tysięcy funtów. Pani Dallimore nie zwlekała z zanieśieniem nowiny swojej siostrze, lady Fothergill, ta zaś pospieszyła z wysłaniem miłej notki do lady Arnsworth, w której zapewniła, że oczywiście będzie zachwycona obecnością podopiecznej drogiej przyjaciółki na, jak się wyraziła, „maleńkim przyjęciu wydawanym dzisiaj wieczorem”.

Przyjęcie u lady Fothergill żadną miarą nie zasługiwało na określenie „maleńkie”. Thea zdążyła już zapomnieć, jakie to uczucie być jednym z trzystu

gości stłoczonych w jednym domu. Gwar rozmów, zmieszany z ledwo dochodzącymi dźwiękami małej orkiestry, sprawiał, że trudno było usłyszeć, co jedna osoba mówiła do drugiej. Ciepło emanujące z ludzkich ciał w połączeniu z perfumami kobiet i wodami kolońskimi mężczyzn działało obezwładniająco. Temperaturę podnosiły woskowe świece palące się w żyrandolach i kinkietach. Na szczęście było to tylko przyjęcie, tańce nie były przewidziane.

Ciągle ktoś jej dotykał, ocierał się o nią. Nie robiono tego umyślnie, nie dało się jednak uniknąć stykania się z ludźmi w takim tłoku i Thea była bliska omdlenia. Za każdym razem wyżej unosiła podbródek i gwałtownie nabierała powietrza. Było to nieracjonalne, ale nie potrafiła zapanować nad tym odruchem.

Co chwila ktoś je pozdrawiał i po pewnym czasie stwierdziła ze zdziwieniem, że chociaż nie cierpi tłumu, jej obawa przed wystawieniem się na widok publiczny ustępuje. Nie czuła się swobodnie, ale już nie bała się, że zemdleje lub spanikuje.

- Okropny tłok - skrytykowała lady Arnsworth. - Dlaczego Louisa zaprasza tak dużo gości? Nie zauważyłam jeszcze nikogo, kogo chciałabym spotkać.

Panowie nadszkwali Thei, niektórzy twierdzili, że pamiętają ją z pierwszego, krótkiego sezonu. Z wystudiowanym uśmiechem odpowiadała na komplementy.

Uśmiech był bardzo ważny. Powinien być ledwo uchwytny, pełen wdzięku, nigdy bezpośrednio skierowany do kogoś. Niech myślą, że jest zimna, odpychająca.

- Uwważaj! - mruknęła pod nosem lady Arnsworth.

Thea natychmiast rozpoznała lorda Dunhavena. Wyróżniał się wzrostem. Zbliżał się do nich, energicznie torując sobie drogę w tłumie. Thea była świadoma, że chociaż przywitał się uprzejmie z lady Arnsworth, całą uwagę

skupił na niej. Okiem znawcy zlustrował ją z góry na dół. Poczowała się niezręcznie, gdy tymczasem Almeria dokonała prezentacji.

- Pamięta pan córkę lorda Aberfielda? Miss Winslow, to lord Dunhaven.

Grymas, który pojawił się na wąskich ustach lorda, miał być wyrazem uznania.

- Naturalnie. Wpadłem wcześniej do lorda Aberfielda i wspominał mi o jej przyjeździe. - Utkwił wzrok w Thei. - Dobry wieczór, panno Winslow. - Wyciągnął rękę gestem, który miał wyrażać, że robi jej zaszczyt.

Thea stłumiła odruch niechęci. Z zażenowaniem pomyślała o swoim głębokim dekolcie. Dobrze pamiętała lorda Dunhavena; nigdy go nie lubiła. Lady Dunhaven, jego żona, potulnie mu potakiwała i zawsze we wszystkim się z nim zgadzała.

Thea wykonała dyg, gdy Dunhaven pochylił się nad jej dłonią. Owionął ją zapach pomady, którą posmarowane były jego włosy. Jego lordowska mość nie miał ochoty wypuścić jej dłoni, położył ją na swoim ramieniu. Thea gwałtownie wycofała rękę. Było w lordzie Dunhavenie coś takiego, co przyprawiało ją o gęsią skórkę. Może sposób patrzenia - taksujący, jakby była klaczą, którą zamierza kupić.

- Upłynęło dobrych parę lat od pani ostatniego pobytu w mieście, panno Winslow. Będę szczęśliwy, jeśli zostanę pani przewodnikiem. Aberfieldowi zależy, żeby z korzyścią spędziła pani czas w Londynie.

- Doprawdy, milordzie? Jestem pewna, że lady Arnsworth zadba o to, żebym nie zmarnowała czasu.

- Bez wątpienia - potwierdziła Almeria.

Cokolwiek miała jeszcze do powiedzenia, utonęło to w potoku wymowy lady Chasewater, która nagle pojawiła się obok nich.

- Almerio! Miło, że jesteś! Panno Winslow! Co za radość! Nawet nie wiesz, jak twój widok cieszy moje matczyne serce.

Thea przywołała uśmiech na twarz. Niepokoiły ją iskierki, które tliły się głęboko w oczach lady Chasewater.

- Moja droga, nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań. Zapewniam cię, że mój biedny Nigel nie oczekiwałby, byś go oplakiwała bez końca.

Thea skinęła głową.

- Cieszę się, że wróciłaś - kontynuowała lady Chasewater, głaszcząc jej rękę. - Możesz liczyć na mnie. Może wybierzesz się kiedyś ze mną na przejażdżkę do parku?

Propozycja zmroziła Theę. Stała nieruchoma z przyklejonym do twarzy uśmiechem. Drażnił ją dotyk lady Chasewater. Z trudem zdobyła się na odpowiedź:

- Dziękuję pani.

- Ależ tak, Dorothea będzie zaszczycona - wtrąciła skwapliwie lady Arnsworth. - Wspaniały pomysł, Laetitia. Myślę, że pokazanie się z tobą wyjdzie jej na dobre.

- Nie zwracaj głowy, Almerio! Ona jest moją niedoszłą synową. Do tej pory byłabym już babcią. Biedny Nigel od ośmiu lat leży w grobie i nikt ze mną o nim nie rozmawia. Wiem, że Dorothea mnie zrozumie. Mogę się do ciebie tak zwracać, prawda?

- Oczywiście.

- Pojedziesz ze mną na spacer?

Chodzi tylko o spacer po parku. Dlaczego czuję się, jakby prowadzili mnie na szafot? - zadała sobie w duchu pytanie Thea.

- Będę zachwycona.

- Doskonale, moja droga. Przyślę ci wiadomość. Teraz, jeśli się nie mylę, lord Dunhaven pragnie się z tobą przejść i wolałby, żebym zniknęła. - Uśmiechnęła się do Dunhavena.

- Aberfield musi się cieszyć, wiedząc, że Dorothea ściągnęła na siebie zainteresowanie tak znacznej osoby. - Uderzyła go w ramię wachlarzem. - Miło

pana widzieć po zakończeniu żałoby. Wszyscy mamy nadzieję, że wkrótce znowu będzie pan szczęśliwy.

- Pozwoli pani, panno Winslow? - zwrócił się do Thei Dunhaven, gdy lady Chasewater wtopiła się w tłum. - Szanowna pani nie ma nic przeciwko?

- Oczywiście, nie - pospieszyła z zapewnieniem lady Arnsworth, ale Thea wyczuła, że chrzestna matka chętnie zgłosiłaby obiekcję.

Szli pod rękę, Dunhaven przedstawiał ją znajomym. Szmery, które za sobą pozostawiali, na wpół skrywane za wachlarzami uśmieški, dowodziły cynicznej akceptacji dla takiej pary jak oni. Thei było coraz zimniej. Ten chłód wypełzał z wnętrza, jego źródło znajdowało się głęboko w niej. Tłumaczyła sobie, że słane jej zaciekawione spojrzenia nic nie znaczą, są podyktowane zwykłą ludzką ciekawością.

Lord Dunhaven zdawał się niczego nie dostrzegać. Raczył

Theę szczegółową relacją na temat udoskonaleń, jakie wprowadził w głównej wiejskiej rezydencji. Rozwodził się na temat przebudowy stajni i apartamentów państwa domu.

- Chętnie pokazałbym pani to wszystko, panno Winslow - zakończył, opisując wcześniej wystrój pokoju bilardowego.

Zanim Thea zdążyła się zastanowić nad znaczeniem tych wszystkich informacji, stanęła jak wryta na widok wysokiej postaci, która wyrosła tuż obok nich. Ogarnęła ją fala ciepła, dotychczasowy chłód zniknął.

To był Richard ubrany w strój wieczorowy.

- Dobry wieczór, panno Winslow! Sługa uniżony, Dunhaven - powiedział.

Głos Richarda daleki był od uniżoności. Brzmiał wręcz prowokacyjnie. Nawet jego ukłon wyrażał pewną arogancję. Nie darmo był synem hrabiego, członkiem dumnego klanu Blakehurstów, i mimo skłonności do zamykania się w świecie książek, nie brak mu było salonowej ogłady.

Kontrast między dwoma mężczyznami był uderzający. Wprawdzie wieczorowy strój Richarda nie był najświeższego kroju, ale luźno skrojony frak

nieskazitelnie leżał na szerokich ramionach. Natomiast mocno dopasowany do figury frak Dunhavena był prawdopodobnie porządnie wywatowany. Dunhaven nie skąpił sobie kosztownej biżuterii, w jego krawacie świecił okazałych rozmiarów brylant. Richard ograniczył się do perły w krawacie i prostego złotego pierścionka na palcu.

Dunhaven nawet nie starał się ukryć pogardy.

- Pan Blakehurst, czyż tak? - zagadnął, kładąc nacisk na słowo „pan”. - Nie spodziewałem się pana tutaj spotkać.

Theę zirytował ten wyniosły ton, ale Richarda, jak się zdawało, rozbawił.

- Czyżby, Dunhaven? Robię, co mogę, aby przemoc nudy, jaką wzbudzają we mnie tego rodzaju spędy. Nie chcę doprowadzać do desperacji pań domu, które liczą na moją obecność. - Dobry wieczór panno Winslow - zwrócił się z uśmiechem

do Thei. - Pozwoli pani, że zaprowadzę panią do bufetu na kieliszek szampana?

Jakie to proste, zdumiała się Thea.

- Naturalnie. Z przyjemnością. Jego lordowska mość wybaczy...

Dunhaven nie zamierzał pozwolić jej odejść. Przytrzymał dłoń Thei wspartą na jego ramieniu.

- Proponuję pani swoje towarzystwo. Znajdziemy coś odpowiedniejszego dla damy. Myślę, że będzie pani wolała ratafię.

Jak śmie tak mi się narzucać? - pomyślała ze złością Thea. Poza tym nie cierpiała ratafii. Gwałtownie cofnęła dłoń.

- Dunhaven! Wszędzie pana szukałem!

Zbawcą, który uwalniał ją od niemiłego towarzystwa, okazał się wysoki czarnowłosy mężczyzna o błękitnych oczach. Znała go. To przyjaciel jej brata, Julian Trentham. Po ojcu odziedziczył tytuł wicehrabiego Braybrooka.

Uklonił się jej z wyszukaną grzecznością.

- Panno Winslow, pozwoli pani ukraść Dunhavena? Blakehurst dotrzyma pani towarzystwa. Mogę na to liczyć, chłopie?

- Sądzę, że da się zrobić - odparł z udawaną powagą Richard. Thea przyjrzała się podejrzliwie Braybrookowi. Nie była

pełna jego intencji, ale nie zamierzała odrzucać koła ratunkowego.

- Naturalnie, że pozwolę - zapewniła. Napotkała spojrzenie

Braybrooka, ale nic nie wyczytała z jego bystrych oczu. Co David mu powiedział? Czy może on znać jakąś część prawdy?

Richard podał jej ramię. Dotykając go, ponownie poczuła ogarniającą ciało falę ciepła.

- Panowie wybaczą - wyrwał ją z zamyślenia głos Richarda. Oddalili się.

- Co ty wyprawiasz? - syczał przez zęby, kiwając uprzejmie głową mijanym znajomym. - Zadajesz się z Dunhavenem? On nie myśli o niczym innym, jak tylko o szybkim ożenku i spłodzeniu dziedzica. Szuka miłej, młodej i płodnej narzeczonej.

- To przyjaciel mojego ojca. - Thea zaczerwieniła się, słysząc dosadne określenia Davida. - Nie mogę mu powiedzieć, żeby się odczepił.

- To pozwól Almerii, by to zrobiła za ciebie. Wierz mi, chętnie da mu prztyczka w nos.

Thea nie miała co do tego wątpliwości.

- Nawet lady Arnsworth nic nie wskóra, skoro mój ojciec praktycznie pobłogosławił ten związek.

- Co ty mówisz?

Richard poprowadził Theę korytarzem, otworzył drzwi i znaleźli się w bibliotece. Nikogo tu nie było. Wnętrze, oświetlone pojedynczą lampą, tonęło w półmroku. Thea doszła do wniosku, że Richard dobrze wiedział, dokąd zmierza.

Staął naprzeciw niej.

- Chyba nie mówisz serio. Dunhaven jest stary, mógłby być twoim ojcem!

Obrażona, że przyszło mu do głowy, iż zaakceptowałaby taki związek, patrzyła na niego z pretensją.

- Może zechcesz powtórzyć to Aberfieldowi?

- Powtórzę, jeśli to *wywrze* jakiś skutek. Na litość boską, Theo! Dunhaven to kompletny dureń. Jedyne, o czym myśli, to jak odsunąć brata od sukcesji. Szkoda, że nie znalazł sobie młodej wdówki, która już pokazała, co potrafi, wydając na świat kilka bachorów!

Zorientował się natychmiast, że powiedział coś złego. Thea skuliła się, jakby pod wpływem uderzenia, krew odpłynęła jej z twarzy. Złapał ją za rękę. Czuł, jak drży.

- Co ci jest?

- Jak mogłeś! - wyszeptała. - Nawet Aberfield by mi tego nie zrobił!

Richard objął ją w talii, zaprowadził w stronę sofy i pomógł usiąść. Sam zajął miejsce obok.

- Odpocznij trochę.

- Nic mi nie jest.

- Przecież widzę. Omal nie zemdliałaś.

- Nieprawda! Trochę zakręciło mi się w głowie, i tyle. Duszno tutaj. Muszę wracać. Co będzie, jeśli ktoś nas tu zastanie?

Wielka rzecz, uznał Richard, natychmiast się jej oświadczyć. Co zdumiewające i zaskakujące, pomysł ten nie wydał mu się szokujący.

- Oby nie doszło do gorszej sytuacji. Gorszej dla nas obojga. - Na samą myśl o tym, że Dunhaven mógłby jej tknąć, budziła się w nim dzika bestia.

- Powiedziałeś, że nie zamierzasz się ze mną ożenić.

- Nie powiedziałem!

Różowa suknia zachęcała, aby odkryć tajne miejsca kobiecego ciała. Delikatna koronka przy głębokim dekolcie kusiła, aby wsunąć pod nią palec i dotknąć aksamitnej skóry...

Richard przywołał się do porządku i skoncentrował na rzeczywistych problemach.

- Powiedziałaś - upierała się Thea. - Przy śniadaniu.

- Nie zrozumiałaś. Chodziło mi o to, że nie ożeniłbym się z tobą tylko dla twojego majątku. Nie przeinaczaj moich słów.

Och, te jedwabiste, lśniące loczki nad brwiami, albo tamten na delikatnej, mlecznobiałej szyi... Kołnierzyk koszuli zaczął go drażnić niemiłosiernie.

- Thea! Domyśliłam się, że to ty! - rozległ się dźwięczny głos. - Brzydko, że ukrywasz się tu z panem Blakehurstem. Cieszę się, że cię spotykam po latach. Myślałam, że poszłaś do klasztoru.

W drzwiach stała szczupła kobieta. Ciemne, starannie ufryzowane włosy zdobiły pióra.

- Początkowo nie chciałam wierzyć, gdy mi wspomniano, że dzisiaj tu będziesz. Jednak nie byłam zaskoczona, gdy zobaczyłam, jak znikasz za drzwiami. Przeszkadzam?

Weszła do biblioteki, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

- Miałaś mu właśnie natrzeć uszu?

Richard rozpoznał elegancko ubraną damę, która podeszła do Thei z szeroko rozpostartymi ramionami. Była to lady Fox-Heaton.

Thea z wahaniem podniosła się z sofy.

- Diano, cudownie wyglądasz. Wyszłaś za mąż?

- Nie słyszałaś?

- Nie.

- Tak. Moim mężem jest Francis Fox-Heaton. Oczywiście pamiętasz go. Był przyjacielem biednego Lallertona.

Richardowi wydawało się, że twarz Thei stężała.

- Poślubiłaś sir Francisa? - zapytała ostrożnie.

- Wiem, co myślisz. - Lady Fox-Heaton się roześmiała. - Jak mogłam wyjść za mąż za zwykłego baroneta? Wszystkie miałyśmy poślubić co najmniej hrabiów, prawda? Mąż jest obecnie członkiem parlamentu.

Richard przypomniał sobie, że wokół ślubu Diany było swego czasu głośno. Ku niezadowoleniu rodziny, odrzuciła oświadczyzny pewnego markiza. Związek z Fox-Heatonem był niewątpliwie małżeństwem z miłości.

- Wracajmy do salonu. Jeśli ja spostrzegłam, jak tu wchodzisz, to możesz być pewna, że inni też to widzieli. Z pewnością już krążą dziwne opowieści. - Diana spojrziała z wyrzutem na Richarda i oświadczyła wprost: - Myślałam, panie Blakehurst, że ma pan więcej rozumu.

- Dziwne opowieści? - zapytała Thea. Richarda nie zwiódł jej z pozoru swobodny ton.

- Bardzo dziwne - odrzekła Diana. - Chodźmy, opowiem ci później.

RS

Rozdział czwarty

Pod koniec wieczoru Thea czuła się jak przepuszczona przez wyżymaczkę. Była wykończona, gdy Almeria wzywała powóz, który zawiózł je na Grosvenor Square, ale przetrwała. Odnowiła wiele starych znajomości i spotkała się z akceptacją londyńskiej socjety.

Sprawiła to Diana Fox-Heaton. Gdy w jej towarzystwie Thea pojawiła się w salonie, natychmiast posypały się zaproszenia na inne przyjęcia. Przed laty nie przyjaźniła się z Dianą, ale lubiły się i dzisiaj Diana przyszła jej z pomocą. Ostrzegła ją, że krążą plotki, według których długa nieobecność panny Winslow w Londynie może mieć niewiele wspólnego z żalobą po utraconej miłości.

Wzdrygnęła się. Sir Francis, mąż Diany, był jedną z nielicznych osób, które mogły domyślić się prawdy. Należał do najbliższych przyjaciół Nigela Lallertona. Co powie żonie, gdy dowie się o odnowieniu jej znajomości z Theą?

Po przyjeździe do domu Thea od razu udała się do swojej sypialni. Nie zwlekała z położeniem się do łóżka, a jednak mimo zmęczenia nie mogła zasnąć. Opinia Diany o lordzie Dunhavenie pokrywała się z tym, co usłyszała od Richarda.

- Francis mówi, że jemu potrzebna klacz rozplodowa. Żaden porządny ojciec na dałby mu swojej córki. Po śmierci jego żony krążyły różne nieprzyjemne plotki, ale żaden służący nie ośmielił się zeznawać w takiej sprawie.

Richard wracał na Grosvenor Square piechotą w towarzystwie Braybrooka. Wieczór skończyli przy karcianym stoliku. Grali w pikietę po pensie za punkt, szylingu za partię i funcie za robra. Richard wstał od stolika bogatszy o kilka funtów i miał w czubie po wypiciu pół butelki brandy.

- Gdybym grał o większą stawkę, na pewno przegrałbym z kretelem - powiedział, dzwoniąc miedziakami w kieszeni.

- To jasne - stwierdził Braybrook. - Mój ojciec powiadał, że wygrywasz tylko wtedy, jeśli stać cię na przegraną. Szkoda, że nie pamiętał o tym, spekulując na giełdzie. Jesteś już w domu.

- Widzę.

Zaalarmował ich jakiś hałas. Na schodach ujrzeli zarys postaci, która nagle przybrała postać chłopca zbiegającego spod drzwi wejściowych na trotuar.

- Co tu robisz? - zapytał Richard.

- Czy jeden z panów to Richard Blakehurst? - odpowiedział pytaniem chłopak.

- Co cię to obchodzi? - Braybrook był podejrzliwy.

- Daj spokój, Julian. Ja jestem Blakehurst.

- Mam coś dla pana od damy.

Wsunął Richardowi w dłoń jakiś papier i momentalnie zniknął za rogiem.

- Idiota. Dałbym mu sześciopensówkę. Ciekawe, kto pisze do mnie miłosne listy?

- Listy miłosne? Do ciebie, Ricky?

- Myślisz, że tylko ty... - Richard złamał pieczęć i przebiegł wzrokiem treść listu. - Coś podobnego! - wykrzyknął, pełen niesmaku. - Co za brudy!

Braybrook wyjął list z rąk Richarda i przeczytał na głos:

- *Ile razy bzyknąłeś dzisiaj tę pozłocaną dziwkę?* Urocze, Ricky. Po prostu urocze - powiedział bezbarwnym tonem, po czym oddał list przyjacielowi.

Richard zmiął go i wsunął do kieszeni.

- Jesteś pewny, że nie będziesz szukał mieszkania? - zapytał Braybrook.

Richard pokręcił głową i powoli ruszył w górę schodów.

Od lady Chasewater przyszedł liścik zapraszający na przejażdżkę po parku. Na szczęście dopiero następnego dnia. Thei udało się przekonać lady Arnsworth, że zamiast pojechać na zakupy, lepiej dzisiejsze popołudnie spędzić w zaciszu domowym. Almeria zgodziła się, acz niechętnie.

- Jeśli uważasz, że to konieczne. Wyglądasz blado. Musisz odpisać lady Chasewater, że przyjmujesz jej zaproszenie. Wszyscy się z nią liczą. Nawet nie myśl, że nie pojedziesz dzisiaj wieczorem na bal do Montacute'ów.

Thea zapewniła, że jak odpocznie, będzie gotowa wziąć udział w balu. Zapowiedziała Mylesowi, że nie ma jej w domu dla nikogo i poprosiła o podanie herbaty do małego saloniku. Dziesięć minut później rozsiadła się wygodnie na kanapie, mając w ręku pulpit do pisania, i popijała wonny napar. Z ulicy i ze stajni dochodziły słabe odgłosy, które jej nie przeszkadzały.

Odpisała lady Chasewater, że z przyjemnością przyjmuje jej zaproszenie. Wezwała lokaja, żeby zabrał list i dostarczył adresatce, po czym wyjęła świeżą kartkę papieru, żeby napisać do ciotki Marii.

Przez jakiś czas słychać było tylko skrzywienie pióra, po czym zapadła cisza. Thea rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu natchnienia. Nic się tu nie zmieniło od jej ostatniego pobytu. W tym salonie nie przyjmowano gości. Meble były tu staroświeckie, nie widać było żadnych krokodylich nóg ani sfinksów. Gdy lady Arnsworth urządzała na nowo frontowy salon, o tym pokoju najwidoczniej zapomniała.

Ze wszystkich pokoi w Arnsworth House ten Thea zapamiętała najlepiej z czasów, gdy przychodziła tu, będąc dzieckiem. Tutaj przesiadywał Richard podczas rekonwalescencji po złamaniu nogi. Grali w szachy. Przypomniała sobie, jaki był niezadowolony, że on - dwunastoletni chłopiec - musi uczyć pięcioletnią dziewczynkę. Ale ją nauczył.

Odłożyła pióro.

Jaki on jest teraz? Na pewno ciągle lubi psy i konie. Ile było hałasu o to, że po wypadku, gdy doszedł do siebie, zapragnął dosiąść konia! Jego matka i lady Arnsworth nie chciały o tym słyszeć, ale on się uparł. Rzeczywiście był uparty jak osioł, i to chyba mu zostało. Co oznaczało, że nie da się wciągnąć w pułapkę matrymonialną.

Jest miły i opiekuńczy. Zrobiło się jej ciepło na sercu na tę myśl. Wczoraj wieczorem ruszył jej na ratunek i uchronił od towarzystwa Dunhavena. Właściwie można by sądzić, że się nie zmienił. Natomiast ona jest kompletnie kim innym. Dziecko, które znał Richard, nie istnieje. Jej życie dzieli się na dwie zupełnie niezwiązane ze sobą części, które nigdy na powrót nie połączą się w całość.

Nikt jej teraz nie zna. Czasami wydaje się jej, że sama siebie nie zna. Lepiej nie myśleć o Richardzie. Wróciła do listu. Nauczyła się radzić sobie w ten sposób: jedna sprawa naraz. Koncentrować się na jednym zadaniu.

Znowu słyhać było tylko skrzywienie pióra, dopóki nie przerwało go ciche pukanie do drzwi.

- Proszę.

- Wiadomość dla pani - oznajmił Myles.

- Dziękuję. Zadzwoń, jeśli będę chciała wysłać odpowiedź.

Thea obejrzała list. Pojedyncza kartka papieru, złożona i zapieczętowana, zaadresowana niezgrabnymi drukowanymi literami. Złamała pieczęć.

Zmroziło ją. W środku było jedno słowo: *Szmata*.

Nie miała pojęcia, jak długo siedziała bez ruchu. Z odrętwienia wyrwało ją pytanie:

- Co tam masz?

Zerwała się na równe nogi. Pulpit do pisania wylądował na podłodze. Odłamki szklanego kałamarza i porcelanowej filiżanki rozprysły się na wszystkie strony. Przed nią stanął Richard.

- To tylko ja - powiedział przestraszony.

Doskoczył do Thei, miażdżąc butami resztki kałamarza i filiżanki. Pochwycił ją bezceremonialnie na ręce i posadził na kanapie.

- Nie ruszaj się. Zawołam kogoś, żeby to posprzątał. Masz bardzo cienkie podeszwy, pokaleczysz się.

- Nie słyszałam, jak wszedłeś. - Schyliła się, aby podnieść z podłogi feralny list.

Uprzedził ją. Zauważył, co jest napisane, bo kartka papieru leżała rozprostowana treścią do góry. Thea napotkała jego wzrok. Co będzie, jeśli on spróbuje odkryć, co się za tym kryje? Przemówił, z trudem rozpoznając własny głos:

- Kto ci to przysłał?

Starął się zachować spokój, myśleć logicznie. List, który otrzymał poprzedniego wieczoru, był podły. Ale to! Miał ochotę podrzeć tę kartkę na drobne kawałki. Obejrzał ją dokładnie. Pieczęć była bardzo pospolita, list zaadresowano do Thei.

- Kto to przysłał? - zapytał ponownie.

- Nie wiem - odparła, patrząc mu w oczy. - Myles to przyniósł. Nie ma o co robić afery. Głupi żart. - Nieudolnie próbowała się roześmiać. - Niewątpliwie ktoś zazdrości mi odziedziczonej fortuny. Spaliłabym to, gdyby napalono w kominku.

Może by uwierzył Thei, gdyby nie widział, w jakim stanie była, zanim się do niej odezwał. Błada jak kreda wpatrywała się w ten obrzydliwy papier, który trzymała w drżących palcach. Była tak przerażona, że nie zauważyła, jak wszedł do pokoju. A teraz próbuje to przed nim ukryć.

Głupi żart na pewno nie wytrąciłby jej z równowagi. Wyglądała na dotkniętą do żywego. Czy doszły do jej uszu plotki krążące o nich wczorajszego wieczoru? Czy powinien powiedzieć jej o liście, który sam otrzymał? Rozsądek podpowiadał, że tak, jednak miał wątpliwości.

- Dostałaś inne podobne listy?

- Nie! Oddaj mi to! Chcę go spalić.

- Ja się tym zajmę. Nie powinnaś brać tego do ręki. - Włożył zmięty list do kieszeni.

- Sądziłam, że wyszedłeś.

Próba zmiany tematu była żalosna.

- Wróciłem. Thea, ten anonim...

- Przestań, proszę. Uważasz, że powinnam dowiedzieć się, kto to przysłał, ale dla mnie to bez znaczenia. Ten ktoś mnie nie lubi. Przypuszczam, że to ktoś bardzo nieszczęśliwy.

- Skąd to wiesz?

- Możesz sobie wyobrazić, że ktoś szczęśliwy przysyła coś takiego?

Miała rację. Tyle że on mógłby przysiąc, że tu chodzi o coś konkretnego, osobistego. Doszedł do wniosku, że Thea wie, kto to przysłał, albo przynajmniej się domyśla.

- Zostaw to, Richardzie. Przyznaję, bardzo się zdenerwowałam, ale już po wszystkim. - Uśmiechnęła się. - Co cię sprowadza?

Kolejna próba zmiany tematu.

Nie podobało mu się to. Ani trochę. Instynkt podpowiadał, że Thea jest do głębi poruszona, że jedynie demonstruje spokój. Gdyby wiedziała o liście, który on otrzymał, byłaby jeszcze bardziej przestraszona. Richard uznał, że najważniejsze w tej sytuacji to odwrócić jej uwagę od tego podłego anonimu. A także od zastanawiania się, co on zamierza z tym zrobić.

- Co mnie sprowadza? - Uśmiechnął się. - Myles powiedział, że tu jesteś i że Almeria wyszła. Pomyślałem więc, że moglibyśmy rozegrać partyjkę szachów, nie dając jej pretekstu do domysłów. - Pociągnął taśmę dzwonka, aby przywołać służbę, żeby posprzątała szczątki kałamarza i porcelany.

- Szachów? Tutaj? Myślisz, że to rozsądne? A jak lady Arnsworth pomyśli, że my... - Thea urwała.

- Że mamy się ku sobie? - dokończył Richard. - Rozmawiała z tobą na ten temat?

Thea się zaczerwieniła.

- Nie mówiła wprost.

- Nie? W takim razie ci się udało. Mnie sporo o tym mówiła. Nie owijała w bawełnę. Musisz wiedzieć, że już od co najmniej dziesięciu lat Almeria usiłuje ożenić mnie z dużymi pieniędzmi!

Spostrzegł, że Thea się zmieszała. Czy znowu zachował się jak słoń w składzie porcelany? Richard uznał, że chyba tak. Dopiero co Thea przestała zwracać się do niego „pan” w co drugim zdaniu. Zaczął łagodnie:

- Powinnaś wiedzieć, że nigdy nie będę zalecał się do żadnej kobiety dla jej pieniędzy, a tym bardziej do ciebie. Możemy być przyjaciółmi, prawda?

Thea zawahała się. Przyjaciółmi... No cóż, to wcale nie jest bezpieczniejsze, a jednak potrzebowała bratniej duszy. Skinęła głową.

- Zostańmy przyjaciółmi.

- Wspaniale.

Richard podniósł się z sofy ostrożnie, żeby nie nadepnąć na rozbite szkło i porcelanę, i przeszedł pod okno. Stała tam olbrzymia komoda.

- Popatrzmy tutaj - Ukląkł, zaglądając do najniższej szuflady. - O, są!

Wyciągnął starą szachownicę, tę samą, na której uczył Theę grać w szachy. W kącie pokoju, za ekranem służącym do osłaniania kominka, stał stolik szachowy.

Thea postanowiła sobie, że na przekór wszystkiemu będzie szczęśliwa, nawet gdyby miała udawać, a szczęście czekało na wyciągnięcie ręki. Miał dla niej wiele sympatii. Dlaczego nie brać tego za dobrą monetę?

- Ściśle według reguł? Żadnych forów? - przypomniała sobie dawne warunki.

- Żadnych! Do ostatniego pionka! Zajęli się rozstawianiem figur.

- Miałaś pięć lat, gdy cię tego uczyłem.

- Nie byłeś zachwycony.

- To prawda. Byłem wściekły na Almerię. Z Mylesem dobrze mi się grało. Co rusz odchodził do swoich zajęć, miałem dużo czasu do namysłu nad kolejnym ruchem. No i on umiał grać.

- A mnie musiałeś zapoznać z tajnikami szachów.

- Szybko się uczyłaś. Zwłaszcza gdy ośmieliłaś się na tyle, by zadawać pytania.

- Byłam przerażona, że odpadnie ci noga. - Jak to?!

- Kiedyś niania przestrzegła mnie, że jeśli będę paplać jak najęta, osiołkowi odpadnie noga, więc bałam się mówić, żeby tobie nie odpadła.

Oboje się roześmieli. Zadziwiająco, jak łatwo się śmiać z dawnych obaw. W tamtym czasie Richarda męczył senny koszmar, w którym właśnie stracił nogę.

- To dlatego się nie odzywałaś.

Stopniowo dystans między nimi znikał. Richard opowiedział Thei, że od czasu, gdy widzieli się po raz ostatni, między innymi uczył się gospodarowania. Był rządcą w majątku Maksa.

- Teraz, gdy kupiłem posiadłość, przynajmniej mam pojęcie, co z nią zrobić - dodał, po czym opisał niewielką posiadłość, oddaloną dziesięć mil od Blakeney. Wśród łąk, na których pasły się owce, stał stary dom, otoczony ogrodem, ukryty w dolinie przed burzami nadciągającymi od kanału La Manche.

- Dom nie jest wielki, ale dla mnie wystarczający.

- Będiesz hodował owce? Ty? Przypuszczałam, że zostaniesz w Oksfordzie.

Gdyby Max nie odziedziczył rodzowego majątku, prawdopodobnie bym został, pomyślał Richard i wrócił do spraw posiadłości.

- Hodowla owiec ma długą i chlubną tradycję. Oglądałem archiwa w Blakeney. Sięgają setek lat wstecz i dużo w nich wzmianek o owcach.

Dziwne, hodowla owiec wydała mu się równie atrakcyjnym zajęciem jak studia w Oksfordzie. Próbował to wyjaśnić Thei i złapał się na tym, że od godziny opowiada o sobie. Spojrzał na zegar stojący na kominku.

- Pewnie cię zanudziłem. Dlaczego nie kazałaś mi zamilknąć?

- Wcale się nie nudziłam. Wyobrażałam sobie ciebie w roli właściciela ziemskiego i hodowcy. Moim zdaniem to interesująca perspektywa. Spokojne i pracowite życie, z pewnością satysfakcjonujące. Praktyczne zajęcia wypełniające dni, ale także coś dla umysłu. Chyba właśnie o tym marzyłeś.

Ze zdziwieniem zauważył, że Thea trafiła w sedno. Oxford nigdy mu w pełni nie odpowiadał. Myśl o przyszłej karierze duchownej porzucił bez wahania, gdy zawezwał go Max. W głębi duszy nie był do niej przygotowany.

- A ty? - zapytał. - Co robiłaś przez te lata? Poniewczasie zorientował się, że być może nie życzyła sobie pytań na ten temat. Nie da się wstrzymać lotu wypuszczonej z łuku strzały, pomyślał, nie odrywając wzroku od szachownicy.

- Niewiele - odparła po dłuższej chwili: - Po zakończeniu żałoby zostałam u ciotki Marii. Potrzebowała towarzystwa, a ponieważ nie zamierzałam wyjść za mąż, było to wygodne dla nas obu.

Richard uświadomił sobie, że Thea powtórzyła to, co mówiła wczoraj o niechęci do zamążpójścia.

- Mój brat też zapewniał, że nigdy się nie ożeni - powiedział. - A teraz jest szczęśliwy.

Thea uniosła wzrok znad szachownicy.

- Cieszę się. Opowiedz mi o swojej bratowej. Czy to prawda, że spodziewa się dziecka?

W głosie Thei dosłyszał nostalgiczną nutę. Poruszyło go to. Czy macierzyństwo było czymś, czego pragnęła, ale uznała, że nigdy jej nie spotka? Zauważył, że zmieniła temat, i nie pozostawało nic innego, jak to zaakceptować.

Wykonał ruch na szachownicy i zaczął jej opowiadać o Maksie i Verity, a także o tym, że brat jest bardziej przejęty perspektywą pojawienia się dziecka niż jego żona.

Thea nie odrywała wzroku od szachownicy. Wydawać by się mogło, że jest skoncentrowana wyłącznie na grze, ale niespokojne ruchy dłoni, nieustannie

poprawiających mankiety i obracających pierścionek z turkusem na małym palcu, świadczyły o czym innym.

Richard z trudem koncentrował uwagę na grze. Ciekawszy od ruchu figur wydawał mu się loczek, który wymknął się spod czepka Thei i laskotał ją po twarzy, tak że raz po raz odgarniała go niecierpliwie. Korciło go, żeby jej w tym pomóc, a nawet rozpuścić wijące się włosy Thei i zanurzyć w nich palce. Zapragnął wziąć ją w ramiona, przytulić, całować... Opanował pożądanie. Jak mógł do tego dopuścić? Musi zabiegać o Theę, zjednać ją sobie, stać się jej przyjacielem.

Uprzytomnił sobie, że w ciągu dwóch godzin przeszedł drogę od rozważań na temat sensowności ich związku do rzeczywistych zabiegów. Już raz kochała i nie pragnie znowu angażować się uczuciowo. Czy rozważy małżeństwo oparte na przyjaźni i wzajemnym zrozumieniu? Czy to jej wystarczy?

Wyciągnęła rękę, a on zafascynowany obserwował zręczne ruchy jej palców przestawiających figurę na szachownicy. Powinien przewidzieć, że zauważy tę pułapkę. Kolejne pytanie, na które musiał znaleźć odpowiedź: czy takie małżeństwo jemu wystarczy?

Otworzyły się drzwi.

- Pan Winslow - zaanonsował Myles.

- David! - zawołała na widok brata Thea.

Winslow obrzucił scenę w salonie wyraźnie niezyczliwym spojrzeniem.

- Witaj, Winslow.

- Cześć, Blakehurst. Przypominam sobie, że grywałeś w szachy. Przeszkadzam? - Wykrzywił usta w mało zachęcającym uśmiechu.

- Tak, przeszkadzasz - odparł Richard. - Będziesz musiał poczekać na swoją siostrę trzy sekundy. - Posłał Thei szeroki uśmiech. - Tyle bowiem zajmie jej zabicie mojego hetmana.

Thea parsknęła śmiechem, co Richard powitał z radością. Zauważył nieoczekiwaną reakcję Davida, który sadowił się właśnie na kanapie i spojrzał na siostrę, jakby ją zobaczył pierwszy raz w życiu. Z niedowierzaniem przenosił wzrok Thei na Richarda, a potem znowu na siostrę.

- Nie przeszkadzajcie sobie - powiedział.

Zgodnie z przewidywaniami, Richard nie musiał długo czekać na utratę hetmana.

- To dla mnie nauczka, nie doceniałem cię, Theo. Zrewanżuję ci się przy pierwszej nadarzającej się okazji. - Wstał. - Do widzenia, zostawiam was - rzekł do Winslowa.

David również się podniósł.

- Zastanawiałem się, Blakehurst... - Zawahał się, ale szybko podjął decyzję. - Chciałbym z tobą porozmawiać - dokończył.

Richard wytrzymał badawcze spojrzenie Davida.

- Naprawdę? - Ciekawe, co to ma być. Wyzwanie? Ostrzeżenie? - zastanawiał się Richard.

- Może dałbyś się zaprosić do mnie na kolację w tym tygodniu? Zatrzymałem się na Jermyn Street - poinformował David i podał Richardowi wyciągniętą z kieszeni wizytówkę.

- Doskonale, Winslow. O której?

- Może być o ósmej?

- Oczywiście - odrzekł Richard i zwrócił się do Thei: - Dzisiaj wieczorem zarezerwuj dla mnie taniec. Może nawet dwa.

- Taniec?

- Tak. Wiesz, co to taniec, prawda? - odparł Richard i opuścił salon.

Thea nie przypuszczała, że Richard zechce zatańczyć. Zazwyczaj inaczej spędzał czas podczas przyjęć: gawędził ze znajomymi i grał w karty.

- Dlaczego chcesz rozmawiać z Richardem? - zapytała brata. Nie od razu odpowiedział, wpatrując się w szachownicę.

- Zapomniałem, jak bardzo cię lubił - odrzekł po namyśle. - Chwała mu za to, że wczoraj wieczorem uwolnił cię od towarzystwa Dunhavena. Co prawda, potem z tego skorzystał, żeby być z tobą sam na sam.

Natychmiast zorientowała się, dokąd to zmierza.

- Nie! - zaprzeczyła gwałtownie, wykreślając z pamięci spojrzenie Richarda, które przez krótką chwilę wyrażało coś więcej niż przyjaźń. - To znaczy, tak. Zrobił to, ale nie wyciągaj pochopnych wniosków. Chciał mnie ostrzec przed Dunhavenem. Podobnie jak ty.

Nie pocałował jej, a ona nie była ciekawa, co by się stało, gdyby Richard ją pocałował. Przekonała się, jak to wygląda.

- Thea...

- Nie!

Starła się nie zwracać uwagi na wewnętrzny głos, który podpowiadał, że tym razem mogłoby być inaczej. Mogłaby wieść spokojny żywot u boku Richarda. Czy to sprawiedliwe i uzasadnione wypychać wszystkich mężczyzn do jednego worka? Pocałunki Richarda mogłyby być inne, tak jak on jest inny.

Ale czy strach kieruje się rozsądkiem?

- Masz rację. Richard mnie lubi. Przyjaźnimy się. Daj spokój, Davidzie. Nie mam tak wielu przyjaciół, żeby było mnie stać na utratę choćby jednego.

- Jesteś pewna, że utraciłabyś przyjaciela?

- Zastanów się, jak ty zachowałbyś się w podobnej sytuacji.

- No dobrze. Włóż kapelusz i okrycie. Zabieram cię na lody do cukierni.

- Lody?

- Przecież lubisz lody. Założę się, że przez ostatnich osiem lat nie byłaś na lodach!

Richard odnalazł Mylesa w pomieszczeniu, gdzie składano zastawę stołową. Uznał, że nadszedł moment, kiedy nie wolno mu uchylać się od działania.

- Kto przysłał list? Nie potrafię odpowiedzieć - odparł na pytanie Richarda Myles. - Drzwi musiał otworzyć Edmund, bo on dzisiaj pełnił służbę przy wejściu. Przyszedł do mnie z listem i chciał wiedzieć, gdzie można znaleźć pannę Winslow. To ja go zaniósłem.

- Proszę przysłać Edmunda do mojego pokoju - polecił Richard.

Sprawa nie była łatwa do wyjaśnienia. Okazało się, że lokaj Edmund nie widział osoby, która przyniosła list. Ktoś zadzwonił do drzwi, a kiedy je otworzył, znalazł list na progu. Mignął mu tylko uciekający chłopiec.

Richard rozłożył na stoliku oba listy: ten, który poprzedniego wieczoru przekazano mu przed domem, i ten, który dostarczono Thei. Oba były napisane na takim samym papierze, raczej dobrej jakości. Znak wodny nic nie wnosił. Był dość rozpowszechniony. Charakter pisma? Drukowane litery stawiane w taki sposób, żeby niczym szczególnym się nie wyróżniały. Papier lekko pachniał kwiatowym aromatem. Wyglądało na to, że osoba, która pisała listy, miała uperfumowany przegub dłoni. Zatem pochodziły od kobiety.

Stało się jasne, przed uznaniem czego wzbraniał się do tej pory, że „pozłacaną dziwką” jest Thea. Przypomniał sobie fragment rozmowy podsłuchanej u Fothergillów: „Dostałam bardzo interesujący list, moja droga”... Najprostszy sposób, żeby wywołać falę plotek.

Ogarnęła go bezsilna złość. Jeśli schwyta winowajczynię, już ona go popamięta. Z pewnością nie będzie to łatwe, lecz nie niemożliwe. Chociaż w tej sytuacji byłoby mądrzej wynająć mieszkanie na mieście, Richard postanowił, że nie ruszy się z Arnsworth House.

Rozdział piąty

W drodze na Jermyn Street Richard zastanawiał się, czemu zawdzięcza zaproszenie Davida Winslowa. Służący wprowadził go do gustownie urządzonego, chociaż nie najlepiej utrzymanego salonu, w którym wkrótce pojawił się gospodarz. Uśmiechał się przyjaźnie, ale widać było, że jest spięty.

- Blakehurst - wyciągnął dłoń na powitanie - powinienem cię przeprosić. Brandy?

- Proszę.

- Braybrook zwrócił mi uwagę na to, że tamtego dnia pochopnie oceniłem sytuację.

Richard zajął wskazany przez Davida fotel przy kominku. Sączyli brandy, zapatrzeni w ogień.

- Braybrook udzielił mi pewnej rady - przerwał milczenie Winslow.

Richard spojrzał nań uważnie. Rady Juliana bywały często rozsądne i prawie zawsze szokujące.

- Naprawdę? - Starał się okazać raczej umiarkowane zainteresowanie niż podejrzliwość.

- Tak. - Winslow obracał kieliszek w dłoni. - Przekonał mnie, że gdybyś polował na bogatą żonę, to Almeria już dawno temu by cię wyswatała. Powiedział też, że tylko ty jesteś w stanie pomoc Thei.

Richard zachłysnął się brandy.

- Skąd taki wniosek? - zapytał, gdy odzyskał oddech.

- Po pierwsze, nie zależy ci na ożenku, po drugie, jesteś na miejscu, a po trzecie... - zawahał się. - Widziałem to dziś po południu. Znaie się od dziecka i ona traktuje cię jak przyjaciela. Braybrook opowiedział mi o twoim starciu z Dunhavenem i twierdzi, że nie będziesz zadawał pytań, na które ja nie mógłbym odpowiedzieć.

Richard milczał. Co też ten Winslow zobaczył dzisiaj po południu? - zastanawiał się.

- Wziąwszy pod uwagę te wszystkie pytania, których nie zadaję, będąc wzorem dyskrecji - starał się, żeby nie zabrzmiało to zbyt ironicznie - czy byłbyś uprzejmy wyjaśnić mi, dlaczego Thea miałaby potrzebować mojej pomocy? I może dodasz co, twoim zdaniem, mogę dla niej zrobić?

- Thei nie interesuje małżeństwo. Po tym, co wydarzyło się osiem lat temu, nie życzy sobie wyjść za mąż. Niestety, nasz ojciec ma zupełnie inne zdanie w tej materii. Domyślam się, że podzielasz moją opinię na temat Dunhavena jako kandydata do ręki Thei?

- Sądzę, że to w najwyższym stopniu możliwe - odrzekł Richard. - To stary cap - dodał i uzupełnił w myślach: Thea i Dunhaven? Po moim trupie.

- No właśnie.

- Różnie powiadają o śmierci jego pierwszej żony. - Richard brzydził się plotkami i unikał ich powtarzania, ale w tym przypadku, uczynił odstępstwo od swoich zasad.

David milczał. Nawet nie wyglądał na zaskoczonego.

Zbyteczna byłaby sugestia, żeby ostrzegł Aberfielda, uznał Richard. Aberfield wiedział i nie dbał o to, co mógł uczynić Dunhaven.

- Czy wiesz, Winslow, że nie musiałeś mnie o nic prosić? Myślisz, że dopuściłbym takiego bydlaka jak Dunhaven w jej pobliże?

- Znajdą się inni - stwierdził David. - Ten jest najgorszy, co do tego nie mam wątpliwości. Nie chciałbym, żeby nasz ojciec zmusił Theę do przyjęcia oświadczyn Dunhavena.

- Jak mogłoby to mu się udać? - zdziwił się Richard.

- Plotki są doskonałym narzędziem.

- Nie rozumiem.

Winslow najwyraźniej zastanawiał się, jak dobrać słowa.

- Ktoś rozpuścił wiadomość, ile odziedziczyła Thea. Ojciec postanowił wydać ją za mąż za swojego kandydata, zanim ona stanie się celem łowców posagów.

Richard ocenił, że Winslow nie mówi mu wszystkiego, ale on też nie był do końca szczery.

- Wybacz, wczoraj podsłuchałem... - Urwał na widok poirytowanej miny gospodarza. - Co się wściekasz? Uspokój się. Bardzo chętnie ci pomogę, ale muszę wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

David złagodniał.

- Pewne plotkary twierdziły, że nie rozpacz po Lallertonie, lecz jakaś niedyskrecja była powodem izolacji Thei od świata - ciągnął Richard.

- Tak mówiły?

- Tak, i nic nie możemy na to poradzić. Na przykład wyzwąć na pojedynek.

- My? Blakehurst? Jacy „my”? Taki przywilej jest zarezerwowany dla brata, męża albo narzeczonego.

Richard zignorował tę uwagę. Dziwne, ale pomysł wyzwania kogoś w obronie honoru Thei nie wydawał mu się absurdalny. Zwłaszcza gdyby chodziło o Dunhavena.

- Uderzyło mnie, że plotki pojawiły się tak szybko po powrocie Thei do Londynu. Sugerowałyby to, że ludzie mówili o tym między sobą już wcześniej. Czy to nie jest przypadkiem jeden z powodów determinacji twojego ojca, żeby jak najszybciej wydać Theę za mąż?

Winslow bębnił palcami po powierzchni stolika. Richard znowu odniósł wrażenie, że brat Thei zastanawia się nad odpowiedzią.

- Ojcu zależy na uniknięciu skandalu. Rozważana jest w tej chwili jego kandydatura na stanowisko w rządzie.

Wszystko to składało się w całość, ale dlaczego w ogóle pojawiły się plotki? Kto je rozpuszczał? Plotki stanowią nieodłączną część życia socjety, ale

zazwyczaj dotyczą zdarzeń bieżących, a nie skandalu, który potrzebował ośmiu lat, by dojrzeć. Chyba że ktoś ma w tym interes.

- Ktoś najwidoczniej chce zablokować nominację twojego ojca.

- To możliwe. To by pasowało do układanki.

Aż za dobrze. Jeśli tak było istotnie, Winslow nie powinien być tym zaskoczony. I jak w tej układance mieszczą się anonimy? Czy wspomnieć o nich? - zadał sobie w duchu pytanie Richard. Thea najwyraźniej nic na ten temat nie powiedziała. Gdyby to zrobiła, David wiedziałby to, o czym wiedział Richard.

- Blakehurst?

- Przepraszam, zamyśliłem się.

- Braybrook ostrzegał mnie przed tym także. Mówił, że nie będziesz zadawał pytań, ale nic nie powstrzyma cię od myślenia. Możemy siadać do stołu?

- Jak najbardziej - odparł Richard.

Zdecydował, że nie wspomni Winslowowi o anonimach. Zanim mu się z tego zwierzy, musi najpierw wyjawic Thei, że on też dostał list. Nie uważał za stosowne zapewnić Davida, że postanowił mieć oko na Theę. Winslow zaczęłyby wypytywać dlaczego, a Richard nie był pewny, czy dojrzał do udzielenia odpowiedzi.

David dopił brandy i zadzwonił na służącego. Richard postanowił zadać mu ostatnie pytanie.

- Dlaczego nie postawisz się ojcu i nie zaprotestujesz przeciwko wydaniu siostry za Dunhavena? Jesteś bratem. Nikt cię nie potępi za sprzeciwianie się temu związkowi, nawet jeśli wasz ojciec upadł na głowę i nie widzi w tym nic złego?

- Obawiam się, Blakehurst, że jest to jedno z tych pytań, na które nie mogę ci odpowiedzieć.

A zatem będę musiał sam do tego dojść, uznał Richard. Jak wiążą się z tym te dwa przekłete anonimy, jeśli się w ogóle wiążą? Było jeszcze jedno pytanie, którego Richard nawet nie próbował zadać: dlaczego w oczach Aberfiolda Dunhaven był odpowiednim kandydatem do ręki córki?

Z rosnącą pewnością siebie Thea rozglądała się po sali wynajętej na dzisiejszy bal przez lady Montacute. Ciężka woń cieplarnianych kwiatów zmieszana z zapachem woskowych świec, hałas i gorąco powinny ją przerażać, a tymczasem nic takiego nie miało miejsca.

Krawcowa przygotowała jej prześliczną muślinową suknię w kolorze czerwonych maków, ozdobioną złotą koronką. Kolor może trochę śmiały, ale „ma pani już swoje lata, nie musi ubierać się jak dziewczynka”, zapewniała modniarka. Thea czuła się bezpiecznie w nowej sukni. Niewykluczone, że miał z tym coś wspólnego sztywny gorset i nieodłączny rekwizyt w arsenale damy - wachlarz z pawich piór, który mógł okazać się wielce pomocny w utrzymaniu intruzów na odległość.

Dobre samopoczucie Thei wzmacniał fakt, że Richard zarezerwował u niej dwa tańce. Ze wszystkich tańców najbardziej przerażał ją walc. Myśl o znalezieniu się w objęciach obcego mężczyzny wywoływała zimny dreszcz. Tym razem była w komfortowej sytuacji. Wachlując się niedbale, mogła odmawiać. Miała nadzieję, że Richard zjawi się na czas.

Richard wszedł do sali balowej w towarzystwie Davida Winsłowa. Jednym rzutem oka zlokalizował Theę. Stała przy palmie, obok na kanapie siedziała Almeria. Otaczała ich grupka mężczyzn, którzy pragnęli wpisać się do karnetu Thei. Nagle na ich drodze wyrósł elegancki i postawny sir Francis Fox-Heaton.

- Panie Blakehurst, pozwoli pan, chciałbym zamienić parę słów z panem Winsłowem.

Richard ruszył sam ku Almerii i Thei. Kątem oka dojrzał zbliżającego się Dunhavena. Ten, w odróżnieniu od gromady młodzieńców otaczających Theę, był groźny.

- Panno Winslow - protestował jeden z młodych ludzi - oba walce zajęte? Nie zdradzi pani, dla kogo je pani zarezerwowała?

- Panna Winslow - wtrącił lord Dunhaven - zatańczy walca ze mną. To wcześniejsze ustalenie.

- Tak? - zapytała Thea. Jej wachlarz znieruchomiał. - Wcześniejsze ustalenie? A z kim, milordzie, jeśli wolno spytać? Obawiam się, że nie ze mną.

Uprzejma, delikatna Thea wymierzyła Dunhavenowi prztyczka w nos, jakiego nie powstydziałaby się lwica salonowa.

Uśmiech i łagodny ruch wachlarza miały złagodzić odmowę. Almeria, zajęta rozmową ze znajomą, zaczęła nasłuchiwać ze zdwojoną uwagą.

Lord Dunhaven nie dawał za wygraną.

- Myślę, że w danych okolicznościach... Dzisiaj po południu rozmawiałem z pani ojcem.

- Doprawdy? Jak on się miewa?

- Doskonale, panno Winslow. Zapewniał mnie, że będzie pani uszczęśliwiona...

- Jak to zmieniają się czasy, milordzie - nie wytrzymał Richard. - Wbrew temu, co zapamiętał lord Aberfield ze swej młodości, o taniec prosi się damę, a nie jej ojca. - Skłonił się Thei. - Tak jak ja to uczyniłem już wcześniej. - „Wcześniej” mogło odnosić się do kilku innych okazji, niekoniecznie do popołudnia sam na sam w Arnsworth House.

Nie zamierzał stosować tej samej strategii, co Dunhaven i stawiać Thei w przymusowej sytuacji, ale stało się. Nie umówili się, które tańce z nim zatańczy, liczył się więc z odmową.

Thea przyglądała mu się badawczo znad wachlarza.

- Milordzie, może innym razem - powiedziała. - Ten taniec obiecałam panu Blakehurstowi.

- To pan Blakehurst tańczy? Pierwsze słyszę.

- Oczywiście, że mój siostrzeniec tańczy - wtrąciła poirytowana lady Arnsworth.

- Idziemy? - Richard podał Thei ramię. Prowadząc ją na parkiet, nie wytrzymał: - Nadęty błazen!

- Richard! To nie jest śmieszne! - wyszeptała. - Co, jeśli on...

- Jeśli on spróbuje jakiś sztuczek, będzie miał ze mną do czynienia.

- Ja nie martwię się o siebie, tylko o ciebie.

Zaskoczyła go. Dojrzała na jego twarzy czuły uśmiech, odzwierciedlający uczucia, które od dawna uważała za niedostępne dla niej. Ciągłe się bała, ale pod powierzchnią strachu tliła się nadzieja, wyraźna, namacalna. Wstrzymała oddech... Gdyby tylko... Och, gdyby tylko!

- Gdzie usiądziemy? - zapytała.

- Nigdzie. Zatańczymy.

- Słucham?

- Tak, chyba że wolisz usiąść - powiedział wyraźnie zawiedziony Richard.

Bezpieczniej byłoby nie zatańczyć, pomyślała Thea. Taniec sprawia, że ludzie są blisko, a muzyka przyprawia o zawrót głowy. Tak jak ten nagły błysk w ciemnych oczach Richarda. Nie potraktowała serio jego zaproszenia do tańca i nie przypuszczała, że on rzeczywiście chciał tańczyć.

Właściwie dlaczego nie? Spośród wszystkich mężczyzn na świecie przy nim czuła się najswobodniej i najbezpieczniej. Dopła szampana i zapewniła z uśmiechem.

- Z przyjemnością będę twoją partnerką na parkiecie, Richardzie.

Wziął jej pusty kieliszek i wraz ze swoim oddał przechodzącemu lokajowi.

Nie wiedziała, co przeważy. Strach? Wstręt? Nie wobec Richarda.

A co z dystansem, z którym traktowała każdego, kto znalazł się zbyt blisko? Okazało się, że gdy znalazła się w ramionach Richarda, skupiła się na dopasowaniu rytmu do jego nierównych kroków. Zbędny wachlarz zwisał z przegubu dłoni. Poczula się bezpiecznie. Nie tego się spodziewała.

Trzymał ją pewnie w ramionach. Wirowali w takt walca. Czula bijącą od Richarda siłę i było jej przyjemnie, że ją wybrał. Od lat nie doświadczyła takiego uczucia. Czyżby wróciła do życia?

Uniosła wzrok ku jego twarzy i przyglądała się tak, jakby jej nigdy wcześniej nie widziała. Wyraziste rysy, głębokie brązowe oczy pod ciemnymi łukami brwi. Bruzdy wyrzeźbione chyba przez ból. Na niektórych ta twarz mogła sprawiać wrażenie surowej, ale uśmiech ją łagodził. Teraz Richard uśmiechał się, jak gdyby chciał powiedzieć, że taniec z Theą to przyjemność. Odpowiedziała uśmiechem.

Nie przypuszczał, że tak będzie. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek tak było. Dawno nie tańczył, w każdym razie nie walca. W gruncie rzeczy Thea należała do nielicznych kobiet, które zaprosił do walca. Jego kroki były nierówne, jak zawsze. To się nie zmieniło. Co go zadziwiło, to zachwyty, z jakim prowadził po sali balowej smukłe i gibkie ciało Thei, nie bacząc na wzmagający się ból nogi. Z jeszcze większym zachwytem spoglądał w jej jasnoniebieskie oczy, a delikatny rumieniec na bladych policzkach i rozchylone usta sprawiały, że w pewnym momencie zapominał o bolącej nodze.

Uśmiechnęła się do niego nieśmiało, jak gdyby niepewna jego reakcji. A gdyby tak poprowadzić ją w jakieś ustronne miejsce i pocałować? Nie raz, lecz wiele razy, do utraty tchu. Ze zdumieniem stwierdził, że gdyby uległ tej zachciance, czar by prysnął.

Żadna kobieta nie działała tak w tańcu na jego zmysły. Chciał być jeszcze bliżej niej, upajać się łagodnym kwiatowym zapachem, czuć na twarzy delikatny oddech Thei. Nigdy dotąd nie odczuwał potrzeby przyciągnięcia kobiety do siebie tak blisko, żeby jej uda ocierały się o jego uda, a jej piersi oparły o jego

tors. Każdy miesiąc napinał się w nim do granic wytrzymałości, żeby tego nie zrobić.

Poznał od razu, kiedy wyczuła zachodzącą w nim zmianę. Nagle usztywnił ramiona, zgubił krok.

- Richard?

- Tak?

- Wiem, że boli cię noga. Staniemy?

- W żadnym wypadku.

- Jesteś pewien?

- Tak. Źle stąpnąłem. To minie w ruchu.

Taniec dobiegał końca. Znajdowali się poza zasięgiem wzroku przyzwoitek. Thea promieniała. Jemu było gorąco i nie miało to nic wspólnego z wysoką temperaturą panującą na sali. Orkiestra ucichła, a Richard był cały rozedrgany. Za wszelką cenę muszę się opanować, nakazał sobie w duchu. Dawno nie był z kobietą. Oto skutek. Pułapka, w którą wpadł w najmniej oczekiwanym czasie i miejscu. Logiczne, ale ambarasujące.

Ich spojrzenia się spotkały.

W takim miejscu zapragnąć kobiety! Zwłaszcza kobiety, której nie można tknąć. Podopiecznej i chrzestnej córki jego ciotki. Powoli napięcie ustępowało. Rozczulał go teraz widok rozradowanej twarzy Thei. To coś nowego. Zawsze darzył sympatią swoje partnerki - nie wyobrażał sobie intymności bez obopólnej sympatii - ale to, co czuł teraz, było nowe i świeże.

- Jeszcze szampana? - zaproponował lekkim tonem, na jaki z trudem się zdobył.

Znał Theę od lat, nic dziwnego, że był wobec niej opiekuńczy. Ale skąd tyle w nim czułości, tyle zachwyty na widok jej uśmiechniętej twarzy?

- Witam, panie Blakehurst.

Zmroziło go. Odwrócił się. Z kamienną twarzą patrzył na nich lord Aberfield. Richard uklonił się starszemu panu. Thea zastygła w bezruchu. Gdzie

podzielała się kobieta, z którą tańczył? Na jej miejscu stał marmurowy posąg. Błękitne oczy były koloru arktycznego nieba. Przywitała ojca bezosobowym tonem.

- Dobry wieczór, milordzie.

Forma powitania była bez zarzutu, ale nazbyt oficjalna. Wobec ojca stanowiła afront. Aberfield spurpurowiał.

- Dobry wieczór. Pozwól, Dorotheo, chcę z tobą porozmawiać na osobności. Chodźmy, córko, mam ci wiele do powiedzenia.

- Teraz? - Zasłoniła się otwartym wachlarzem. - Przypuszczałam, że odwiedzisz mnie jutro w Arnsworth House. Będziemy tam mogli porozmawiać bez przeszkód. Jaka pora ci odpowiada?

- W tej chwili!

Thea uśmiechnęła się zimno.

- Niestety, w tym momencie nie możemy wziąć powozu lady Arnsworth i pojechać do domu. Oczekuję cię jutro o dogodnej dla ciebie godzinie.

Aberfield wyglądał tak, jakby za chwilę miał wybuchnąć, ale najwyraźniej nad sobą zapanował, bo skinął głową i odszedł.

Na wieść o zapowiedzianej wizycie lorda Aberfielda lady Arnsworth przypomniała, że przecież Thea wybierała się na spacer z lady Chasewater.

- Przepraszę ją listownie. Ojciec ma przecież pierwszeństwo. - Thea była zadowolona, że ma pretekst, aby odwołać spotkanie z lady Chasewater.

- Nie wspomniał, o której przyjdzie. Wydam Mylesowi dyspozycję, żeby poza twoim ojcem i, naturalnie, bratem nie wpuszczał żadnych mężczyzn. Mnie nie będzie w domu. Czeka mnie kilka wizyt, a potem jadę do parku. A jeśli przyjdzie ci do głowy zagrać w szachy z Richardem - kontynuowała Almeria - to nie zamykajcie drzwi do salonu. Richardowi możesz ufać jak bratu, ale wiesz, że nie należy dawać powodów do plotek. Na wypadek, gdyby ktoś zastał was razem. Twojemu ojcu by się to nie spodobało.

Rozdział szósty

- Przyszedł lord Aberfield, panienko - oznajmił Myles. - Mam go wprowadzić?

Thea odłożyła pióro. Pisała do Diany Fox-Heaton, aby podziękować za zaproszenie na piknik w nadchodzącym tygodniu. Przyjęcie ojca w małym saloniku uraziłoby jego dumę.

- Proszę zaprowadzić jego lordowską mość do frontowego salonu. - Duch przekory podpowiedział Thei inny sposób zagrania Aberfieldowi na nosie. - Proszę także powiedzieć mu, że zaraz tam będę.

Słyszała, jak Myles wprowadza gościa do sąsiedniego pokoju, proponuje mu coś do picia, a ten odmawia. Nie spieszyła się. Dokończyła list do Diany, przeczytała go, zapieczętowała, zaadresowała i zadzwoniła na Mylesa. Gdy przyszedł, wręczyła mu list z prośbą o natychmiastowe doręczenie.

- I proszę za kwadrans podać herbatę do dużego salonu.

Poprawiła na sobie elegancką poranną suknię, wepchnęła niesforny loczek pod koronkowy czepek, przybrała obojętną minę i wkroczyła do frontowego salonu przez drzwi łączące go z małym salonikiem.

- Dzień dobry, milordzie. Musiałeś poczekać. - Trzeba by wyjątkowo dobrej woli, żeby uznać te słowa za przeprosiny. I to było zamierzone.

- Gdzie się podziewałaś, do diabła? - Aberfield był czerwony na twarzy i patrzył na córkę złym wzrokiem.

- Musiałam dokończyć list - oznajmiła z niewinną miną. - Proszę, usiądź. - Sama zajęła miejsce w fotelu ustawionym w pewnej odległości od miejsca wskazanego ojcu.

Aberfield nie tracił czasu na powitania.

- Powiesz mi, w co grasz z tym Blakehurstem? W najlepsze puszczasz się z nim w tany, gdy uhonorował cię zaproszeniem Dunhaven?

O to chodzi! Ale z niego głupiec! Nie wyciągnął wniosków z przeszłości?

- W co gram? W odróżnieniu od innych, w nic. Pan Blakehurst poprosił mnie do tańca...

- Najpierw zrobił to Dunhaven!

- Niestety, nie. Richard był pierwszy.

- Nie licz na Blakehursta, jeśli zamierzasz użyć go w swojej grze w kotka i myszkę z Dunhavenem. Za cienki na to. Blakehurstowie nie dorastają Dunhavenowi do pięt, a ten jego brat zrobił z siebie durnia. Wiedziałem, że Almeria Arnsworth będzie wylazła ze skóry, żeby wydać cię za niego, ale on wystawił do wiatru wiele panien bogatszych od ciebie - perorował lord Aberfield, nie przebierając w słowach. - Nawet takich, które nie przeszły przez ręce innych mężczyzn.

Co Aberfield powiedział Dunhavenowi? Nie mogła uwierzyć, żeby wyjawiał mu prawdę. To niemożliwe.

- Można się zastanawiać - zapytała od niechcienia - co skłaniałoby lorda Dunhavena do obniżenia wymagań?

Ryba złapała haczyk.

- Dunhaven potrzebuje dziedzica. Jak spotka bogatą kandydatkę, co do której będzie miał pewność, że jest w stanie urodzić potomka, gotów jest przymknąć oko na różne rzeczy. Nawet jeśli znajda umarła, to przynajmniej dowiodłaś, że byłaś w stanie ją donosić i urodzić.

Thea czuła rosnącą w gardle gulę; za chwilę się udusi.

- Jego pierwszej żony nawet na to nie było stać. Jeśli dodać do tego twój majątek, będziesz dla niego cennym nabytkiem.

- Nie wątpię, ale proszę mi powiedzieć, milordzie, czy to nie nazbyt duże ryzyko powierzać Dunhavenowi taki sekret?

- Chyba nie będzie chciał zaszkodzić własnej żonie. Jak się pobierzecie, będzie milczał w swoim własnym interesie. Chce się z tobą ożenić.

- A co, jeśli ja nie chcę?

- Wyjdiesz za niego, bo ja... bo ja...

- Bo ty co? - Dosyć udawania. Thea wstała, obrzucając ojca hardym spojrzeniem. - Nie masz nade mną żadnej władzy. Możesz się mnie wyrzec, ale za dwa i pół miesiąca skończę dwadzieścia pięć lat i dostanę dwieście funtów rocznie. Dla ciebie to nic, ale ja świetnie sobie poradzę z taką sumą.

Aberfield też wstał. Miał twarz w czerwone cętki.

- Taka jest twoja wdzięczność za to, że osiem lat temu uchroniłem cię przed upadkiem!

Thea zadzwoniła na Mylesa.

- Wyjaśniliśmy sobie wszystko, prawda, milordzie?

- Nie zobaczysz złamanego pensa! Roześmiała się.

- Nie boję się. Zgodnie z testamentem nic nie może powstrzymać wypłaty dwustu funtów rocznie, gdy skończę dwadzieścia pięć lat. Będę niezależna i zrobię, co mi się spodoba.

- Wyjdiesz za Blakehursta?

- Nie twoja sprawa, milordzie.

- Upewnij się, czy zrozumiał, że przed trzydziestką nie zobaczysz więcej niż dwieście funtów na rok.

W otwartych drzwiach stanął kamerdyner.

- Myles, jego lordowska mość wychodzi. Aberfield opuścił salon z twarzą wykrzywioną furią.

Po jego wyjściu Thea usiadła w fotelu. Uszło z niej powietrze. A jednak to zrobiła. Przeciwstawiła się ojcu, zmusiła go, by zrozumiał, że nie ma już nad nią władzy. Że nie może zmusić jej do małżeństwa i kontrolować jej życia. Groźba, że nie dopuści, aby przed ukończeniem trzydziestki dostała więcej niż dwieście funtów rocznie, świadczyła o tym, że pogodził się z myślą, że ona nie wyjdzie za Dunhavena. Miała wolną rękę. Mogła spokojnie zastanowić się, co dalej.

Przyszłość rysowała się niedostatnia, ale spokojna. O ile pozbędzie się bólu i poczucia winy. Dziecko nic nie zawiniło. Czy ona ponosi odpowiedzialność za jego śmierć? Może nie, ale na pewno z jej winy spoczęło w nieoznaczonym grobie, nad którym nikt nigdy nie zapłakał. Ono. Brzmi to tak sucho. Bez uczucia. Aberfield nie nazywał go inaczej niż bachor lub znajda, jak gdyby jego życie nie miało żadnego znaczenia. Ono. Nawet nie wiedziała, czy było chłopcem, czy dziewczynką. Nie chcieli jej powiedzieć.

Usłyszała dzwonek u drzwi wejściowych, potem jakiś podniesiony głos i wreszcie trzaśnięcie drzwiami.

Po raz pierwszy od siedmiu lat ktoś wspomniał o jej nieżyjącym dziecku. Stanowiło dowód jej płodności.

Zacisnęła pięści z bezsilnego gniewu. Jaka była dotychczas głupia. Gdyby zorientowała się na czas... Teraz wiedziała, co należało zrobić, ale było za późno, o wiele za późno.

- Tak, Myles? - zapytała kamerdynera, który stanął w drzwiach.

- Herbata, panienko. - Patrzył na nią ze współczuciem. - Jeśli mogę coś doradzić, to uważam, że powinna się pani zdrzemnąć.

Omali się nie rozpląkała. Stary sługa potrafił okazać jej tyle ciepła, podczas gdy ojciec traktował ją tak bezwzględnie.

- Dziękuję, Myles. Zrobię to. - Ruszyła w stronę drzwi. - Nie wypiję herbaty. Przepraszam za fatygę.

- Proszę się nie przejmować, panienko. - Zawahał się. - Był tu lord Dunhaven. Zaraz po wyjściu lorda Aberfielda.

Aha, stąd ten podniesiony głos przy drzwiach wejściowych.

- Powiedziałaś, że nie przyjmuję?

- Nie, panienko, chociaż lady Arnsworth tak mi kazała. Pan Blakehurst też mi to wbijał w głowę. Powiedziałem, że nie ma pani w domu.

Poweselała.

- Nigdy nie ma mnie w domu dla lorda Dunhavena ani dla lorda Aberfielda, chyba że poinformuję cię, że się z nimi umówiłam.

- Bardzo dobrze, panienko.

Przyszła pokojówka i pomogła Thei zdjąć suknię i rozsznurować gorset. Ubrana tylko w bieliznę, wślizgnęła się pod nakrycie na łóżku i zamknęła oczy.

Gdy je otworzyła, cienie w pokoju się przesunęły. Nie spała długo. Stojący na kominku zegar to potwierdził. Nie dłużej niż półtorej godziny. Czowała się lepiej na duszy i na ciele.

Przeciwstawiła się ojcu i teraz miała poczucie, jakby oczyściła organizm z trucizny. Nie była szczęśliwa, ale nie targła nią rozpacz. Na toaletce stała drewniana, rzeźbiona szkatułka. Najwyższy czas wykonać odkładane od dawna zadanie uporządkowania kolekcji... czego? Szpargałów? Pamiątek? Od kiedy była małą dziewczynką, chowała do szkatułki „drogocenne” przedmioty: zaproszenia na przyjęcia urodzinowe, bilety do cyrku Astleya, które zawdzięczała Richardowi, listy, w tym kilka od matki, nadesłanych wbrew wyraźnemu zakazowi ojca. Było tam kilka pamiątek przypominających bolesne wydarzenia, jak oschła informacja od ojca o chorobie i śmierci matki, którą otrzymała po pogrzebie. Przez ostatni rok nie śmiała przeglądać zawartości szkatułki. Uchyłała tylko wieko, żeby bez zaglądania do środka wsunąć każdy nowy list.

Teraz uzbierała się pokaźna liczba nowych pamiątek: zaproszenia, listy od Diany, w których zapewnia ją o trwałej przyjaźni. Leżały na sekretarzyku w salonie. Postanowiła znieść szkatułkę na dół i uporządkować jej zawartość.

W salonie plecami do drzwi na połączanym, kosztownym „egipskim” fotelu Almerii siedział Richard. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że fotel stał na rozłożonych na podłodze gazetach, a do uszu Thei dochodził odgłos struganego drewna. Zachciało się jej śmiać. Nic się nie zmienił. Tyle że obecnie zadbał o to, żeby nie śmieć. Chrzęknęła, a on się odwrócił.

- Pociągnij za dzwonek - powiedział. Zrobiła to, ale zapytała:

- Po co?

- Myles przyniesie herbatę. Dobrze spałaś?

Skinęła głową.

- Przeszkadzam?

- Daj spokój. Co tam masz?

- Kolekcję skarbów.

- Nie wiedziałem, że coś kolekcjonujesz. Co to takiego? Muszelki? Rzymskie monety? Max i ja szukaliśmy ich na polach wokół Blakeney, kiedy byliśmy dziećmi.

- Nic równie cennego - odparła Thea i opowiedziała Richardowi, jakie skarby skrywa jej szkatułka.

- Kiedy zostaniesz babcią, dla twoich wnuków będzie to fascynujące świadectwo o tym, jak żyłaś.

- Możliwe. - Raczej dla wnuków Davida, pomyślała. - Potrzebuję nowej szkatułki, ta jest już pełna.

Postawiła ją na sekretarzyku, otworzyła wieko, uniosła leżące na wierzchu papiery.

- Zrobię ci nową.

- Naprawdę? - Pogrzebała w szkatułce. Na dnie wyczuła coś twardego o nieregularnym kształcie.

- Ojej, spójrz.

W palcach trzymała małego ptaszka, nieudolnie wystruganego z kawałka drewna. Miał otwarty dziób i na wpół rozpostarte skrzydła. Dostała go od Richarda i zapomniała o nim. Nawet nie wiedziała, że zabrała go ze sobą do Yorkshire.

- Co tam masz?

Zmieszana pokazała mu na rozpostartej dłoni drewnianą figurkę.

W pierwszej chwili się nie zorientował.

- Trzymałaś go przez te wszystkie lata? - zapytał ze zdziwieniem.

Zaczerwieniła się.

- Zapomniałam o nim. - Musi zmienić temat: - A co teraz rzeźbisz?

- Zabawkę nad kołyskę dla mojego chrześniaka lub chrześniaczki.

Dziecka Maksa i Verity. Co o tym myślisz?

Zbliżyła się do stolika ustawionego obok fotela, w którym siedział Richard. Leżało tam pięć jaskrawo pomalowanych drewnianych koników w różnych pozach. Szóstego, jeszcze niewykończonego, trzymał w ręku.

- Myślałem o wystruganiu smoków, ale aż prosiło się, żeby z tych kawałków drewna wystrugać konie. Ten wymaga jeszcze trochę pracy, zanim go pomaluję.

- Piękne. Myślę, że dziecku twojego brata się spodobają. Mam nadzieję, że pewnego dnia zrobisz coś takiego dla własnych dzieci.

Niedawno Richard doszedł do wniosku, że czas się ożenić. Przedtem nie czuł takiej potrzeby. Był zadowolony ze swojego życia i z pracy rządcy w majątku brata. Ciągle jeszcze pełnił tę funkcję, ale od ślubu Maksa coraz częściej przychodziło mu do głowy, że czegoś mu w życiu brakuje, że czas wypełnić tę pustkę.

- Thea... - Pochwycił jej rękę.

Nagle bez żadnego ostrzeżenia otwarły się drzwi.

- Myles! Czego chcesz?

Kamerdyner był wyraźnie czymś poruszony.

- Panie Richardzie, w holu jest sędzia śledczy...

Z ust Thei wyrwał się okrzyk. Richard schował jej dłoń w swoich dłoniach.

- Co powiedziałaś?

- Sędzia policyjny. Sir Giles Mason z Bow Street. Chce rozmawiać z panną Winslow. Wiem, że jaśnie pani tego nie pochwali, ale może pan... ponieważ jaśnie pani nie ma...

Almeria chyba by dostała apopleksji, gdyby zobaczyła, że Richard się w to miesza, ale nie widział wyjścia. Dłoń Thei drżała, choć pozornie dziewczyna zachowywała spokój.

- Lepiej z nim porozmawiam - odezwała się. - Poproś sir Gilesa do jadalni.

- Poproś go tutaj - wydał dyspozycję Richard. - Thea, myślałaś, że zostawię cię z nim samą?

- Ale...

- Żadnych ale! Nie zamierzam tłumaczyć się Almerii, że zostawiłem cię samą w takiej sytuacji!

Myles poszedł po gościa.

- Thea - Richard pochwycił jej obie dłonie - czy masz pojęcie, o co chodzi?

Zaprzeczyła ruchem głowy, patrząc mu prosto w oczy, ale na jej policzki wypłynął rumieniec.

- Mam nadzieję - odezwał się ponuro - że w obecności sir Gilesa będziesz potrafiła kłamać bardziej przekonująco.

Sir Giles był wysokim, szpakowatym, lekko zgarbionym mężczyzną. Po pięćdziesiątce, ocenił na oko Richard. Przenikliwe, zielone oczy spoglądały znad okularów. Wyjął z teczki plik dokumentów i po krótkiej wymianie uprzejmości przystąpił do rzeczy.

- Panno Winslow, wiem, że to dla pani zaskoczenie, i cieszę się, że ma pani kogoś, kto udzieli pani wsparcia. Bez względu na to, jakie to może być dla pani bolesne, muszę zadać kilka pytań na temat pani dawnego narzeczonego, pana Nigela Lallertona.

Richard aż drgnął ze zdziwienia. Spojrzał kątem oka na

Theę. Nie zauważył jej zaskoczenia ani udawanego, ani naturalnego.

- Słucham.

- Nie dziwi to pani?

- Zdziwiła mnie pana obecność.

- Nie wątpię. Taak... Czy był ktoś, kto nie lubił pana Lallertona? Klócił się z nim?

Zawahala się.

- Jestem pewna, że takich osób było wiele.

- Wiele?

- Nikt nie jest lubiany przez wszystkich. - Mówiąc to, niespokojnym ruchem marszczyła spódnicę.

Richard przytrzymał jej jedną dłoń. Druga natychmiast znieruchomiała.

- Chodzi mi o to, czy ktoś żywił do niego szczególną antypatię.

- Czy mógłby pan poinformować pannę Winslow, do czego zmierzają te pytania? - wtrącił Richard.

- Otrzymaliśmy informację, że pan Lallerton nie zginął wskutek nieszczęśliwego wypadku na polowaniu, lecz został zamordowany.

- Informację? Od kogo?

- Anonimową. Przeprowadziliśmy wstępne śledztwo i doszliśmy do wniosku, że sprawa wymaga dogłębnego zbadania.

- Bierzecie pod uwagę anonimy?

- Anonim też jest informacją. Oczywiście nikogo nie powiesimy na podstawie anonimowego oskarżenia, ale może ono być punktem wyjścia śledztwa. To jest całkiem normalne. Panno Winslow, wracając do mojego pytania, czy zna pani kogoś, kto mógłby źle życzyć pani narzeczonemu?

- Nie znam nikogo, kto życzyłby mu śmierci - odparła cicho, patrząc sędziemu w oczy. Zbladła.

- Rozumiem. A co pani powie o swoich uczuciach? Jakie były pani relacje z panem Lallertonem? Była pani szczęśliwa z powodu zbliżającego się ślubu?

- Liczyłam dni, sir Gilesie. - Na bladej twarzy Thei pojawił się rumieniec.

- Gdzie pani była, gdy umarł pan Lallerton?

- W rezydencji ojca w Hampshire. Matka podejmowała gości.

- Wśród nich pana Lallertona. Domyślam się, że wyjechał nieco wcześniej niż inni goście i wrócił do Londynu?

- Tak było.

- I miał wypadek, w czasie którego jego broń nieoczekiwanie wypaliła, zranił się w nogę i wykrwawił na śmierć? Rumieniec Thei przybrał barwę szkarłatu.

- Tak mi powiedziano.

- Gdyby przyszło pani coś do głowy, proszę przysłać wiadomość na Bow Street. Muszę panią ostrzec, że może zająć konieczność ponownego przesłuchania w miarę postępów śledztwa. Życzę miłego dnia, panno Winslow.

Po wyjściu sędziego, poprzedzonego jego niemal niekończącymi się przeprosinami za wtargnięcie i naruszenie ich spokoju, Richard nie mógł się uspokoić. Niezaprzeczalnym faktem było, że Thei ani trochę nie zdziwiły pytania zadawane przez sir Masona. Richard był zaskoczony zręcznością, z jaką unikała odpowiedzi. Świadczyłoby to o tym, że w tej sprawie było coś do wyjaśnienia. Nie miał wątpliwości, że sędzia ponownie zjawi się w Arnsworth House.

Jeśli prawdą jest, że Lallerton został zamordowany, jak zdołano to zatuszować? Przecież jego rodzina zauważyłaby, że śmierć nastąpiła w podejrzanych okolicznościach. Jak chronić Theę, jeśli ona mu nie zaufa?

Odprowadziwszy sir Masona do wyjścia, Richard wrócił do salonu, by stwierdzić, że ptaszek wyfrunął. Thea zabrała szkatułkę i zniknęła. Prawdopodobnie poszła do sypialni. Jeśli sądzi, że to go powstrzyma...

Z holu dobiegł go głos Almerii.

- Kto był?!

Richard zaklął. Wtargnięcie do sypialni Thei i zmuszenie jej do wyznania prawdy nie wchodziło w grę. Nasłuchując pośpiesznych kroków ciotki, Richard uzmysłowił sobie, że ze wszystkich pytań, na które chciał uzyskać odpowiedź od Thei, najważniejsze były nie te, które dotyczyły bezpośrednio śmierci

Lallertona. Chciałby przede wszystkim usłyszeć, co miała na myśli, mówiąc sir Masonowi, że liczyła dni do ślubu.

- Richard! - Almeria wbiegła do salonu. - Co ten Myles opowiada? Dlaczego dopuściłeś do czegoś takiego?

- Wolałabyś, żeby wezwał ją na Bow Street?

Lady Arnsworth usiadła.

- N...no tak... Tylko tego brakuje.

- Właśnie.

- Nie jest tak źle. Myles zapewnia, że służba nie zorientowała się, kim jest sir Mason, a on nie będzie plotkował. Od tej strony nic nam nie grozi. Myles powiedział mi, że był przy Dorothei. Dziękuję ci.

- Nie ma za co. - Richard obawiał się, że Almeria zacznie wyciągać zbyt daleko idące wnioski z jego interwencji.

- Dzisiaj wieczorem, po kolacji u Rutherfordów, wybieramy się z Dorotheą na przyjęcie do lady Heathcote. Będziesz?

- Mogę być, jeśli sobie tego życzysz. - Richard nie uznał za stosowne powiadomić ciotki, że wybierał się na to przyjęcie. Nie chciał, żeby sobie za dużo wyobrażała.

Drżącymi palcami Thea otwierała kałamarz. Zapatrzyła się w pustą kartkę. Co napisać? Niezbyt dużo czasu do namysłu. Musi się wykapać i przebrać na obiad i przyjęcie, na które wybierają się wieczorem z lady Arnsworth.

Czy tak?

Najdroższy Davidzie!

Przesłuchiwał mnie dzisiaj po południu sędzia z Bow Street i kłamałam jak z nut.

Była w panice. Jakich słów użyć, żeby jej list nie wyglądał podejrzanie. Opanowała strach. Jaka z niej głupia gęś. Już wiedziała, co powinna napisać.

Najdroższy Davidzie!

Dzisiaj po południu był tu sędzia, sir Giles Mason. Zadawał dziwne pytania na temat śmierci Nigela Lallertona. Chyba domyślasz się, jakie to było dla mnie denerwujące. Chciałabym porozmawiać z tobą o tym przy najbliższej okazji. Nie będzie mnie wieczorem w domu, idziemy na przyjęcie do lady Heathcote.

Twoja kochająca siostra Thea

To brzmi dobrze. Ostatecznie, co w tym dziwnego, że siostra prosi brata o radę w takiej sprawie. Wezwała lokaja i poprosiła o natychmiastowe dostarczenie listu na Jermyn Street. Nic więcej nie mogła zrobić.

David odnalazł ją już po dziesięciu minutach od jej pojawienia się u lady Heathcote.

- Lady Arnsworth, czy mogę zamienić parę słów z siostrą? - spytał, kłaniając się z wyszukaną uprzejmością.

Almeria nie była zachwycona, ale nie protestowała.

- Dostałem twój list - powiedział, gdy oddalili się. - Powinniśmy porozmawiać.

- Czy znajdzie się tu jakieś odosobnione miejsce?

- Chodź.

Zaprowadził ją do niewielkiego saloniku piętro wyżej, po czym starannie zamknął drzwi.

- Opowiadaj. Słuchał w skupieniu.

- Jasna cholera! - wycodził przez zęby. - Kto za tym stoi?

- Davidzie, a jeśli cię aresztują? Powieszają cię! - Tego rodzaju myśli prześladowały Theę całe popołudnie.

- Mnie? Powieszają? - Dostrzegł przerażenie siostry i objął ją mocno. - Nie bądź głupia! To był pojedynek, nie morderstwo. Zatuszowaliśmy sprawę, żeby ciebie w to nie mieszać. Gdyby rozniosło się, że pojedynkowałem się z

narzeczonym siostry, nasuwałoby się pytanie dlaczego. I wtedy mogłoby się wydać. Nawet stary Chasewater tego nie chciał. Trochę brudu przyłgnęłoby też do nich.

- Ale..

- Thea, nawet jak to wyjdzie na jaw, nic mi nie grozi. Są świadkowie, którzy potwierdzą, że to był uczciwy pojedynek. Mogę stanąć przed sądem, ale jest nieprawdopodobne, żeby mnie skazali. Jestem bezpieczny, nawet jeśli zaczną się na mój temat plotki. Gorzej z tobą. Ty będziesz zrujnowana.

- Nie dbam o to!

- Ale ja dbam! Co powiedziałaś Blakehurstowi?

- Nic.

- W końcu będziesz musiała mu wyjawić prawdę.

- Nie. W żadnym wypadku.

- Myślę, że Richard Blakehurst jest lepszym człowiekiem, niż przypuszczasz.

Odwróciła się. Brat miał rację. I na tym polegał problem.

Richard znalazł Almerię zaraz po przyjeździe do domu lady Heathcote. Siedziała na kanapie i rozmawiała z lady Jersey. Ciotka jest w pełnym ekwipunku, stwierdził Richard. Jej słynne brylanty połyskiwały we wszystkich możliwych miejscach. Thei nie było widać.

Nie był zadowolony. Podejście do Almerii w obecności Sally Jersey i zapytanie o Theę wymagało tyle samo śmiałości, co przespacerowanie się nago po Piccadilly. Rozejrzał się bezradnie dookoła. Zobaczył rodzeństwo, jak wślizgiwało się do salonu. David Winslow był raczej spokojny, ale najwidoczniej poszukiwał kogoś wzrokiem. Powiedział coś Thei do ucha, a ona zmarszczyła brwi i spojrzała prosto na Richarda.

- Cześć, Ricky.

Odwrócił się. Przy nim stał Braybrook

- Cześć, Julian.

- Coś cię trapi?

Richard nie po raz pierwszy przeklinał to, że najbliższy przyjaciel potrafi czytać w jego myślach.

- Można tak powiedzieć.

- Jestem o tym przekonany. Zobacz, Winslow z siostrą. Nie uległo wątpliwości, że David prowadzi Theę w ich stronę.

Wyglądała ślicznie. Wysoka i szczupła, w sukni koloru czerwonych maków ze złotym obramowaniem.

- Cześć, Blakehurst. - David i Richard podali sobie dłonie. - Zaprowadzisz Theę do lady Arnsworth? Mam do pogadania z Braybrookiem.

- Oczywiście.

Richard zaproponował Thei ramię. Przyjęła je z wahaniem. Delikatny dotyk jej dłoni pobudził jego zmysły. Emanowała z niej subtelna woń kwiatowych perfum zmieszana z zapachem ciała. Zaprażył wziąć ją w ramiona. Przyszła mu do głowy myśl, czy jeśli się pobiorą, zawsze tak gwałtownie będzie reagował na jej bliskość? Max funkcjonuje przecież całkiem normalnie przy Verity. Nagle zdał sobie sprawę z tego, co się z nim dzieje: zachowuje się tak, jakby już podjął decyzję, że oświadczy się o rękę Thei.

- Powiedziałam Davidowi o wizycie sir Masona. Richard zszedł na ziemię.

- I co on na to?

- Że nie powinnam się tym zanadto martwić.

Czy ten Winslow postradał zmysły? Taka sprawa może zrujnować każdą kobietę. Wyglądało na to, że Thea uwierzyła bratu, przynajmniej częściowo. Spojrzał w kierunku Davida i Juliana. Rozmawiali o czymś z ożywieniem. David miał ponurą minę, gestykułował. Dołączył do nich Francis Fox-Heaton. Wyglądał, jakby się napił octu. Wszyscy trzej skierowali się ku drzwiom.

Thea też ich obserwowała bez zdziwienia. To było znaczące. O ile zażyłość Davida z Julianem nie budziła podejrzeń, co łączyło ich z Fox-

Heatonem? - zastanawiał się Richard. Sir Francis Fox-Heaton był przyjacielem Nigela Lallertona.

Jeśli Lallerton nie zginął wskutek wypadku... Fox-Heaton należał do osobników, którzy mieli prawo zadawać kłopotliwe pytania, gdyby doszły do jego uszu plotki. Szykował się niebywały skandal.

Richard poczuł nagły przyływ uczuć opiekuńczych wobec Thei. Bez względu na okoliczności on uchroni ją od szaleństw popełnionych przez brata.

- Richard? - Thea zacisnęła palce na jego ramieniu. - Lady Chasewater.

- Niech to diabli! Nie mów jej o niczym. Trzymaj wysoko głowę. Damy sobie radę.

Zmierziała ku nim lady Chasewater. - Dobry wieczór, hrabino - odezwał się z uprzejmym uśmiechem.

Zlekceważyła go. Zwróciła się od razu do Thei:

- Droga Dorotheo! Okropna sprawa! Muszę ci powiedzieć, zanim ktoś mnie ubiegnie. Był u mnie sędzia, sir Giles Mason, i wypytywał o biednego Nigela - powiedziała głośno, żeby wszyscy naokoło usłyszeli, i rzeczywiście kilka osób nadstawiło ucha.

- Wydaje się, że nie jest przekonany, iż Nigel zmarł śmiercią naturalną. Sugerował, że może został zamordowany!

Stojący wokół ludzie nawet nie udawali, że nie słuchają. Lady Chasewater brnęła dalej:

- Możesz sobie wyobrazić? Kto mógłby chcieć zabić mojego biednego chłopca? I dlaczego? To nie do pomyślenia!

Rzeczywiście. Ta przeklęta kobieta sprawiła, że do jutra rana będą o tym ćwierkały wszystkie wróble na dachu.

- Doprawdy to okropne. - Thea mężnie trzymała wysoko głowę.

- Jakże to musi być okropne dla ciebie, moja droga!

Jak to uciąć, zastanawiał się Richard. Wokół nich stłoczyło się co najmniej pięćdziesiąt osób nasłuchujących z uwagą, aby nie uronić ani słowa z tego, co miała do powiedzenia lady Chasewater.

- Proszę pani, może pomówi pani z Theą w bardziej kameralnych warunkach...

- Domyślam się, że sir Mason chce się spotkać z tobą, najdroższa Dorotheo. - Uchwyciła Theę za rękę. - Co miałabyś mu do powiedzenia?

Wokół nich rozległ się szmer.

- Obawiam się, że niewiele. Sir Mason był u mnie dzisiaj po południu.

- Ach, moja droga! Jak mogłabym ci pomóc?

Trzymając język za zębami, pomyślał Richard, lecz było już na to za późno. Stało się najgorsze. Wokół nich rozpełtała się wrzawa. Przeklęta baba. Współczuł jej, utraciła syna, ale czy powinna tak się zachowywać? Chyba pomieszało się jej w głowie od nieszczęścia.

Do końca wieczoru o niczym innym nie mówiono, tylko o tym, że Nigel Lallerton został bestialsko zamordowany. Richard miał tego dość. Wykręcił się od propozycji zagrania w karty i poszedł do domu. Czuł, że ta sprawa tak szybko się nie skończy, i nie miał pojęcia, jak w tej sytuacji się zachować. Ale daleko ważniejsze było, jak ochronić Theę.

Nie jest jej bratem. To David powinien jej bronić, ale wyglądało na to, że on pozostawia to zadanie jemu, Richardowi. Był jeszcze Aberfield... Richard z miejsca odrzucił ten pomysł. Ojciec, który akceptuje Dunhavena w charakterze męża swojej córki, jest bezużyteczny.

A co do Dunhavena, który krążył cały wieczór w pobliżu Thei... Jedynym sposobem zniweczenia planów Dunhavena jest zamążpójście Thei lub przynajmniej jej zaręczyny z kim innym.

Na przykład z kimś takim jak on...

Przekręcił klucz i wszedł do Arnsworth House. Dlaczego nie wpadł na to wcześniej? Proste rozwiązania są zawsze najlepsze, a najprostszym sposobem na

sprzątnięcie Thei sprzed nosa Dunhavenowi i zniweczenie machinacji jej ojca było poproszenie jej o rękę. I to bez zwłoki. Jak się zaręczą, większość plotkarzy zamilknie. I jeszcze jedno: jak się zaręczą, Thea zapewne wyzna mu, co wie o śmierci Lallertona, i on będzie mógł jej bronić.

Zamykając za sobą drzwi, przypomniał sobie jeszcze jeden powód, dla którego powinien oświadczyć się Thei. Lubił ją. Może nawet więcej niż lubił. Zależało mu na niej. Tyle lat przechowywała tego nieudolnie wystruganego ptaszka. Uśmiechnął się do siebie. Na stoliku w holu stał tylko jeden lichtarz ze świecą. Oznaczało to, że Almeria z Theą wróciły wcześniej do domu. Zapalił swoją świecę i zdmuchnął lampę.

Im więcej myślał o poślubieniu Thei, tym lepszy wydawał mu się ten pomysł. Kiedyś odrzucał go, bo nie chciał zadowolić Almerii. Działał zgodnie z logiką: na złość babci odmrozę sobie uszy. Koniec z tym.

Rozmarzył się. Thea jego żoną, panną młodą, kochanką... Poczul przypływ pożądania. Gdyby byli poślubieni, zamiast przechodzić koło jej pokoju, otworzyliby drzwi, rozebrał się i wślizgnął do jej łóżka. Wziąłby ją w ramiona i kochał się z nią. Otrzeźwiał. Z przerażeniem spostrzegł, że stoi pod jej drzwiami. Odetchnął głęboko. Jutro rano oświadczy się Thei Winslow. To jedyny sposób, żeby pozostać przy zdrowych zmysłach.

Rozdział siódmy

Thea bezmyślnie wpatrywała się w filiżankę z herbatą. Pozostawiona na talerzyku pokruszona grzanka świadczyła o braku apetytu. Po bezsennej nocy z bólu pękała jej głowa i miała mdłości. Wieczór u lady Heathcote skończył się katastrofą. Wszyscy zajmowali się wyłącznie rozpamiętywaniem okoliczności śmierci Nigela Lallertona. Może to nierozsądne, rozważała, że przyznała się do rozmowy z sir Gilesem Masonem, ale skoro lady Chasewater rozgłosiła, że takie spotkanie będzie nieuniknione, nie było powodu, aby ukrywać fakt ten.

- Panienko? - W drzwiach stanął lokaj. - List do pani. W tej chwili dostarczony.

- List?

Thea złękła się, że to równie podły anonim jak ten, który otrzymała przed kilkoma dniami. Podejrzeń było uzasadnione, bo list został zaadresowany tym samym niekształtnym charakterem pisma, co poprzedni. Oblał ją zimny pot. Położyła go na stole obok talerza. Czekwała, aż lokaj wyjdzie z pokoju. Drżącą dłonią uniosła do ust filiżankę herbaty. Opróżniła ją powoli. Nalała sobie drugą.

Na kominku palił się ogień. A może by tak spalić list bez czytania? Byłoby to rozsądne. Wstała i podeszła do kominka. Wrzucić go, to jedyne, co warto zrobić, powiedziała sobie w duchu. Jednak na to się nie zdobyła. Po wydarzeniach wczorajszego dnia, a zwłaszcza wieczoru... A jeśli list zawiera groźby? Albo jakieś żądania? Coś, co wymaga reakcji?

Złamała pieczęć. Przeczyta, a potem spali. Rozwinęła kartkę.

Powiedzieli ci, że dziecko nie żyje? Ulżyło ci, dziwko?

Pokój zatańczył Thei przed oczami. Wrzuciła zgnieciony papier do ognia. Patrzyła, jak zajmuje się, czernieje, kurczy, znika. W ciągu niecałej minuty został z niego popiół. Dlaczego okazała się na tyle głupia, że go przeczytała?

„Powiedzieli ci...” A co mogli innego powiedzieć? Chyba że... chyba że kłamali. Wciągnęła głęboko powietrze, zamknęła oczy. Miała wrażenie, że zemdleje.

- Thea?

Wszedł Richard ubrany do konnej jazdy. Patrzyła przerażona w płomienie, w które dopiero co wrzuciła zmięty papier, obawiając się, że ułożą się w oskarżycielskie słowa.

- Dzień dobry, Richardzie.

- Spałaś? Powinnaś jeszcze być w łóżku.

- Było mi trochę zimno. - Próbowała się uśmiechnąć. - Jeździłeś konno?

- Tak. A jeśli chodzi o wczorajszy wieczór... - Urwał i usiadł przy stole.

- Z pewnością jesteś głodny. Zadzwoń, żeby przynieśli kawę. Musiałeś wstać bardzo wcześnie. - Thea nerwowo wyrzucała z siebie słowa.

- Myles wie, że tu jestem. Przyniesie mi kawę. Śniadanie już jadłem. Theo, nie udawaj. Powinniśmy porozmawiać o wczorajszym wieczorze, i to na osobności.

- Och... Czy to rozsądne?

Przypomniała sobie opinię Diany, która zwróciła uwagę na to, że Richard został w Londynie i uczestniczy w życiu towarzyskim. Przyjaciółka spodziewała się, że wkrótce zostaną ogłoszone zaręczyny Thei i Richarda, i twierdziła, iż robione są zakłady, czy w końcu spełni się najskrytsze marzenie lady Arnsworth.

- Nie chcesz chyba... wzbudzać oczekiwań, a potem...

- Czy wzbudzam twoje oczekiwania?

- Nie moje! Ogółu.

- Nie obchodzi mnie opinia ogółu. Natomiast twoja jak najbardziej. Jesteś moją przyjaciółką.

„Przyjaciółką”. A może powiedzieć mu o liście? - zadała sobie w duchu pytanie Thea. Chętnie podzieliłaby się swoim zmartwieniem, żeby nie czuć się taka osamotniona. Nie, jednak nie może mu się zwierzyć. Ostatni anonim

zawierał konkretny zarzut. Richard spodziewałby się wyjaśnień, których ona nie może udzielić.

- Co ci jest?

- Przepraszam, zamyśliłam się.

- Proponuję przejażdżkę dwukółką do Richmond dzisiaj przed południem.

Co ty na to? Będziemy mieli okazję porozmawiać bez świadków.

Nagle wróciło wspomnienie o przejażdżce odbytej pewnego słonecznego dnia dwukółką... Wstyd, strach, uczucie poniżenia...

„Theo, wyobrażasz sobie, że chciałbym zrobić ci krzywdę? Twoja mama nie ma nic przeciwko temu, żebyśmy się przejechali. Życzyłaby sobie, byś dotrzymała mi towarzystwa. Przynajmniej mogłabyś mi wyjaśnić, dlaczego zmieniłaś zdanie...”

- Co z tobą? Coś nie tak?

Silne ramiona pochwyciły Theę, uniosły i położyły na sofie. Była bez czucia.

- W porządku, leż spokojnie.

„Leż spokojnie, głupia dziewczyno!”

Nie! Tym razem się nie podda. Poczwała pod sobą siedzenie kanapy, wczepiła się w nie kurczowo palcami, straciła orientację, gdzie jest i co się z nią dzieje. Nagle z tej mgławicy wyłonił się elegancko umeblowany pokój śniadaniowy. Nad nią pochylał się Richard Blakehurst. Thea zauważyła ślad na policzku po porannym goleniu.

- Czy ja... ja... - Głos jej zamarł. Co zrobiła? Richard powoli się wyprostował.

- Myślę, że lepiej będzie, gdy wyjdę na kawę do małego salonu.

Thea opadła bez siły na sofę. Richard Blakehurst nie należał do mężczyzn, którzy uciekliby się do przemocy wobec kobiet. W żadnych okolicznościach, a cóż dopiero w domu swojej chrzestnej matki. Musi go przeprosić, ale co powiedzieć, jeśli zażąda wyjaśnień?

Myślałam, że to on. Słyszałam jego głos nakazujący, bym leżała spokojnie, czułam jego ręce na moim ciele, jego siłę... Ten koszmar prześladował ją od lat, zmienił jej życie w piekło. Najlżejsze dotknięcie wywoływało odrazę. Myślała, że teraz ma to już za sobą, tymczasem zupełnie niespodziewanie odruch powrócił. Musi nad nim zapanować. Musi też odnaleźć Richarda i go przeprosić. Potem postanowi, co zrobić w sprawie ostatniego anonimu.

Po wycofaniu się do małego salonu Richard próbował napisać list do bratowej. Niestety, nie potrafił się skupić. Wciąż miał przed oczami pobladłą z przerażenia twarz Thei i jej znieruchomiałe oczy. Jak to się stało, że znalazł się w takiej sytuacji? Myślał, że Thea źle się poczuła i że zemdleje. Właściwie już zemdląca. Gdyby jej nie pochwycił, upadłaby na podłogę.

Powinien pozwolić jej upaść. Potraktowała go ni mniej, ni więcej jak gwałciciela.

Wzdrygnął się, gdy rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

- Proszę wejść.

- Richard?

Nie odezwał się. Nie miał pojęcia, co za chwilę usłyszy.

- Richard, przepraszam. Ogromnie cię przepraszam. Chciałabym bardzo pojechać z tobą na spacer, jeśli ty wciąż jeszcze masz na to ochotę.

Na widok jej udręczonej twarzy cała jego złość wyparowała. W miejsce złości zakiełkowało coś na kształt czułości. Sam nie wiedział, jak dokładnie nazwać to uczucie.

- To ja powinienem cię przeprosić. Przestraszyłem cię. Wybacz, proszę.

Potrząsnęła głową.

- Nie, nie przepraszaj. Byłoby lepiej, gdybyś mnie zwymyślał. To nie twoja wina. Wiem, że ty nigdy... - Wzięła głęboki oddech. - Po prostu zakręciło mi się w głowie i nie wiedziałam, co się ze mną dzieje - dokończyła.

- Jeśli naprawdę chcesz pojechać, każę zaprząć dwukółkę.

- Zrób to. Myślę, że lady Arnsworth nie będzie się sprzeciwiała temu pomysłowi.

- Almeria? Przypuszczam, że sama wsadziłaby cię do pojazdu.

Thea się zaczerwieniła.

- Za pół godziny, dobrze?

- Tak. Powiem lady Arnsworth - odparła Thea i opuściła pokój.

Richard odchylił się w fotelu. Gdyby Almeria знаła jego zamiary, już zaczęłaby myśleć o uroczystości ślubnej. Jednak byłoby to mocno przedwcześnie. Zamierzał oświadczyć się Thei dziś rano i zaproponować, aby ślub odbył się możliwie szybko. Może jednak lepiej podejść do sprawy racjonalnie i wspólnie z Theą rozważyć racje przemawiające za ich związkiem. Tylko czy on potrafi zachować spokój?

Gdy Richard zajechał przed dom, Thea już czekała w holu ubrana w modną suknię podróżną. Wraz z nią stała Almeria.

- Świetny pomysł, mój drogi - pochwaliła lady Arnsworth. - Przejażdżka dobrze zrobi Dorothei po wczorajszym wieczorze. Coś okropnego. Nie mogłam uwierzyć, że Laetitia Chasewater mogła do tego stopnia postradać zdrowy rozum. Dzisiaj wybieramy się tylko na wieczorek muzyczny u lady Fairchild.

- Słusznie, Almerio.

Ważne było, żeby Thea nie chowała się przed światem, a na wieczorku muzycznym nie będzie okazji do gadania. Oczywiście po koncercie podadzą kolację, ale znając lady Fairchild, towarzystwo zostanie starannie dobrane. Tym lepiej, uznał Richard. Pomógł Thei zająć miejsce w pojeździe. Śmiać mu się chciało, bo Almeria ochoczo wyprawiała podopieczną na przejażdżkę.

- Baw się dobrze, moja droga - powiedziała, głaszcząc ją po dłoni. - Pospacerujcie nad rzeką. Jestem pewna, że dobrze ci to zrobi.

Richard ruszył. Chłopak stajenny wskoczył na stopień za kozłem. Jego obecność oraz hałas powodowany przez ruch uliczny wykluczały możliwość prowadzenia jakiegokolwiek intymnej rozmowy.

Minęli wieś Chelsea, przeprawili się na drugi brzeg Tamizy w Putney, po czym skręcili na zachód do Petersham. Dzień był piękny, słoneczny. Londyn znikał w tyle. Thea wyraźnie się odprężyła. Śpiew ptaków, zapach polnych kwiatów i wilgotnej trawy działały upajająco. Była zdecydowana: złe wspomnienia z przeszłości nie zepsują tej cudownej chwili. Czuła się szczęśliwa.

- Dałbym wiele za twoje myśli - powiedział Richard w pewnym momencie.

- Rozmarzyłam się, jak cudownie byłoby mieszkać na wsi, w takim miejscu jak to, nie za daleko od Londynu, żeby łatwo było wybrać się w odwiedziny do znajomych lub do teatru.

- Ale w spokojnym otoczeniu, z dala od miejskiego zgiełku?

- Tak. Sądzę, że po moich urodzinach właśnie w takim miejscu osiadę.

- Po urodzinach?

- Gdy skończę dwadzieścia pięć lat, zgodnie z testamentem wuja będę otrzymywała dwieście funtów rocznie. Bez względu na to, czy wyjdę za mąż, czy nie. Będę mogła robić, co mi się podoba.

- Aha.

- Nie pochwalasz tego?

- A sprawi ci to jakąś różnicę?

Zawahała się. Czekał ze świadomością, że odpowiedź będzie dla niego ważna.

- Nie, jeśli dojdę do wniosku, że mam rację. Nie chciałabym cię rozczarować, ale nawet jeśli popełnię błąd, to będzie to mój błąd.

Trudno z tym dyskutować. To było jego credo: nie unikać błędów, lecz na nich się uczyć. Serce zabiło mu żywiej. To może być znakomita okazja. Może zadziałać. Zachęcony, zaczął opowiadać o swoich planach zagospodarowania majątku, który kupił.

- Trochę to dalej od Londynu niż stąd, ale nie na tyle daleko, żeby w ciągu dnia nie dotrzeć z wizytą do znajomych. I nie powtarzaj tego Almerii, ale właśnie kupiłem też niewielki dom w mieście.

- Dlaczego mam jej nie mówić? Będzie zachwycona.

- Nie, jeśli się dowie w jakiej dzielnicy. Spojrzała pytająco.

- W Bloomsbury.

- Blisko muzeum? - Thea się roześmiała.

- Tak. Dostanie palpacji. A co ty o tym sądzisz?

- Podoba mi się.

Zajechali pod gospodę w Petersham. Stajenny zeskoczył ze stopnia za koszem dwukółki, żeby się zająć końmi. Richard podał Thei dłoń i pomógł wysiąść z powozu.

- Jesteś głodna? Możemy tu coś zjeść, a potem pójść na spacer nad rzekę.

Tamiza płynęła u ich stóp. Nie odeszli za daleko. Richard miał w dwukółce torbę z suchym chlebem. W dzieciństwie piknik w Petersham lub Richmond, spacer nad rzeką, karmienie kaczek były wielką atrakcją. Teraz, karmiąc zgłodniałe i hałaśliwe stadko, Thea prawie zapomniała o swoich zmartwieniach. Ile to lat upłynęło od czasu, gdy była tu po raz ostatni?

Z zamyślenia wyrwał ją głęboki, poważny głos Richarda.

- Zauważyłaś, jak podobne są nasze życiowe plany?

- Karmienie kaczek nad Tamizą?

- Nie. Chociaż to też. Żadne z nas nie marzy o aktywnym życiu towarzyskim. Oboje chcemy zamieszkać na wsi, jednak nie za daleko od miasta.

- Ja nie planuję prowadzenia majątku i hodowli owiec - zauważyła Thea.

- Mogłabyś pomagać. Chętnie bym cię nauczył. Zorientowała się, do czego zmierza.

- Richardzie, chyba nie chcesz sugerować... Powiedziałeś, że choćbym miała dwa razy większy majątek, to i tak...

- Do cholery, kobieto! Przecież ci się oświadczam! Z tobą chcę się żenić, nie z twoim przeklętym majątkiem! Z tobą chcę dzielić życie.

„Dzielić życie”. A co ona może mu zaoferować? Ponury sekret z przeszłości? I, ku czemu najwyraźniej zmierza rozwój wypadków, ponury i całkiem jawny skandal w teraźniejszości.

- Nie - powiedziała.

Serce w nim zamarło. Nie mógł widzieć jej twarzy, osłoniętej rondem kapelusza, ale widział dłonie, z palcami splecionymi w kurczowym uścisku.

Tylko tyle? Nie? Przynajmniej zwięźle. Żadnych nonsensownych zapewnień, jak bardzo czuje się zaszczycona jego propozycją. Tyle, jeśli chodzi o rozsądne podejście. Milczenie, w czasie którego przeklinał nieporadność swych oświadczeń, przedłużało się.

- Czy to nie z powodu tych ohydnych anonimów? Czy przypadkiem nie uważasz, że musisz mi się oświadczyć z tego powodu?

- Oczywiście, że nie! Thea, ja chcę się z tobą ożenić.

- Przykro mi, Richardzie, ale nie mogę wyjść za ciebie.

Nie wyjawiał wszystkiego. Nie użył tych wszystkich dalekich od racjonalności argumentów, które zapadły mu głęboko w serce. Zdał sobie sprawę z tego, że nawet mu nie przyszło do głowy, iż Thea mogłaby mu odmówić.

- Powiesz mi dlaczego? Przecież zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Powinnaś wiedzieć, że nie chodzi mi o twój majątek

Odwróciła się w jego stronę. Ujrzał ból w jej oczach.

- To nie ma z tym nic wspólnego. Ja po prostu... nie mogę... Nigdy nie przeszło mi przez myśl, że chciałbyś się ze mną ożenić.

Czekał, co dalej, ale Thea zamilkła. Znowu patrzyła przed siebie i rondo kapelusza zasłaniało jej twarz.

- Przestraszyłem cię dzisiaj rano, tak?

- Nie! - zawołała, nagle blednąc. - Prawda jest taka, że... - Urwała. - Tak. Przestraszyłam się, ale nie ciebie. Przeciwnie, nie zauważyłam, że to ty. Wiem, że to brzmi głupio, ale nie mogę ci tego wyjaśnić. Jestem ci wdzięczna za propozycję. Nikomu, kto cię zna, nie przyszłoby do głowy, że brałeś pod uwagę mój majątek.

- Nie łudź się, kochanie.

„Kochanie”. Oczywiście w przeszłości zwracał się już tym słowem do kobiet, lecz było pozbawione głębszej treści. Tym razem zadźwięczało jak dzwon.

- To znaczy, że cię nie znają - odrzekła. - Ja mówię o tych, którzy cię znają. Czy twój brat albo lord Braybrook popełniliby taki błąd?

- Jesteś pewna, Thea? - zapytał łagodnym tonem Richard. - Wiem, że to niegrzecznie naciskać, ale...

- Jak najbardziej - szepnęła i znowu spojrzała mu prosto w twarz. - To niemożliwe... - Oddychała ciężko, po czym pozbawionym emocji głosem dokończyła: - Nigdy nie wyjdę za mąż.

Tak mocno kochała tamtego? Miała zaledwie szesnaście lat w chwili zaręczyn, a siedemnaście, gdy Lallerton zmarł. Ich małżeństwo uchodziło za zaaranżowane przez Aberfielda i Chasewatera. Może czas uciec się do kolejnych racjonalnych argumentów.

- Theo - zaczął ostrożnie Richard - doskonale rozumiem, co czujesz, ale po siedmiu latach... - Wyczuł, że zeszywniała, więc zmienił kierunek natarcia. - Czy zastanawiałaś się nad tym, że małżeństwo można zbudować na przyjaźni, nie tylko na miłości? Zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Może to cię zainteresuje. W oczach twojego ojca nie jestem taką dobrą partią jak Dunhaven, ale generalnie jestem stosowną partią dla ciebie. Przynajmniej będziesz miała spokój od takich natrętów jak Dunhaven - dodał pół żartem, pół serio.

To kusząca propozycja, uznała Thea, ale nie! Nie ośmieli się. Jeśli się zgodzi wyjść za Richarda, będzie musiała powiedzieć mu prawdę.

- Nie mogę - wyszeptała. - Proszę, wracajmy.

- Oczywiście.

Szli w milczeniu.

- Theo, to, że odrzuciłaś moją propozycję małżeńską, nie oznacza, że nie możemy nadal być przyjaciółmi, prawda? - zapytał Richard, gdy doszli do gospody.

Ogarnęło ją wzruszenie, łzy napłynęły jej do oczu.

Nie odezwała się z obawy, że głos ją zdradzi. Patrzyła nieruchomo przed siebie i tylko kurczowo zaciśnięte dłonie świadczyły o wewnętrznej walce, jaką toczy sama z sobą.

- Thea?

- Przyjaciółmi? Tak, naturalnie! - Czuła się podle. Przyjaciele nie mają przed sobą sekretów. Gardziła sobą za to, że oszukuje Richarda. Może wyjawić mu prawdę? Nie. Litość i potępienie z jego strony byłyby gorsze niż śmierć. Mógłby zresztą nie uwierzyć. Nikt jej nie dał wiary, z wyjątkiem Davida. Niewykluczone, że brat przyjął do wiadomości to, co od niej usłyszał, tylko dlatego, że tak bardzo nie lubił Nigela.

Byłoby lepiej, gdyby David nie uwierzył. Nie znalazłby się teraz w niebezpieczeństwie. Byłoby też lepiej, gdyby nie musiała nadal widywać Richarda. Nawet nie wiedziała, czy zna całą prawdę.

Powiedzieli ci, że dziecko nie przeżyło?

W drodze powrotnej, mając chłopca stajennego za plecami, nie rozmawiali. Thea nie wiedziała, czy się cieszyć, czy smucić z tego powodu. Richard odezwał się dopiero na schodach do Arnsworth House.

- Lallerton był szczęśliwcem, że tak mocno go pokochałaś.

Nie było w tym śladu ironii czy zazdrości. Prosta konstatacja faktu, zresztą nieprawdziwego, kłamstwa wręcz, które jej i rodzinie służyło do maskowania faktycznego stanu rzeczy. Nie śmiała wyjawić Richardowi prawdy, ale nie będzie go okłamywać. Odwróciła się do niego.

- Nie kochałam Nigela Lallertona. Nigdy. Ani wtedy, ani teraz. -
Powiedziawszy to, weszła do domu.

Richard oniemiał. Nie kochała Lallertona? W takim razie dlaczego tyle lat żyła w osamotnieniu?

Dlaczego nie chce słyszeć o wyjściu za mąż? Coś tu brzydko pachnie.
Thea oświadczyła, że nie kochała Lallertona. Ale jakim tonem to powiedziała...

Thea siedziała z uśmiechem przyklejonym do twarzy i słuchała popisów skrzypka zaangażowanego przez lady Fairchild na ten wieczór. Nie zdołała się skupić na muzyce. Richard nie pojawił się, a obecność lorda Dunhavena zwiększała jej rozterki. Czy mogli ją okłamać, że dziecko nie żyje? Oczywiście. Dlaczego była taka nierozsądna i powiedziała Richardowi, że nie kochała Lallertona?

Dunhaven przysunął swoje krzesło bliżej jej krzesła. Ból zaczął rozsadzać jej skronie. Pochylił się jej do ucha, szepcząc, jak bardzo lubi Mozarta.

- Haydna - poprawiła. Z satysfakcją patrzyła, jak czerwienieje ze złości. Lord Dunhaven nie lubił, gdy przyłapywano go na pomyłce.

Kłamali? Niewątpliwie. W grę wchodził honor rodziny. Bezpieczeństwo Davida też. Na pewno kłamali.

Ulżyło ci... że dziecko nie żyje?

Skrzypek skończył grać. Rozległy się grzecznościowe oklaski.

Tak. Ulżyło. Na krótko. Może na jeden dzień. Potem nastał czas żałoby. Żałoby, której nie wolno jej było okazywać. I życia w poczuciu winy. A jeśli dziecko przeżyło? Jak to sprawdzić?

Rozdział ósmy

Nazajutrz, gdy Thea zeszła do pokoju śniadaniowego, Richard już tam był.

- Dzień dobry - powitał ją znad porannej gazety.

Czy jej się zdawało, czy naprawdę był czymś zmartwiony?

- Dzień dobry - odparła.

- Przynieść panience świeżych grzanek? - zapytał Myles.

- Thea, jeśli chodzi o wczorajszy dzień... - zaczął Richard po wyjściu kamerdynera, przerwał jednak, bo Myles natychmiast wrócił do pokoju.

- Panie Richardzie, przyjechał posłaniec z Blakeney. Przywiózł list.

Richard zerwał się z krzesła. Drżącymi palcami rozpieczętował złożony papier. Thea obserwowała go w zdumieniu. Wyglądał, jakby się bał.

- Richard, co ci jest?

- Chłopiec, chłopiec! Jestem wujkiem! Bratowa czuje się doskonale. Dzięki Bogu! - Pochwycił w objęcia Mylesa i zaczął z nim tańczyć po pokoju.

Thei ścisnęło się serce. Lady Blakehurst powiła dziecko. Dzięki Bogu, dźwięczały jej w uszach słowa Richarda. Opadły ją bolesne wspomnienia.

Silne ramiona uniosły ją w powietrze.

- Thea, słyszałaś? Jestem wujkiem!

Okręcił ją dookoła siebie z zadziwiającą siłą. Wsparła się na jego muskularnych ramionach, których kształt wyczuwała pod wełną zakietu. Obejmował ją w talii i nie znajdowała w tym nic zdrożnego.

- Cudownie, Richardzie. - Patrzyła mu w oczy. Był tak blisko, oszałamiająco blisko. Niczego się nie bała. Przeciwnie, było jej przyjemnie.

Zorientował się. Zauważył jej rozszerzone źrenice, przyspieszony oddech. Wypuścił ją z objęć. Za późno, jego ciało całkiem wyraźnie domagało się, żeby wziął ją w ramiona i całował do utraty tchu.

Opanuj się natychmiast! - nakazał sobie w duchu Richard. To szaleństwo. Nie powinien o tym myśleć, zwłaszcza że dzień wcześniej kategorycznie odmówiła mu ręki. Reakcje ciała wymknęły się spod kontroli rozumu. Miał nadzieję, że Thea się nie zorientuje.

Należało wykonać krok do tyłu. Zrobił to z trudem, ale zrobił. Thea uczyniła to samo.

Rychło w czas. Do pokoju wkroczyła Almeria, trzymając w ręku otwarty list.

- Richardzie! Słyszałeś? O, już wiesz, Max też do ciebie napisał.

- Tak. Wspaniała nowina, prawda?

- Należy się cieszyć, że wszystko odbyło się pomyślnie - stwierdziła nieco sztywnym tonem Almeria. - Ładnie ze strony Maksa, że mnie poinformował.

- Nie napisał, jak dadzą dziecku na imię, ale dowiem się na miejscu.

- Wybierasz się do Blakeney?

Zawahał się. Nie bardzo mu się teraz uśmiechał wyjazd.

- Powinieneś pojechać, Richardzie - zauważyła Thea.

- Wypada, żebyś pojechał - oznajmiła Almeria. - Blakehurst jest twoim bratem. Poradzimy sobie z Dorotheą dzień lub dwa bez ciebie.

- Almerio, Max wspomina, że chce, abyś została chrzestną matką dziecka.

- W liście do mnie też o tym wspomniał, ale ja nie mogę wyjechać z Londynu. Mam obowiązki wobec Dorothei. Obawiam się, że to nie wchodzi w grę. Napiszę do niego. Prawdę mówiąc, wątpię, czy on rzeczywiście sobie tego życzy. Dorotheo, za pół godziny jedziemy po zakupy na Bond Street. - Z tymi słowami lady Arnsworth opuściła pokój.

- Niech to diabli! - rzucił za nią Richard. - Doskonale wie, że rozniosą się plotki, jeśli nie pojedzie na chrzciny.

Thea nie wiedziała, jak się zachować. Była zakłopotana.

- Dlaczego?

- Ponieważ plotki towarzyszyły ślubowi mojego brata z Verity. Mówiono, że złapała go na dziecko. Almeria otwarcie kwestionowała ojcostwo Maksa.

- Ale...

- Nie przejmuj się. To nieprawda. Zrozumiesz, jak poznasz Verity. To najlepsza kobieta, jaką mój brat mógł spotkać na swojej drodze. Dość się nacierpiała od własnej rodziny. Max nigdy nie daruje Almerii afrontów wyrządzonych żonie.

- Przykro mi...

- Dlaczego ci przykro? Nie masz z tym nic wspólnego. Ona się tylko tobą zaślania. Prawdziwa przyczyna odmowy tkwi gdzie indziej.

Richard jeszcze raz przebiegł wzrokiem list od brata. Almeria w gruncie rzeczy przyjęła wiadomość o narodzinach ciotecznego wnuka lepiej, niż należało oczekiwać. Wymawiała się od wyjazdu do Blakeney, bo wiedziała, że będzie musiała się tam upokorzyć. Dzięki Bogu, że Max zawiadomił ją osobnym listem. Może za dzień, dwa ciotka zmieni zdanie i zgodzi się trzymać do chrztu Williama Richarda. Teraz dopiero zauważył, jakie imię dostanie dziecko.

- Panie Blakehurst?

W drzwiach stał młody lokaj Edmund.

- Co takiego?

- Mam list dla panny Winslow.

- Chyba jest jeszcze w pokoju śniadaniowym.

- Tak, ale po tamtym, pierwszym, pytał pan, czy nie widziałem, kto go dostarczył. Myślę, że ten jest od tej samej osoby. Służba mówi, że były już dwa listy do pani Thei.

Richard był w rozterce. Chciał się dowiedzieć, kto przysyła listy. Czy jednak ma prawo kontrolować korespondencję Thei?

- Dziękuję. Daj mi ten list.

Otworzyć? Nie otworzyć? Oddać Thei? Richard oglądał list ze wszystkich stron. Charakter pisma taki sam jak za pierwszym razem. Zapieczętowany taką

samą kroplą wosku, żadnego znaku na pieczęci. Dostała jeszcze jeden? Nie wspominała o tym. Dlaczego?

- Kiedy przyszedł ten drugi list do panny Winslow?

- Wczoraj przy śniadaniu.

Nic dziwnego, że była zdenerwowana. Ale dlaczego nic mu nie powiedziała? Wiedział o pierwszym anonimie. Bała się, że będzie zadawał za dużo pytań? Dlaczego, na litość boską? Sądziła, że byłby skłonny uwierzyć w tego rodzaju brednie? I on ma teraz dostarczyć jej kolejną porcję brudów? To nie może się stać!

Złamał pieczęć, rozwinął kartkę. Całą jej szerokość zajmowało zdanie:

Wywłoko! Ile razy już cię miał?

Richard zatrząsł się z bezsilnej złości

- Znalazłeś to wsunięte pod drzwi wejściowe, tak? - zwrócił się do lokaja. Starał się zachować spokój i nie okazywać zdenerwowania.

- Tak, proszę pana. Tyle że tym razem widziałem go.

- Znasz go?

- Znam, to za dużo powiedziane. Nie był w liberii, ale już go spotkałem na ulicach. Mam nadzieję, że pan się nie rozgniewa, zaprosiłem go do stajni.

- Co?

- Mówił pan, że chciałby z nim porozmawiać.

- O tak, porozmawiam z nim.

Richard wsunął zmiętą kartkę do kieszeni. Załatwi to przed wyjazdem do Blakeney. Thea odmówiła mu ręki, ale nie zamierzał przestać jej chronić, czy się jej to podoba, czy nie.

Chłopiec, który twierdził, że ma na imię Jacob, kręcił się niespokojnie na odwróconym wiadrze, na którym siedział.

- Nie wiem, panie.

- Kobieta czy mężczyzna? - wypytywał cierpliwie Richard.

- Dama, panie. Prawdziwa dama. - Omiatał wzrokiem wnętrze stajni. Nie potrafił ukryć podziwu dla kasztanów wyprowadzanych właśnie z boksu.

Richard nie okazywał zniecierpliwienia.

- Możesz powiedzieć, jak wyglądała? Chłopak niechętnie wracał do tematu.

- Cała na czarno. Czarna suknia, czarny kapelusz z woalką. Naprawdę gęstą. W ogóle nie było widać twarzy. Miała czarne rękawiczki.

- Potrafiłbyś powiedzieć, czy była stara, czy młoda?

- Starszawa. Miała stary głos.

Richard powstrzymał ciskające się na usta przekleństwo. Rysopis podawany przez chłopca zawężał pole, ale niewystarczająco. Któremu z babsztyli z londyńskiego towarzystwa zależałoby na zrujnowaniu reputacji Thei? Te listy nie były jednak wymierzone przeciwko reputacji Thei, ale w nią samą. Czy ma to coś wspólnego z tą dziwną historią na temat zamordowania Lallertona?

- Mogę panu pokazać, gdzie ona mieszka, jak pan chce.

- Możesz?

Richard ze zdumieniem przypatrywał się chłopcu. Wszystkie dzieci są takie same. Powiedzą co trzeba, należy tylko zadać odpowiednie pytanie. Nie pomyślał o tym, żeby zapytać, gdzie mieszka ta dama.

Dwadzieścia minut później stali przed niewielkim budynkiem na Half Moon Street. Dom wyróżniał się elegancją. Niemożliwe! Jaki miałyby powód? Jednak chłopiec był pewny swego.

- Mówię panu, śledziłem ją.

Musiała kryć się w tym jakaś logika, jakkolwiek złowroga i pokręcona. Nic dziwnego, zważywszy na treść anonimów. Zaczynał się wyłaniać z tego ponury obraz.

- Dziękuję. - Richard wręczył chłopcu półkoronówkę. - Teraz znikaj - dodał, po czym ruszył po schodkach do drzwi i zadzwonił.

Otworzył lokaj. Richard podał mu wizytówkę.

- Proszę poinformować lady Chasewater, że przyszedł pan Richard Blakehurst.

Czekał w holu. Rozumiał gorycz lady Chasewater spowodowaną śmiercią syna, ale dlaczego mściła się na Thei? Tak znenawidziła niedoszlą synową za to, że wciąż żyła i miała się dobrze? Może pomieszało się jej w głowie.

- Jaśnie pani prosi.

Lokaj wprowadził Richarda do skąpo oświetlonego salonu. Lady Chasewater siedziała wyprostowana na kanapie przy kominku. Była ubrana na czarno. Dłoń w rękawiczce bez palców opierała na ozdobnej gałce laski.

- Pan Blakehurst? Proszę usiąść. Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

- Nie wiem, czy słowo przyjemność jest stosowne. Postoję. To nie jest przyjacielska wizyta - oznajmił, po czym wyciągnął z kieszeni trzy kartki papieru. - Czym wytłumaczy pani te brudy? Poza zwykłą okrutną mściwością. Co zamierzała pani osiągnąć?

Nieprzyjemny uśmiech wykrzywił usta lady Chasewater.

- Panna Winslow w końcu się domyśliła i pobięła na skargę do pana? Spodziewałam się brata.

- Panna Winslow domyśliła się już po pierwszym liście. Jedyne co powiedziała, to że osoba, która go przysłała, jest nieszczęśliwa.

Na zapadniętej twarzy lady Chasewater pojawił się grymas.

- Nie wymieniła jednak pani nazwiska i, o ile wiem, jej brat nie wie o tych anonimach. Zapewniam, że nie zobaczy tego ostatniego. Jeszcze raz pytam: co pani zamierza osiągnąć?

Zignorowała pytanie.

- Jeśli panna Winslow nic panu nie powiedziała, to jak pan do mnie trafił?

- Kazałem śledzić chłopca, z którego usług pani korzystała. Widziano panią, jak wręczała mu pani dzisiaj rano ten list.

- Miałam spuszczoną woalkę.

- Po czym wróciła pani do tego domu.

- To proste! - Zaśmiała się nieprzyjemnie. - Ale to bez znaczenia. Przypuszczam, że przyszedł pan, żeby mi powiedzieć, bym nie wysyłała kolejnych listów. Może pan być spokojny.

Zbyt łatwo poszło. Nie mógł pohamować podejrzliwości. - I mogę przypuszczać...

- Może pan przypuszczać, co pan chce, panie Blakehurst, ale nie będzie dalszych listów. Myślę, że nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia, z wyjątkiem może tego, że jest pan, według mnie, wyjątkowym głupcem. Żegnam pana.

Był wściekły, ale nie mógł nic poradzić.

- Korzysta pani z tego, że jest kobietą. Tylko to, nie pani wiek, chroni panią przed moim gniewem - oznajmił Richard. - Proszę zapamiętać: jeśli będzie pani niepokoiła pannę Winslow w jakikolwiek inny sposób, dosięgnę panią.

- Wtedy okaże się, panie Blakehurst, jakiego rodzaju głupcem pan jest: rycerskim czy zaślepionym.

- Nie ma mowy, nie pojedę na chrzciny! - zarzekła się lady Arnsworth, wsiadając do powoziku. - Zupełnie nie rozumiem, dlaczego Blakehurst poprosił, żebym została chrzestną matką. Chyba wiedział, jaka będzie moja odpowiedź. On tak naprawdę wcale sobie tego nie życzy. Poprosił mnie, bo tak wypadło.

Thea zauważyła, z jakim pozornym brakiem zainteresowania stangret łowił każde słowo lady Arnsworth. Dziwiło ją, dlaczego starsza pani nie widzi związku między plotkami a wyrażaniem się w niekontrolowany sposób w obecności służby. Jednak w końcu się pohamowała.

- Nie powtórzysz tego Richardowi, prawda? Nie wiedzieć czemu wbił sobie do głowy, że małżeństwo Maksa to coś dobrego. Nawet jeśli w rezultacie został wydziedziczony!

Thea nie musiała nic powtarzać. Stangret na pewno powtórzy, co usłyszał, stajennemu Richarda, a ten doniesie swojemu panu, zanim zdążą wyjechać z Londynu.

- Chyba Richard nigdy nie liczył na odziedziczenie tytułu hrabiowskiego - zauważyła Thea. Może prawda ta dotrze wreszcie do lady Arnsworth.

- Dopóki żył Frederick, żaden z nich na to nie liczył, ani on, ani Max, ale po śmierci Fredericka wszyscy oczekiwali, że Max pozostanie w stanie bezzennym z powodu przyszłości Richarda.

Sądząc po superlatywach, w jakich wyrażał się Richard o związku brata z Verity, i po szczerej radości, jaką objawiał po otrzymaniu wiadomości o narodzinach bratanka, Thea wątpiła, czy Richard w ogóle tak wyobrażał sobie swoją przyszłość. Nerwowo spojrzała na wyprostowane plecy stangreta, który beczelnie podsłuchiwał rozmowę.

- Poza tym nawet nie myślę o wyjeździe z miasta teraz, gdy krąży ta potworna historia - ciągnęła lady Arnsworth. - Podjęłam się obowiązku towarzyszenia ci i muszę odłożyć na bok swoje przyjemności.

Richard miał rację. Ciotka zamierzała wykorzystać obowiązki wobec Thei jako pretekst do odmowy. Mimo to ludzie z towarzystwa i tak rozumieją. Thea poczuła przyływ sympatii do nieznannej Verity. Richard ją lubił i chciał, aby ciotka została chrzestną matką jej dziecka nie dlatego, że tak wypadało, ale dlatego, iż pragnął doprowadzić do pojednania między nimi. Thea zapragnęła mu w tym pomóc. Ale jak? Co mogłoby skłonić lady Arnsworth do wyjazdu do Kentu? Trzeba się uciec do fortelu. Lady Arnsworth musi pojechać na chrzciny, inaczej rozejdą się złośliwe plotki.

- Słyszałam, że w Blakeney jest bardzo przyjemnie - zaczęła okrężną drogą. - Wątpię, czy Rich... to znaczy pan Blakehurst wróci przed chrzciniami. Domyślam się, że zostanie ojcem chrzestnym. Chyba mu na tym zależy. Myślę, że będzie nam go bardzo brakowało.

Zastanawiała się, czy ryba złapie haczyk. A co, jeśli przedobrzyła?

Lady Arnsworth była lekko zdezorientowana.

- Tak, oczywiście. Masz rację, kochanie. W Blakeney jest rzeczywiście bardzo przyjemnie o tej porze roku. Szkoda byłoby to stracić.

- Bardzo bym chciała zobaczyć kiedyś Blakeney - powiedziała tęsknym głosem Thea.

- Naturalnie. Wiesz, że Richard tam się wychowywał.

- Wiem.

- Jego majątek jest niedaleko.

- Richard, to znaczy pan Blakehurst wspominał, że kupił posiadłość.

- Och, nie za wielką. - Lady Arnsworth machnęła lekceważąco ręką. - W zeszłym roku dokonał zakupu, po ślubie Maksa. Mówił, że od dawna nosił się z takim zamiarem, ale nie było takiej potrzeby aż do chwili... Wiesz co, moja droga? Zwracaj się do mnie po imieniu: Almerio. Tak jak Richard. W końcu.. Ach tak, o czym to ja mówiłam? Wiesz co? Gdybym napisała do Blakehurstów i przedstawiła im okoliczności, z chęcią zaproszą cię do Blakeney. Szkoda, że Richard nie odziedziczył tej posiadłości, ale trzeba się cieszyć z tego, co jest. Liczę na ciebie, że pomożesz mi znaleźć odpowiedni prezent dla chrześniaka. Tak trudno jest wybrać coś dla chłopca. Z dziewczynką sprawa byłaby prosta: coś z biżuterii. Dla ciebie musimy kupić jakąś elegancką suknię podróżną. Pierwsze wrażenie jest najważniejsze. Musisz się zdrzemnąć dzisiaj po południu. Mizernie ostatnio wyglądasz. Richard na pewno to zauważył, moja kochana.

Thea zdawała sobie sprawę z tego, co zrobiła. Dała lady Arnsworth do zrozumienia, że w grę wchodzi jej związek z Richardem. Nie miała wątpliwości, jakie to „okoliczności” posłużą jej do uzyskania zaproszenia dla Thei do Blakeney.

Nie pozostaje nic innego, jak rozejrzeć się za własnym prezentem dla przyszłego chrześniaka Almerii. Przyszło jej do głowy, że będzie musiała powiedzieć Richardowi, jak przekonała lady Arnsworth do przyjęcia

zaproszenia. Miała nadzieję, że uzna on, że gra była warta świeczki. O ironio, o mały włos, a mogła jechać na chrzciny do Blakeney rzeczywiście w roli narzeczonej Richarda.

Chrzciny. Święto rodzinne z okazji przyjścia na świat upragnionego dziecka. Przeszył ją ból. Zanim wyjedzie z Londynu, musi poznać prawdę na temat losu własnego dziecka. Znajdzie sposób.

Rozdział dziewiąty

Jadąc następnego dnia do Blakeney, Richard nie mógł się opędzić od myśli o zbyt łatwej kapitulacji lady Chasewater. Co kryła w zanadrzu niedoszła teściowa Thei? Czy to ona stała za śledztwem prowadzonym przez Bow Street? Nie oszczędzał koni zmienianych na każdym popasie, dzięki czemu zajechał do Blakeney już wczesnym wieczorem.

Ze stajni przeszedł przez ogród na taras, na który wychodziły okna biblioteki. Łagodne światło przedostające się ze środka pokoju złociło kamienne płytki tarasowe. Wieczór był chłodny, drzwi na taras były zamknięte. Max siedział przy biurku i coś pisał. Richard zapukał w szybę. Brat uniósł głowę. Spod biurka zerwały się z głośnym szczekaniem śpiące u jego stóp psy.

Max otworzył drzwi. Psy zaczęły radośnie obskakiwać Richarda.

- Co tu robisz? - Max objął brata.

- Głupie pytanie, powinieneś wiedzieć, że przyjadę. Gratulacje. Kiedy zobaczę chrześniaka?

- Gdy tylko zechcesz. Spodziewaliśmy się ciebie. Prawdę powiedziawszy, przegrałem zakład z Verity. Ona twierdziła, że przyjedziesz jeszcze dzisiaj wieczorem, ja - że będziesz miał więcej rozsądku i zjawisz się dopiero jutro.

Dziesięć minut później Richard wpatrywał się w zawiniątko leżące w drewnianej kołysce. Uderzyła go gęsta czarna czupryna wystająca spod pieluszki.

- Jaki mały.

- Osiem i pół funta, nie taki mały - rzekł z dumą Max. Richard z niedowierzaniem patrzył na śpiącego malca.

- A jak Verity? Pisałeś, że dobrze się czuje.

- Tak. Jest wyczerpana, ale wyszła z tego obronną ręką. Teraz śpi. Dlatego zszedłem do biblioteki. - Max ostrożnie uniósł w górę śpiące niemowlę.

- Potrzywasz go? Dopiero co jadł, nie obudzi się.

Richard z obawą wziął dziecko na rękę. Takie maleńkie, takie lekkie. Długie czarne rzęsy rzucały cień na rumiane policzki. Opanowało go wzruszenie. Jego bratanek. Po raz pierwszy w życiu pozazdrościł czegoś bratu. Właściwie nie była to zazdrość, uczucie niskie, niszczące. Nie, to co czuł obecnie, to tęsknota za doświadczeniem takiej samej radości, jaka w tej chwili malowała się na twarzy Maksa.

Thea przewracała się z boku na bok. Nie mogła zasnąć. Wciąż miała przed oczami rozjaśnioną radością twarz Richarda na wieść o narodzinach bratanka. Nie bądź szalona! - przywoływała się do porządku. Czy warto spędzać bezsenność z powodu czegoś, co nie może ziścić się w rzeczywistości? Dzisiaj czeka cię ważniejsza sprawa do załatwienia. Jak dowiedzieć się bez wzbudzania podejrzeń ze strony Aberfielda, co stało się z dzieckiem?

Ledwo dostrzegalny, szary świt zaczął rozrzedzać ciemności nocy. Tylko jej ojciec znał prawdę, ale nie miała złudzeń, że czegoś się od niego dowie. Zapytany wprost, skłamał bez zmrużenia oka. Nie może liczyć na jego pomoc.

Otworzył jej zdziwiony kamerdyner.

- Panienska Thea? Przychodzi pani w odwiedziny do jaśnie pana? Nie ma go.

Thea nie była zaskoczona. Widziała z okna salonu lady Arnsworth, jak Aberfield odjeżdża sprzed domu dwukółką.

- Prędko wróci?

- Wyjechał na dwa dni do Richmond. Mogę posłać po niego stajennego, jeśli to pilne.

- Dziękuję. Zostawię mu list. Pójdę do biblioteki, tam go napiszę.

- Oczywiście. Czy mam przysłać herbatę i ciasteczka?

- Nie, dziękuję. - Diabli nadali tę jego poprawność, pomyślała. Tego jeszcze brakuje, żeby kamerdyner kręcił się po bibliotece i zniweczył jej plan.

Już w środku przekręciła za sobą klucz w zamku. Rozejrzała się. Nic się tu nie zmieniło. Jakże nienawidziła tego pokoju. Czowała w nim niemal fizyczną obecność Aberfielda. Książki stały w równych rzędach, w papierach na biurku panował pedantyczny porządek. Wszystko pod kontrolą. Wzięła się w garść. To tylko pokój i martwe przedmioty. Nie zdradzą jej.

Sumienie podpowiadało, że to, co zamierza zrobić, jest nie tylko pokrętne, ale wręcz nieuczciwe. Świadomość ta jednak jej nie powstrzymała. Od czego zacząć? Czego szuka?

Spojrzała na blat biurka. Aberfield nigdy nie zaplamił niczego atramentem, z jego pióra nigdy nie spłynął kleks.

Metodyczny, zorganizowany... Zatrzymała wzrok na teczce z dokumentami. Otworzyła ją. Księga wydatków, rachunki... Jeśli Aberfield łożył na utrzymanie nieślubnego dziecka, to muszą być związane z tym zapisy w regularnych odstępach czasu, na przykład co kwartał. Sprawdziła datę na okładce księgi. 1823. Przewróciła kilka kartek. Jeden z zapisów przykuł jej uwagę: 25 marca. Przeniknęło ją zimno do szpiku kości, choć w pokoju było gorąco, a na kominku płonął ogień. Przesunęła palcem po rubrykach: rachunki, wynagrodzenie służby, jej własna pensja, pensja Davida i opłata na rzecz Zakładu dla Panien z Dobrych Rodzin prowadzonego przez niejaką pannę Dale, na utrzymanie SG.

To dziecko nie musi być jej dzieckiem. Może być Davida albo nawet samego ojca. Nie, David zadbałby o własne dziecko. Prędeż Aberfielda. Potrzebuje więcej informacji. W tej księdze były tylko zapiski dotyczące bieżącego roku.

Księgi z lat poprzednich stały w równym rzędzie na półce obok biurka. Wyciągnęła ostatnią. Dotyczyła poprzedniego roku. Znalazła dwa zapisy na rzecz zakładu panny Dale: na Boże Narodzenie i na dzień świętego Michała. Na świętego Jana Aberfield odnotował rozliczenie końcowe i premię dla niejakiej Kate Parsons za opiekę i utrzymanie SG. Coś jeszcze zwróciło uwagę Thei: koszt przeprowadzki SG z Kelfield do Bath.

Zrobiło się jej słabo. Kelfield było oddalone zaledwie kilka mil od Wistow, gdzie mieszkała z ciotką Marią. Nie, to niemożliwe. Przecież powiedzieli jej...

Trzęsącymi się rękami sięgnęła po wcześniejsze księgi. Cofała się w czasie. Doszła do roku 1815. W tej księdze nie było żadnych pozycji, które kojarzyłyby się z kosztami utrzymania dziecka. Pierwsze takie zapisy pojawiły się w końcu marca 1816 roku, siedem lat temu.

Siedem lat temu. Wróciła pamięć tamtych marcowych dni. Nie chciała uwierzyć. Nie, nie będzie o tym myślała! Jednak pamięć była nieubłagana. Potworny ból i poczucie wstydu, wspomnienie zimnego głosu ciotki Marii, wypominającego jej popełniony grzech. Potem, po odzyskaniu przytomności, postać pastora odczytującego fragment Biblii o dziecku Dawida i Batszeby, zgładzonym za grzech rodziców...

Zaczęła bardzo dokładnie wertować sąsiednie karty księgi wydatków, aż znalazła: wypłata dla ciotki Marii za opłacenie akuszerki, lekarza i pastora. Nie mogła powstrzymać szczykania zębami. Dlaczego opłacono pastora, skoro dziecko umarło bez chrztu? Zapiski nie pozostawiały wątpliwości: dwadzieścia funtów dla akuszerki i po pięćdziesiąt dla lekarza i pastora. Wypłaty były

zaskakująco wysokie, chyba że w grę wchodziło przekupienie całej trójki. Aberfield nie żałował grosza, żeby ukryć grzeszki rodziny.

Odstawiła księgi z powrotem na półkę, bacząc, by stały w należyтым porządku chronologicznym i w równym szeregu. Co teraz? Jej umysł pracował na przyspieszonych obrotach. Gdzie Aberfield przechowywał korespondencję?

Wzrok Thei powędrował ku rzędowi pudełek ustawionych na górnej półce szafy bibliotecznej. Podeszła bliżej. Wszystkie miały naklejone etykiety, a na jednej widniały litery SG. Przystawiła drabinkę. Zdjęła pudełko z półki.

Czy naprawdę chce wiedzieć? Jeszcze czas. Może odłożyć je na miejsce. Nikt się nie dowie. Jeśli teraz odstawi pudełko, nigdy już może nie mieć szansy dotarcia do prawdy.

Przecież zna już prawdę... Nie ma innego wytłumaczenia niż to, które wywołuje taki niepokój w jej sercu.

Czy to ma jakieś znaczenie? Co można by zrobić w takiej sytuacji? Rozpoznawała ten cichy wewnętrzny głos, który wzniecał w niej wątpliwości. To głos dyktowany strachem.

Pudełko było zamknięte na klucz. Przyszła jej do głowy szaleńcza myśl, żeby wyłamać zamek. Pudełko nie było zakurzone, najwidoczniej służba regularnie odkurzała górną półkę. Włamanie zostanie prędko odkryte.

Odgłos kroków w holu wywołał w niej panikę. Gdyby Aberfield przyłapał ją na przeglądaniu ksiąg rachunkowych... Momentalnie wdrapała się na drabinę i odstawiła pudełko. Musi teraz zacząć list do ojca, tylko w taki sposób może usprawiedliwić swoją obecność w bibliotece.

Wyciągnęła czystą kartkę papieru, zamoczyła pióro w kałamarzu i zaczęła w pośpiechu pisać o swoim zaniepokojeniu plotkami, że śmierć Lallertona nie była przypadkowa. Czy ojciec coś wie na ten temat? Co jeszcze? Aha, poinformuje go, że została zaproszona na chrzciny. Tak, to dobre zakończenie. Posypała tekst piaskiem i rozejrzała się po pokoju. Czy wszystko jest na swoim miejscu? Nic nie zdradzi, że robiła tu coś innego niż napisanie listu? Nerwowo

poprawiła księgę leżącą na środku biurka. Nawet jeśli była lekko przesunięta, to przecież mogła to zrobić pokojówka podczas odkurzania mebli w pokoju.

Zapieczerowała list, zaadresowała „Aberfield” i oparła o pojemnik z atramentem.

Richard zdecydował się opuścić Blakeney trzeciego dnia rano, tuż po śniadaniu.

- Zostań dłużej, Ricky. Wiesz, jak jesteś tu mile widziany. Twój dom jest już na ukończeniu, nie musisz wracać - nalegał Max.

- Mam jeszcze coś do roboty.

Nie wiedział, co go czeka, gdy lady Chasewater wykona kolejny ruch. Podejrzał, że nastąpi. Inna sprawa to brak pewności, czy Almeria przyjmie zaproszenie na chrzciny, jeśli on nad nią nie popracuje. Pozostawała jeszcze kwestia, co stanie się z Theą, jeśli ciotka zdecyduje się na wyjazd.

- Jeśli przywiozę Almerię na chrzciny, czy pozwolisz, że przyjedziemy w towarzystwie osoby, która jest obecnie gościem w jej domu?

Max uśmiechnął się domyślnie.

- Chodzi o pannę Winslow, najnowszą kandydatkę na panią Richardową Blakehurst? Naturalnie, jeśli ci na tym zależy. Almeria znalazła ci kandydatkę, która może być przynajmniej godnym przeciwnikiem w partyjce szachów.

Richard domyślał się, że ktoś, najprawdopodobniej Braybrook, informował Maksa o rozwoju wydarzeń. Nie chciało mu się prostować, że doniesienia te były nieścisle. Jeśli nawet było w nich trochę prawdy, to nie tyle, ile on by sobie tego życzył.

Wieczorem po przybyciu na Grosvenor Square Richard stwierdził, że Almeria i Thea wyjechały na bal, który odbywał się w Monteith House.

Myles zwrócił mu uwagę na leżący na stoliku w holu list do Thei.

- Przed chwilą go przyniesiono jako pilną przesyłkę. Od brata. Wysłannik był bardzo zdenerwowany.

- Zdenerwowany? Czym?

- Nie powiedział. Prosił tylko, żebym dopilnował, aby list dotarł do rąk własnych panienki Thei. Zastanawiałem się, czy nie przesłać go do Monteith House, ale jeśli to zła wiadomość...

- Ja go wezmę - zdecydował Richard. - Pójdę na górę umyć się i przebrać.

Bal był w pełnym toku. Budynek wypełniała istna kakofonia dźwięków. Zjawił się tu chyba kto żyw. Richard przedzierał się przez zatłoczone hole i salony w poszukiwaniu Almerii i Thei. Odpowiadał na pozdrowienia znajomych.

- Wspaniała wiadomość, stary!

Richard dziwił się, skąd ludzie wiedzą o narodzinach bratanka. Podejrzywał, że od lady Arnsworth.

- Richard, gratulacje! Kochana Almeria jest taka szczęśliwa! Wspaniale!

- Droga pani, doprawdy nie wiem, za co te gratulacje.

- Ależ Richardzie, nie zwiedzisz mnie, starej przyjaciółki Almerii! Jestem pewna, że lady Chasewater jest w błędzie. Panna Winslow jest przemiłą osobą...

- Nie rozumiem.

- Wiem, nic nie jest jeszcze oficjalnie ustalone. - Dama uśmiechnęła się porozumiewawczo, trącając go wachlarzem w ramię. - Naturalnie Almeria nic nie mówi, nawet mnie, ale wszystko jest jasne.

Miał ochotę kategorycznie zaprotestować, ale zrezygnował. Co miałby powiedzieć, żeby nie dolewać oliwy do ognia? Co ciotka naopowiadała ludziom? Nie wspominając o lady Chasewater.

Odczekał parę minut, żeby nie popełnić nietaktu, i wreszcie uwolnił się od towarzystwa natrętnej damy. Chciał jak najszybciej znaleźć Theę.

Z wysokości otaczającej salę balową galerii obserwował parkiet. Theę zauważył niemal natychmiast. Tańczyła. Z Dunhavenem. Oblał go zimny pot. Dzięki Bogu, że to nie walc. W pewnej odległości dostrzegł Aberfielda.

Obserwował ich. Richard czuł, że coś złego wisi w powietrzu. Musi porozmawiać z Theą. Spojrzał w dół. Uderzyło go, że jest bardzo blada.

Orkiestra ucichła. Coraz więcej obecnych składało mu gratulacje. Tylko widok lady Chasewater, siedzącej na fotelu pod ścianą, powstrzymywał go przed zaprzeczaniem, że doszło do zaręczyn. Stara dama przypatrywała mu się z nieukrywanym wyrazem triumfu na twarzy.

- Dzięki Bogu, jesteś z powrotem! - usłyszał głos Juliana Braybrooka. - Zdarzyło się coś bardzo złego. Aresztowano Davida Winslowa pod zarzutem zabójstwa Lallertona.

Richard zamarł. List, który trzymał w kieszeni, dotyczył zapewne aresztowania Winslowa. Musi jak najszybciej znaleźć Theę. Teraz rozumiał, skąd ten triumf widoczny na twarzy lady Chasewater.

Skończyli tańczyć i Thea liczyła na to, że uwolni się wreszcie od lorda Dunhavena. Ten jednak przytrzymał jej dłoń na swoim ramieniu.

- Mam nadzieję, że dotrzyma mi pani towarzystwa podczas kolacji. Podejrzewam, że pani ojciec zechce do nas dołączyć.

Zrobiło się jej niedobrze. W tańcu trzymała się jakoś, ale tego było za wiele.

- Wspaniale. - Wzięła się w garść. - Wybaczy pan na chwilę? Muszę się oddalić. Wrócę, jak tylko będę mogła.

Spojrzał na nią wyrozumiale.

- Naturalnie, moja droga.

Monteith House był olbrzymi, ale Thea dobrze pamiętała jego rozkład z wizyt składanych tu z matką w dzieciństwie. Bez trudu znalazła bibliotekę, a z niej wyjście na taras. Co za ulga! Oparła się plecami o ścianę domu i wdychała dochodzące z ogrodu aromaty. Odgłosy balu były tu mocno przytłumione. Jeszcze chwila...

- Znalazła pani urocze miejsce.

Thea z przerażeniem rozumiała, jakie głupstwo popełniła, szukając samotności na tarasie. Dunhaven zagradzał jej drogę powrotną do biblioteki.

- Lordzie Dunhaven, to wielce niewłaściwe. Nie powinien pan iść tu za mną. - Starła się, aby zabrzmiało to bardzo oficjalnie.

- A jakie to ma znaczenie? - Wzruszył ramionami. - Przecież mamy się pobrać, prawda? Pani ojciec dał mi błogosławieństwo. Pozostaje jedynie ustalenie daty ślubu.

Jego arogancja doprowadziła Theę do wściekłości. Kontrolowała jednak swoją reakcję.

- Jest jeszcze coś, o czym zapomniał pan, milordzie. Czy nie ma zwyczaju pytania kobiety o zgodę na zamażpójście?

- Mogę panią zapytać, ale oboje wiemy, że nie ma pani wyboru. Bardzo niewielu mężczyzn byłoby gotowych przymknąć oko na pani stan, tak to nazwijmy. - Wyraźnie z niej drwił. - Więc pytam, moja droga: uczyni mnie pani najszczęśliwszym z mężczyzn i zgodzi się zostać moją żoną?

- Nie, milordzie. Nie uczynię. A teraz stanowczo proszę zejść mi z drogi...

- Nie zejdem, panno Winslow. Chyba pani nie rozumie, w jakiej znajduje się sytuacji. Nie słyszała pani najnowszych wiadomości? Prawdziwa tragedia spadnie na pani rodzinę, jeśli nie ruszy jej na ratunek ktoś dobrze ustosunkowany.

- Nie rozumiem.

- Chodzi o pani brata. Dostałem dzisiaj wieczorem pilną wiadomość od Aberfielda. Jeśli nie zadziałamy bez zwłoki, pani brata może spotkać coś złego. Ale jakże ja mógłbym interweniować na Bow Street, nie będąc członkiem rodziny?

- Bow Street? - Thea próbowała zachować obojętność, ale serce waliło jej jak młotem, a w głowie czuła pustkę. - A cóż ja mam z tym wspólnego?

- Nie pani, ale pani brat, aresztowany dzisiaj za zabójstwo Nigela Lallertona. Proszę pomyśleć, jak odbije się na jego sytuacji wyjście na jaw

małej niedyskrecji, której dopuściła się pani z Lallertonem. Jaki silny motyw do dokonania zabójstwa, prawda?

- Co pan sugeruje?

- To proste. Pani ojciec i ja uzgodniliśmy warunki naszego ślubu i do tego ślubu dojdzie. Nie ma pani wyjścia. Jako pani narzeczony użyję swoich wpływów na Bow Street w obronie pani brata. Za co pani ojciec okaże się hojny w kontrakcie ślubnym.

Thea oniemiała. Możliwe, że Dunhaven kłamał, ale czy rzeczywiście? Czy może zaakceptować jego propozycję, a potem, gdy David będzie bezpieczny, wycofać się z niej? Nie, ryzyko jest zbyt wielkie. Dunhaven wystąpi do sądu z powództwem o złamanie obietnicy i zagarnie połowę jej majątku. Nie może ryzykować. Nie teraz. Ma dziecko, o którego przyszłość musi zadbać.

- Chyba pan rozumie, że wolałabym podyskutować o tym w bardziej sprzyjających okolicznościach. - Mówiąc to, starała się ominąć Dunhavena i wejść do budynku.

- Nie wątpię. - Wciąż skutecznie zastawiał jej drogę. - Pani ojciec ostrzegał mnie, że ucieknę się pani do takiego wybiegu. Porozmawiajmy tu i teraz.

Wyciągnął po nią ramiona. Uchyliła się, ale się poślizgnęła. Chwycił ją za nadgarstek.

- Załatwimy to teraz.

Ciągnął ją w stronę ogrodu. Zaczęła się bronić, kopiąc go i drapiąc. Czowała jego zapach i od tego zapachu mdliło ją jeszcze gorzej niż w tańcu. W świetle dobiegającym z okna biblioteki widziała stróżkę potu, spływającą po jego skroni.

Ugryzła dłoń, którą usiłował zakryć jej usta, i wymierzyła cios kolaniem, ale trafiła tylko w udo. Jednak odskoczył od niej.

- Dziwka!

Uwolniła się, ale złapał ją ponownie. Krzyczała o pomoc, ale jej głos rozpływał się w nocnym powietrzu.

- Puść ją, Dunhaven!

Na tle oświetlonego wejścia do biblioteki stały dwie wysokie postacie. Jedna z nich zbliżała się nierównym krokiem.

- Do diabła z tobą, Blakehurst! - warknął Dunhaven, ale wypuścił Theę.

Richard był już blisko, bez wahania rzuciła się ku niemu.

- Nic ci nie jest? - zapytał, delikatnie przesuując palcem po jej policzku.

- Nie, ale on mówi, że aresztowano Davida. Próbował...

- Naciskać na ciebie z tego powodu?

Pokiwała głową. Richard ostatkiem sił panował nad sobą. Gdyby wyzwał Dunhavena, podsyciłby krążące plotki.

Wiadomość o aresztowaniu Winsłowa równałaby się zdjęciu pokrywy z garnka wypełnionego wrzątkiem.

- Słowo „dzentelmen” nie ma zastosowania wobec ciebie, Dunhaven - rzucił przez zęby Richard. - W sytuacji, jakiej byliśmy świadkami, zgoda kobiety jest mało prawdopodobna.

- To dziwka! - wrzasnął Dunhaven. - Udaje niewiniątko, ale to zbrukana cnotka ...

Nie dokończył. Ciosem w szczękę Richard powalił go na tarasową balustradę. Podniósł się z zaciśniętymi pięściami, gotowy do walki.

- Dość już tego! - wkroczył między nich Braybrook. - Dunhaven, pójdiesz ze mną do środka.

- Nie pójdzie - zakomunikował Richard. - Weź pannę Winsłow, Braybrook.

Thea się przeraziła. Tylko tego brakowało! Zanim zdążyła zaprotestować, odezwał się Braybrook:

- Nie, Ricky! Daj spokój! No, Dunhaven, idź pierwszy. - Z jego głosu biła niezwykła siła.

Dunhaven posłuchał. Ruszył, rozcierając napuchnięty już policzek. Dogonił go głos Richarda:

- To nie było moje ostatnie słowo, Dunhaven.

- Jeśli uważasz, że warto, Blakehurst. Ja na twoim miejscu bym tak nie uważał - rzucił na odchodnym Dunhaven.

- Nie stójcie tu za długo, Ricky - powiedział Braybrook i podążył za Dunhavenem.

Thea wciąż nie mogła się uspokoić. Wiedziała, że Richard nie odpuści Dunhavenowi i go wyzwie. Tragedia gotowa się powtórzyć. Za wszelką cenę musi temu zapobiec, nieważne, jak wiele ją to będzie kosztować.

Nic już jej nie groziło. Richard powoli się uspokajał. Ale gdy spojrzał na Theę, ponownie się zdenerwował. Nawet w panujących na tarasie ciemnościach dostrzegł jej bladą z przerażenia twarz. Suknia była w nieładzie. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, zaczął delikatnie wygładzać fałdy spódnicy. Thea stała bez ruchu ze wzrokiem utkwionym w jego oczach. Czuł, że przestraszył i panika ją opuszczają. Miał ochotę objąć ją i przytrzymać w ramionach.

- Już lepiej - odezwał się wreszcie. - Powiedz mi jednak, dlaczego byłaś tak lekkomyślna? Dlaczego wyszłaś na taras z takim draniem jak Dunhaven?

- Wyszłam sama. Niedobrze się czułam, chciałam zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie wiem, jak mnie tu znalazł.

- Wystarczyło zapytać służbę.

- Masz rację. Zimno mi - poskarżyła się drżącym głosem.

Opanowała go myśl, żeby przytulić ją do piersi i rozgrzać, ale nie zrobił tego. Wiedział, że nie będzie mógł ręczyć za siebie, jeśli jej dotknie.

- Lepiej chodźmy do środka.

- Richard?

- Tak?

- Błagam cię, nie wyzywaj go. Nie warto. Obiecuj mi.

- Nie mówmy o tym, Theo. Wyzwanie nie padło.

Zbliżyła się i położyła mu dłoń na ramieniu. To lekkie dotknięcie, choć przez rękaw żakietu i koszuli, paliło go do kości. Drugą rękę położyła mu na torsie.

- Thea - szepnął.

Przykrył jej dłoń swoją i mocno przycisnął. Nie walczył już z sobą. Drugim ramieniem objął Theę i mocno przyciągnął ją do piersi.

- Richard, nie wyzywaj go, proszę.

Nie odpowiadał. Było mu z nią tak dobrze. Przygarnął ją mocniej do siebie, oparł policzek na jej głowie.

- Richard, obiecaj! - Jej głos przeszedł w szloch.

Był na siebie wściekły, że ujawnił swe zamiary. Niepotrzebnie naraził Theę na zdenerwowanie.

- Podaj mi tylko jeden powód, dla którego nie miałbym tego zrobić.

Czuł, jak zeszywniała w jego ramionach.

- A jeśli ci go podam, to przysięgniesz, że odstąpisz od swego zamiaru? Nie wyzwiesz go na pojedynek?

- To zależy od tego, jaki to będzie powód. - Uważał, że żaden argument nie przekona go do zmiany postanowienia.

Uwolniła się z jego objęć. Zauważył, że jej usta drżą. Miał ochotę przytulić ją znowu do siebie i przycisnąć swoje usta do jej warg na tak długo, aż obieca, że będzie jego.

- To ten sam powód, dla którego nie mogę za ciebie wyjść - powiedziała Thea. - Ani za jakiegokolwiek innego mężczyznę takiego jak ty.

- Jak ja?

- Tak, za człowieka honoru. Lord Dunhaven miał rację, kiedy mówił, że jestem zbrukana.

Rozdział dziesiąty

Richard stał w miejscu; nie wiedział, co usłyszy.

- Nie jestem dziewczyną - oznajmiła Thea. - Dlatego dotychczas nie wyszłam za mąż i dlatego odrzuciłam twoje oświadczenia.

Co powiedzieć? Richard był zdezorientowany. Zgodnie z przyjętymi zwyczajami miał prawo spodziewać się, że jego żona będzie nietknięta, chyba że chciałby ożenić się z wdową.

W głowie miał gonitwę myśli. Teraz wszystko jasne. Demonstrowana przez Theę niechęć do zamążpójścia, gorycz lady Chasewater, aresztowanie Winslowa. Oczywiście nie musiało się tak skończyć. Zaręczyny były przecież ogłoszone, ślub nieuchronny. Takie sytuacje prawdopodobnie zdarzają się częściej, niż należy przypuszczać. Jednak tym razem wypadki potoczyły się nieszczęśliwie. Richard domyślił się, że David Winslow dowiedział się o wszystkim i pokłócił z Lallertonem.

Czy mógł postąpić inaczej? Zgodnie z zasadami przyjętymi w ich sferze, nie miał wyboru. Musiał wystąpić w obronie honoru siostry, bo sprawa się wydała. Wszak naczelnym, niepisanym przykazaniem w ich świecie jest: nie daj się złapać. Spojrzał na Theę. Była blada. Zrobiło mu się jej żal.

Przecież on też nie jest niewinny, a nikt nie wymaga od niego czystości. Może z wyjątkiem Almerii, która nie akceptowała jego przelotnych romansów z wdówkami. Podejrzewał, że głównie z obawy, żeby nagle którejś z nich nie złożył propozycji małżeńskiej.

Co robić? Thea była szczerą, wyznała mu swój skrzętnie skrywany sekret. Mogła przyjąć jego oświadczenia i o niczym mu nie mówić. Odmówiła, bo tak pojmowała poczucie honoru. Zdradziła mu bolesną dla niej tajemnicę dopiero teraz, bo chciała zapobiec pojedynekowi w obawie o bezpieczeństwo jego, Richarda.

Dostrzegł łzę toczącą się po policzku Thei. Spodziewała się z jego strony potępienia za jeden fałszywy krok z przeszłości? Jak mógłby to uczynić, mając na koncie kilka takich kroków? Co powiedzieć? Tylko jedno, jeśli chce zachować się uczciwie. Podeszedł do niej i stał palcem kolejną łzę.

- Ja też nie jestem niewinny. Nie zrozumiała.

- Ale w jakim sensie?

- Takim samym jak ty. To był Lallerton? Potwierdziła.

- Dlatego nie wyszłaś potem za męża? Znowu potwierdziła.

- Wracajmy do domu - zaproponował. Jaki sens ma zapobieganie jednemu skandalowi, żeby wywoływać nowy ich przeciągającym się sam na sam na tarasie. - Wiesz o tym, że plotkują na temat naszych zaręczyn?

- Przecież nie jesteśmy zaręczeni.

- Jak do tej pory już trzy osoby składały mi gratulacje. Czy masz pojęcie, jak mogło do tego dojść?

- Za sprawą Almerii, ale to moja wina.

Thea czuła się winna, ponieważ pozwoliła, aby lady Arnsworth uwierzyła, że doszło do porozumienia pomiędzy nią a Richardem. Almeria powtórzyła to dwóm najbliższym przyjaciółkom, w największej konfidencji oczywiście. Towarzyszyły temu, zapewne, domyślne uśmiechy i tajemnicze szepty zza wachlarzy, i tak wiadomość rozeszła się, podsycana insynuacjami lady Chasewater.

- A co konkretnie zrobiłaś?

- Gdy wyjechałeś do Blakeney, dałam Almerii do zrozumienia, że będzie mi ciebie brakowało... że słyszałam, jak przyjemnie jest w Blakeney, i jak bardzo chciałabym tam pojechać któregoś dnia. Myślałam, że... - Urwała, zauważając, że z niedowierzaniem przyjmuje jej wyjaśnienie. - Tylko próbowałam ją przekonać, żeby pojechała na chrzciny twojego bratanka. Nic innego nie przyszło mi do głowy. Chciałam podsunąć jej pretekst, to wszystko!

- O czym ty mówisz?

- Przykro mi, Richardzie, nie wyobrażałam sobie, że do tego dojdzie. Musiała rozgadać to na lewo i prawo.

- Przekonałaś Almerię, żeby pojechała do Blakeney? Pokiwała głową.

- Dlaczego?

Z powodu przyływu nagłej sympatii do twojej bratowej, pomyślała. Jednak nie powiedziała tego na głos.

- Martwiłeś się, że hrabinie mogą zaszkodzić plotki, które wywołałaby odmowa Almerii.

- To prawda, ale co cię obchodzi Verity. Przecież nawet jej nie znasz.

- Nie, ale ty ją lubisz, tak?

- Tak, bardzo.

- Chciałam jej pomóc. Przepraszam.

- Nie przepraszaj. Namówienie Almerii na wyjazd do Blakeney to wielka rzecz. Mniejsza o pogłoski o naszych zaręczynach. Możemy je zdementować, jednak to będzie ze szkodą dla ciebie.

- Mnie jest już wszystko jedno. - Thea wzruszyła ramionami. - Dlaczego ty się przejmujesz?

- Przypną nam łątkę ludzi niepoważnych. Głównie tobie, gdyż lady Chasewater zrobi wszystko, aby zrujnować twoją reputację. Przypuszczam, że zdajesz sobie z tego sprawę. Mnie nie jest to obojętne - zapewnił i przyciągnął Theę do siebie.

Zapach męskiej wody kolońskiej, zmieszany z wonią kwiatów i trawy z posrebrzonego światłem księżyca ogrodu, był upajający. Bliskość Richarda odurzała, troska o jej dobro działała niczym zaklęcie. Ach, gdyby tak poddać się tej czarownej chwili, zapomnieć o otaczającym świecie!

Jednak rozsądek podpowiadał co innego. Richard nie powinien się nią przejmować. Niech raczej myśli o własnej reputacji. Byłoby lepiej, gdyby wygłosił wykład o moralności, zamiast ujawniać, jak bardzo mu na niej zależy, dziewczynie, która na to nie zasługuje.

Nie powinien jej tak trzymać za ręce i pochylać się nad nią. A ona nie powinna stać i czekać, żeby jego usta dotknęły jej warg. Nie tylko czekać, ale o tym marzyć...

- Co ja widzę! To ty, Richardzie?

Richard instynktownie zasłonił Theę przed wzrokiem lady Jersey, która nieoczekiwanie wtargnęła na taras.

- Przed chwilą minął mnie wzburzony lord Dunhaven. Zauważyłam, że miał opuchniętą szczękę. - Machinalnie rzuciła okiem na dłonie Richarda. - Mówił coś o wielce niestosownej sytuacji, której był świadkiem na tarasie, ale skoro ty i panna Winslow jesteście zaręczeni...

Richard miał chęć skłąć wścibską damę, ale zamiast tego pospieszył z uprzejmym wyjaśnieniem:

- Panna Winslow otrzymała właśnie bardzo niepokojącą wiadomość. Chyba pani rozumie, że nie czuła się na siłach rozmawiać o tym w sali balowej.

- Och, bardzo mi przykro. - Lady Jersey była zaintrygowana, nie śmiała jednak dopytywać się o szczegóły. - Wracajmy wszyscy razem do salonu. Życzę wam wszystkiego najlepszego.

Richard położył dłoń na ramieniu Thei. Nie zastanawiał się, co nim powoduje: miłość czy potrzeba zaopiekowania się. Czuł, że postępuje właściwie. Fakt, że wszyscy traktują ich jak narzeczonych, przestał go bulwersować. Przecież parę dni temu poprosił Theę o rękę. Tyle że nie myślał wówczas o tak rychłym upublicznieniu tej wiadomości.

Słowotok, płynący w drodze do salonu z ust lady Jersey, drażnił go, ale jej obecność była mu na rękę. Unaoczniła obecnym, że na tarasie przebywali w towarzystwie przyzwoitki. Z paplaniny starej damy wynikało, że jest skłonna zlekceważyć niestosowność, której była świadkiem. Najgorsze, że nie miał teraz możliwości oddania Thei listu, który wciąż znajdował się w jego kieszeni.

W sali balowej natknęli się na Aberfielda.

- Gratulację, Blakehurst - powiedział z krzywym uśmiechem. Głos ojca Thei przebił się przez panujący na sali gwar. Nagle zapadło milczenie. - Za moich czasów należało zapytać ojca o zgodę na poślubienie panny. Lord Dunhaven dopełnił tego obowiązku.

Richarda ogarnął gniew, ale zdołał nad nim zapanować.

- Miło o tym słyszeć - odrzekł z wystudiowaną uprzejmością. - Zapomniał jednak o rzeczy najważniejszej: nie spytał o zgodę panny. Propozycja małżeńska jest taką samą propozycją jak inne; należy się liczyć z możliwością odmowy.

Nadbiegła zaalarmowana Almeria.

- Dorotheo, właśnie dowiedziałam się o Davidzie! To straszne, ale pocieszam się, że lord Braybrook i sir Francis wzięli sprawę w swoje ręce. Och! Dobry wieczór, lordzie Aberfield. Jestem przekonana, że to zwykłe nieporozumienie. Oczywiście mój drugi siostrzeniec, hrabia Blakehurst, też się tym zajmie w razie konieczności.

- Liczę na to, droga pani - rzekł z przekąsem Aberfield. Nie robił wrażeń, jakby wiadomość, że z odsieczą jego synowi ruszy ten właśnie dżentelmen, sprawiała mu szczególną satysfakcję.

W zaciszu sypialni Thea rozpamiętywała wydarzenia wieczoru. Kompletna katastrofa: David aresztowany, towarzystwo przekonane, że zaręczyła się z Richardem Blakehurstem. Pogłoskę tę ojciec celowo potwierdził. Wiedziała dlaczego. Wpływy hrabiego Blakehursta sięgały daleko. Było nieprawdopodobne, żeby siedział z założonymi rękami, gdy jego rodzinie groził skandal.

Zdawała sobie sprawę, że poczucie honoru nie pozwoli Richardowi uchylić się od obowiązków. Dał jej to całkiem jasno do zrozumienia w krótkim czasie, który spędzili w holu po odejściu Almerii na górę na spoczynek. Roztargnienie lady Arnsworth świadczyło o tym, że już planuje uroczystość ślubną.

- Theo, musimy działać rozważnie - powiedział Richard. - Wiesz, że gdybym ogłosił, że się wycofuję, ty poniosłabyś największą stratę. Załatwimy to z dala od wścibskich oczu, w Blakeney. Obiecuj, że do czasu wyjazdu się nie wycofasz. Przecież chcę cię poślubić i nie jest tak, że tylko poczucie obowiązku nakazuje mi potwierdzić nasze zaręczyny. Milcząco pokiwała głową.

- To jak, obiecujesz?

Prosił, przekonywał, nie narzucał na siłę. Był przeświadczony, że działa w interesie jej bezpieczeństwa.

- Niech tak będzie - zgodziła się. Nie miała siły dyskutować.

Uśmiech, jakim skwitował jej słowa, sprawił, że Theę ogarnęła ulga i wdzięczność.

- Dziękuję ci za zaufanie, kochanie.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, musnął jej policzek wargami i poszedł do siebie.

Pogłaskała to miejsce palcami. „Kochanie”. Jak łatwo to czułe słówko przedarło się przez jej zasieki obronne i sprawiło, że zapragnęła usłyszeć je raz jeszcze.

Aberfield. Co on sobie myśli? Uważa pewnie sprawę za zamkniętą. W jego mniemaniu pieniądze, które odziedziczyła, zrównoważą każdemu dżentelmenowi fakt, że otrzymuje towar niepełnowartościowy. Może w niektórych przypadkach tak istotnie by było, ale ona nie chciała takiego mężczyzny. Chciała kogoś, kto obdarzy ją zaufaniem, kto zaakceptuje ją taką, jaka jest. Kogoś, kto ją pokocha.

Spod zaciśniętych powiek Thei wypłynęły łzy. Pragnęła Richarda, który zaproponował jej małżeństwo prawdopodobnie dlatego, że ją lubił i uznał, że czas się ożenić. Ale co się stanie, jeśli w końcu, mimo całej swojej sympatii i wyrozumiałości, przestanie ją lubić? Nie powinna nawet o tym myśleć. Przypomniała sobie ostatnie słowa z listu Davida, który w końcu zdołał przekazać jej Richard.

Thea, pod żadnym pozorem nie zrób żadnego głupstwa. Jestem bezpieczny i ten koszmar wkrótce się skończy. Trzymaj się od tego z dala...

A jeśli się nie skończy? Nie wolno ryzykować.

Wsunęła się pod kołdrę, zdmuchnęła świecę. Już po trzeciej, a sen nie przychodził. Przypomniała sobie szamotaninę z Dunhavenem. Zebrało się jej na wymioty. Czowała jego ręce, dobierające się do jej piersi, i ten okropny zapach z ust, gdy usiłował rozchylić językiem jej wargi. Ożyły demony z przeszłości. Gdyby nie zjawił się Richard... ale się zjawił.

Ciężkie powieki zaczęły opadać na oczy. Poderwała się. Nie wolno zasnąć. Wyczerpane ciało domagało się snu, ale zmuszała się do zachowania przytomności...

Obudziła się zlaną potem. Nie mogła wydać głosu z gardła, dusił ją strach.

- Thea! Thea!

Usiadła, słysząc gwałtowne pukanie do drzwi. Serce tłukło się w niej jak spłoszony ptak.

- Kto tam?

W otwartych drzwiach stał Richard. W szlafroku, z lichtarzem i zapaloną świecą w dłoni. Zamknął za sobą drzwi. Patrzył na nią zatroskany. Zbliżył się swoim nierównym krokiem.

Zaciągnęła kołdrę pod brodę.

- Coś się stało?

Postawił świecę na nocnym stoliku.

- Okropnie krzyczałaś. Co z tobą? Krzyczała? Zawstydzila się.

- Mu... musiałam mieć zły sen.

- Nie pamiętasz?

Po przebudzeniu nie pamiętała szczegółów, tylko obezwładniające uczucie strachu.

- Już dobrze, kochanie. Już dobrze.

Zanim zdążyła zaprotestować, okrył jej ramiona szlafrokiem, który zdjął z krzesła, i otulił ją szczelnie kołdrą.

Drżała na całym ciele. Już od wielu lat ten sen nie powracał. Budziła się nieraz przestraszona, z krzykiem na ustach, ale nie przypominała sobie, co jej się przyśniło.

Richard usiadł na skraju łóżka i objął ją ramieniem.

- Cii... Nie bój się. Oddychaj głęboko. Rozluźnij się. Nie myśl o tym. Nic ci nie grozi.

Thea ledwo rozróżniała słowa, słyszała tylko jego głęboki, kojący głos, czuła otaczające ją silne ramię i rękę, delikatnym ruchem gładzącą ją po włosach. Miała poczucie, że to niestosowne. Co tam, uznała. Nikt się nie dowie, a jej jest tak dobrze.

Richard się o nią zatroszczył. To było takie miłe! Drzenie ustąpiło, ale nadal otaczał ją ramieniem. Uzmysłowała sobie nagle, że od lat nie czuła się tak bezpiecznie, jak w tej chwili. Przyzwyczała się do wewnętrznego napięcia, które stale jej towarzyszyło. A dzisiaj, dwukrotnie podczas jednego wieczoru, dzięki Richardowi zapomniała nie tylko o tym napięciu, ale również o strachu.

- Już lepiej? - usłyszała tuż przy uchu jego głos.

- Tak. - Nie kłamała. Czuła się znacznie lepiej. Czy to wina Richarda, że ona lekkomyślnie życzyła sobie, aby trwali w takiej bliskości na zawsze?

- To dobrze. - Wycofał ramię i pomógł jej oprzeć się na poduszkach. - Zaraz wracam.

- Wracasz?

- Tak. Przyniosę ci coś na sen. - Musnął palcem jej policzek. - To nie potrwa długo.

Skąd mógł wiedzieć, że czasami po takim koszmarnym śnie długo nie mogła zasnąć? Poszedł chyba po kieliszek brandy lub laudanum. Zadrzała. Powinna powiedzieć mu, że nienawidzi laudanum. Ostatnim razem, kiedy jej

zaaplikowano ten środek... Nie, nie chce o tym myśleć. Ciotka Maria szczerze pragnęła jej pomóc.

Richard zjawił się, trzymając w dłoni szklankę.

- Nie chcę laudanum - odezwała się Thea, jak tylko wszedł do środka.

- To dobrze. Nie zamierzam ci go dawać. Zbliżył się i znowu usiadł na łóżku.

- Pij, póki gorące. To mleko.

- Mleko? - Wzięła do rąk szklankę. Poczowała przyjemne ciepło.

- Gorące mleko. Lepiej ci zrobi niż laudanum.

- Ty też sobie tak pomagasz, gdy nie możesz zasnąć?

- Dżentelmenowi służy do tego celu brandy.

- Richard, ciebie nie powinno tu być. Gdyby ktoś wszedł...

- Nie obawiaj się, ta niewinna szklanka mleka jest naszą przyzwoitką.

- Przyzwoitką?

- Czy mamy tu echo? - zażartował. - Tak, przyzwoitką. Wymień choć jednego szanującego się uwodziciela, który częstuje ofiarę gorącym mlekiem. Idę o zakład, że gorące mleko nie jest afrodyzjakiem. Nikt mi nie uwierzy, że przyszedłem tu, aby cię uwieść.

Thei zrobiło się wesoło. Trochę ją jednak rozczarowało, że nie zamierza jej uwodzić. Ojej, skąd taka myśl?

- Widzę, że już ci lepiej - powiedział. - Nie zapomnij znowu umyć zębów.

Jak mogło jej przyjść do głowy, że w jego trosce o nią kryje się coś więcej niż braterska chęć pomocy?

- Nie jestem dzieckiem!

- Zauważyłem. To tylko dobra rada. Jeśli tego nie zrobisz, rano będziesz miała niesmak w ustach.

Musiała się roześmiać.

- Przemawia przez ciebie doświadczenie.

- Gorzkie doświadczenie. Niestety, nie chodziło o coś tak niewinnego jak szklanka mleka. Dobranoc.

- Dobranoc - szepnęła.

Czuła się lepiej. Dlaczego więc wyciąga ku niemu rękę? Dlaczego chce go błagać, żeby został? Żeby ją znowu objął. Tak dobrze czuła się w jego ramionach!

- Theo!

- Dziękuję za... za wszystko. - Za to, że tu jesteś, że jesteś sobą, dodała w duchu. Jednak Richard musi wyjść. Jeśli nie wyjdzie, ona znajdzie się w pułapce.

Pochylił się nad nią. Zaskoczył ją, ale nie przestraszył, gdy objął dłońmi jej głowę i uniósł jej twarz ku swojej. Wstrzymując oddech, z zamkniętymi oczami, czekała na pocałunek. Doczekała się. Gorące usta muskały jej skronie i brwi, w końcu dotknęły warg. Westchnęła i je rozchyliła.

Połączył ich czuły pocałunek. Dłonie Richarda drżały, gdy gładził palcami policzki i szyję Thei.

Nagle wyprostował się i odsunął. Thea uniosła powieki. Przypatrywał się jej z napiętym wyrazem twarzy.

- Dosyć. To nierozsądne - powiedział. Miał rację.

- Dobranoc, Richardzie!

Już miał odejść, ale jeszcze się zatrzymał.

- Theo, nie powinienem cię całować. Mam nadzieję, że nie potraktujesz tego...

- Rozumiem - wpadła mu w słowo - że twoja propozycja małżeńska nie jest aktualna. Nie musisz się bać, że cię źle zrozumiem.

- Chciałem powiedzieć coś innego. Żywię nadzieję, że nie pomyślisz, iż pocałowałem cię, ponieważ to, co mi wyjawiałaś, zmieniło moje zdanie o tobie. Albo że zamierzałem to wykorzystać. Najwyraźniej masz mało pochlebne wyobrażenie na temat mojego charakteru - dodał, nie kryjąc pretensji.

Zamknął za sobą drzwi wyjątkowo cicho jak na kogoś, kto poczuł się dotknięty do żywego.

Jasna cholera! Ale narozrabiałem!

Rozejrzał się ukradkiem po korytarzu. Nie trzasnął drzwiami, bo w porę się opanował. Tylko tego brakowało, żeby go ktoś przyłapał na tym, jak w koszuli nocnej i szlafroku wychodzi z sypialni Thei. Almeria nie uwierzyłaby w żadne wykrety z gorącym mlekiem. Stałoby przed ołtarzem, zanim wysechłby atrament na dyspensie ślubnej.

W sypialni rzucił szlafrok na krzesło i wrócił do łóżka. Przewracał się z boku na bok. Wiedział, co mu jest. Nie dawało mu zasnąć pożądanie, paliło go żywym ogniem. Dobrze, że Thea była zbyt zajęta sobą, aby zauważyć, w jakim był stanie.

Wielkim wysiłkiem woli poprzestał na jednym niewinnym pocałunku. Jak bardzo jej pragnął! Thea najwidoczniej nie miała pojęcia, jak działa na niego jej bliskość. Przeklinając pod nosem, zdmuchnął świecę na nocnym stoliku.

Była taka przerażona. Czy przysnił się jej Dunhaven? Taki rozpustnik jak Dunhaven mógł rzeczywiście być bohaterem nocnego koszmaru. Jak daleko chciał posunąć się ten brutal, żeby wymusić jej zgodę na małżeństwo? W najlepszym razie mógł chcieć zrujnować jej reputację, żeby pozbawić ją możliwości wyboru. A w najgorszym... Wzdrygnął się na samą myśl o takim sposobie zmuszania kobiety do zawarcia ślubu. Thea byłaby prawdopodobnie nie pierwszą i nie ostatnią kobietą, wobec której stosowano tego rodzaju środki przekonywania.

Czy David Winslow zabił Lallertona? Rozmowa z sędzią wytrąciła Theę z równowagi. Czyżby podejrzewała, że brat jest winny? A może była przekonana o jego winie? Dlaczego miałyby to zrobić: zabić narzeczonego własnej siostry?

Leżał na wznak i patrzył w ciemność. Wiedział, że nieprędko zaśnie. Bezsenna noc to dla niego nie nowina. Nie przespał wiele nocy z powodu bolącej nogi. Teraz też odczuwał w niej lekki ból, ale to nie dlatego nie mógł

zasnąć. Ciągle miał w oczach pobladłą twarz Thei, błagającą go, by poniechał myśli o pojedynku z Dunhavenem. Zdradziła mu swoją tajemnicę, aby go ocalić, mimo że spodziewała się, iż on zapłaci jej wzgardą za szczerłość.

Thea nie była w najlepszej formie, gdy następnego ranka schodziła na dół na spotkanie z lady Arnsworth i Dianą Fox-Heaton.

Przeżycia z poprzedniego wieczoru i bezsenna noc sprawiły, że czuła się marnie, ale gdzieś w głębi jej istoty kiełkowało przeświadczenie, że najgorsze ma już za sobą. Wyznała Richardowi prawdę, teraz musi ocalić Davida. Nic poza tym się nie liczy.

Richard stał przy kominku. Był milczący i zasepiony. Miał czas do namysłu, uznała Thea. Zrozumiał, jak szczęśliwie uniknął pułapki. Ponieważ była przekonana, że to nieuchronne, świat wydawał się jej szary i odpychający, jakby nagle zgasło słońce.

- Mąż twierdzi, że spotkanie z sędzią ma kluczowe znaczenie - mówiła Diana. - Sir Giles musi podjąć decyzję, czy dowody są wystarczająco mocne, aby postawić Davida przed sądem. Gdyby doszedł do przekonania, że David zostanie uniewinniony, nie wniesie sprawy.

Thea słuchała, dziwiąc się brakiem reakcji ze strony Richarda. Lady Arnsworth była mniej powściągliwa.

- To wielce niewłaściwe, Dian - denerwowała się. - Dorothea nie powinna pokazywać się na Bow Street! To na pewno zwykła pomyłka i David i tak zostanie zwolniony. - Nie mogąc doczekać się odpowiedzi, dodała: - Dlaczego sir Francis uważa, że jej obecność jest konieczna?

- Tego nie powiedział. Jego zdaniem, jeśli Thea wie o czymś, co mogłoby pomóc bratu, powinna się stawić.

Thea siedziała z rękami splecionymi na kolanach. Miała przedziwne wrażenie, że cała sytuacja jej nie dotyczy. Ta dyskusja nie miała najmniejszego wpływu na to, jak postąpi. Wiedziała, co powinna zrobić. Postanowienie powzięła wieczorem, gdy dowiedziała się o aresztowaniu brata. Nie patrzyła w

stronę Richarda wciąż stojącego przy kominku. Była zupełnie spokojna, miała pewność, że postępuje właściwie.

- Richard! Chyba ty też widzisz całą niestosowność tego pomysłu. - Lady Arnsworth szukała poparcia u siostrzeńca.

Thea spojrzała w jego stronę. Obserwował ją w milczeniu. Najwyraźniej nie zamierzał na nią wpływać. Decyzja należała do niej i on doskonale o tym wiedział.

- Muszę iść - powiedziała.

- Ależ, moja droga! - zawołała lady Arnsworth.

- Dosyć, Almerio! - Richard opuścił miejsce przy kominku i stanął za krzesłem Thei. - Thea musi zdecydować sama. Życie Davida Winslowa jest warte więcej niż zasady, co wypada, a czego nie wypada.

Lady Arnsworth była urażona. - I ty to aprobujesz?

- Moja aprobata lub jej brak nie ma nic do rzeczy - stwierdził rzeczowo Richard. - Czy Thei to się spodoba, czy nie, pójdę z nią na Bow Street.

Poczuła jego gorącą, silną dłoń na swoim ramieniu.

- Jako przyjaciel - dodał.

Ostatniej nocy przyszedł ją pocieszyć. Chyba jej nie osądza mimo tego, co mu wyznała. Teraz staje przy niej w charakterze przyjaciela. Zdaje się, że ona sama ocenia siebie zbyt surowo, pomyślała. Nie doceniła głębi jego lojalności. Teraz on dowie się reszty. Wiedziała, że nie zdoła go przekonać, żeby pozostawił ją sam na sam z sir Gilesem.

Dorożka podskakiwała na kocich łbach w drodze do Bloomsbury. Richard uznał, że lepiej udać się tam dyskretnie, nie powozem z herbem widocznym na drzwiach. Thea siedziała obok niego, nie widział jej twarzy osłoniętej rondem kapelusza i woalką.

Dorożka skręciła w Bow Street. Richard po raz kolejny zadał sobie pytanie, czy dobrze zrobił, popierając jej decyzję. Powiedzenie sędziemu prawdy równało się posadzeniu Davida na ławie oskarżonych. Pojedynki -

Richard zakładał, że to był pojedynek - były niemiłe widziane. Sędziowie dążyli do wyrugowania tej plagi. Jeśli sir Giles zechce uczynić ze sprawy Winslowa pokazówkę, Thea nigdy sobie tego nie daruje.

Podjeżdżali pod numer trzy. Thea odezwała się po raz pierwszy od momentu opuszczenia domu.

- Przebaczysz mi, Richardzie?

- Co mam ci przebaczyć?

- Nie wyjawiałam ci wszystkiego. Uwierz mi, nie dlatego, że ci nie ufam. Sir Gilesowi muszę to powiedzieć, ale to nie jest coś, o czym łatwo mi mówić.

- Oczywiście. Nie mam ci czego przebaczać.

Przekraczając próg biura, Thea wyglądała jak skazaniec, który ma stanąć przed plutonem egzekucyjnym.

David Winslow, sir Francis Fox-Heaton i lord Braybrook już byli w biurze sir Gilesa. David zbladł na widok siostry.

- Niech cię cholera, Blakehurst! - wybuchnął. - To nie miejsce dla niej. Dlaczego nie wyperswadowałeś jej tego?

- Niby na jakiej podstawie?

- To moja decyzja, Davidzie - odezwała się Thea. - Dzień dobry, panie sędzio. Mam nadzieję, że się nie spóźniliśmy.

- Nie, panno Winslow. - Sędzia podniósł się na jej powitanie. - Dziękuję za wiadomość, że pani przyjedzie.

- Wiadomość? - Thea nie zrozumiała.

- To ja wysłałem posłańca - przyznał się Richard.

- Panno Winslow - kontynuował sir Giles - to bardzo poważna sprawa. Jak pani wie, otrzymaliśmy informację, że pan Nigel Lallerton, z którym była pani zaręczona, został zamordowany. Nasz informator twierdził, że będzie pani mogła rzucić światło na okoliczności tego zdarzenia. Później otrzymaliśmy informacje, że pani brat z zimną krwią zabił pana Lallertona. Sir Giles zamilkł na dłuższą chwilę.

- Muszę zadać pani - kontynuował po namyśle - pytanie, czy jest pani wiadomo, z jakiego powodu pan David Winslow mógłby zabić pani narzeczonego?

- Proszę jej w to nie mieszać - wtrącił David. - Zabiłem go, ale to nie było morderstwo! To był pojedynek przeprowadzony zgodnie z regułami kodeksu honorowego. Wystarczy to panu?

- Przypominam panu, panie Winslow - odparł sędzia - że pojedynki są obecnie nielegalne, bez względu na to, czy odbywają się zgodnie z kodeksem honorowym, czy nie. W tej chwili przesłuchuję pannę Winslow. Proszę powiedzieć prawdę, panno Winslow.

- Tak będzie lepiej, Davidzie. - Thea zwróciła się do brata.

- Nie!

Stłumiła wzrokiem jego protest. Zamilkł. Richard czekał w napięciu. Wiedział, ile kosztowało Theę wyznanie jemu prawdy, teraz będzie musiała wyjawić ją publicznie.

- To moja wina, panie sędzio. Proszę pamiętać, że nie miałam wtedy nawet siedemnastu lat...

- Nie mów tak! - wykrzyknął Winslow. Zerwał się na równe nogi, strącając dłoń Braybrooka, który próbował zatrzymać go na miejscu. - To nie twoja wina, że ten łobuz cię zgwałcił! Tak wygląda prawda!

Rozdział jedenasty

Zapadło pełne napięcia milczenie. Nikt nie śmiał się poruszyć. Sir Giles patrzył badawczo na Theę, jednak ona nie odwracała wzroku. Richard poczuł się tak, jakby otrzymał cios obuchem w głowę. Teraz cała łamigłówka ułożyła się w logiczną całość.

- Czy to prawda, panno Winslow?

Głos sędziego jakby złagodniał. Wciąż jednak brzmiał bardzo oficjalnie.

- Tak, panie sędzio.

Richard nie mógł sobie darować, że się nie domyślił. Powiedziała mu przecież, że nie kochała Lallertona... A ten wybuch paniki, kiedy układał ją zemdloną na sofie, niechęć do zamążpójścia, której źródłem musiało być coś więcej niż obawa, jak przyszedłszy mąż przyjmie utratę dziewictwa. Och, gdyby Lallerton nie leżał w grobie, już on by się z nim policzył! Ocknął się, widząc, jak sir Giles podchodzi do małego stolika pod ścianą, na którym stała karafka i szklanki.

- Brandy, panno Winslow. Wiem, że to dla pani trudne. Gdyby jednak mogła nam pani o tym opowiedzieć... Na razie niczego nie obiecuję, ale myślę, że pani wyjaśnienia pomogłyby bratu - powiedział, wręczając Thei napełnioną alkoholem szklaneczkę.

- Wiem, postaram się - odparła.

- Była pani zaręczona z panem Lallertonem, prawda?

- Tak - odrzekła po chwili wahania. - Nigel Lallerton i ja byliśmy zaręczeni. Nasi ojcowie uzgodnili, że się pobierzemy. Ja nie byłam w pełni przekonana do tego małżeństwa i podzieliłam się z ojcem swoimi wątpliwościami. Prosiłam o więcej czasu do namysłu, żeby lepiej poznać pana Lallertona. Zamiast tego ojciec ogłosił zaręczyny i ustalił nieodległą datę ślubu.

- Proszę kontynuować.

- Wpadłam w panikę i oznajmiłam panu Lallertonowi, że nie chcę za niego wyjść. On pozornie przyjął moją odmowę, ale zaprosił mnie na przejażdżkę, w czasie której mieliśmy wrócić do tego tematu. Zaskoczyła nas burza i byliśmy zmuszeni zostać na noc w gospodzie.

Nie dbając o to, co pomyślą obecni, Richard opiekuńczym gestem położył dłoń na ramieniu Thei.

- Czy to nie wystarczy, panie Mason - zwrócił się do sędziego podniesionym głosem. - Nie posuwa się pan za daleko?

- Na razie wystarczy - rzekł spokojnie sędzia, obracając przenikliwe spojrzenie zielonych oczu na Richarda. - Panno Winslow - zwrócił się ponownie do Thei - czy jeśli zajdzie potrzeba, będzie pani gotowa opowiedzieć mi resztę? Nawet na sali sądowej?

Richard poczuł, jak Thea zadrżała.

- Na litość boską! Nie może pan żądać, żeby składała tego rodzaju wyjaśnienia w sądzie! - zaprotestował.

- Panno Winslow, nie proszę panią o to w tej chwili, tylko chcę wiedzieć, czy złoży pani zeznanie w sądzie? - jeszcze raz zapytał sir Giles.

- Tak - odrzekła krótko. Wyraźnie pobladła.

- Doskonale. Wydaje się, że miał pan wystarczający powód, aby wyzwać Lallertona, panie Winslow - zwrócił się sir Giles do Davida.

- Miałem! - potwierdził zapalczywie David. - Lallerton dopiął swego. Siostra znalazła się w sytuacji bez wyjścia, musiała go poślubić. Jak w takiej sytuacji miałem go wyzywać?

- Co to znaczy? - wtrącił Richard.

- Pomyśl, Blakehurst. Musiałem pogodzić się z faktem, że będę miał szwagra łajdaka, zamierzałem jednak zaleźć mu za skórę.

- Twierdzi pan, że to nie pan wyzwał go na pojedynek? - zapytał sir Giles.

- Nie ja. Do krytycznego momentu Lallerton przebywał w gościnie u moich rodziców na wsi. Wszyscy byli zaniepokojeni tym, że Thea i Lallerton

nie pojawili się na noc w domu. Nazajutrz ona wróciła sama, on pojechał prosto do Londynu. Początkowo nic nie mówiła. W ogóle się nie odzywała, dopóki ojciec nie poinformował jej, że poprosił Lallertona, by przyjechał z zezwoleniem na niezwłoczny ślub. Wybiegła zrozpaczona z pokoju, a ja za nią, żeby ją uspokoić.

- Wtedy powiedziała panu o gwałcie?

- Nie tak dosłownie. Zauważyłem siniaki na jej rękach i policzku.

- Jak pan zareagował?

- Pojechałem do Londynu. Chciałem zrobić z niego miazgę. W mieście nie zastałem Lallertona w domu. Od służącego dowiedziałem się, że poszedł na kolację do Fox-Heaton, więc tam się udałem.

- Może pan to potwierdzić? - zwrócił się sędzia do sir Francisa.

- Oczywiście. David wpadł do mojego domu, nie zważając na protesty służby, i wdał się w bójkę z Lallertonem, w czasie której podbił mu oko i wybił kilka zębów.

- Czy pan Winslow dał do zrozumienia, co było powodem owej bójki?

- Nie - kontynuował Fox-Heaton. - Lallerton też nie. W bardzo obraźliwych słowach wyzwał Davida na pojedynek. David ostrzegał go, żeby nie był głupi...

- Zaraz, zaraz... Co powiedział?

- „Nie bądź beznadziejnym głupcem”.

- Aha. Proszę dalej.

- Niewiele zostało do dodania - stwierdził Fox-Heaton. - Lallerton oskarżył Davida o tchórzostwo, na co ten w niecenzuralnej formie przyjął wyzwanie i zapowiedział przysłanie sekundanta. - Wskazał na lorda Braybrooka. - Braybrook zjawił się następnego poranka. Żadna ze stron nie wykazała chęci pojednania, pojedynek się odbył i Lallerton został zabity. Lordowie Aberfield i Chasewater postanowili zatuszować sprawę. - Fox-Heaton zamilkł, jednak po chwili dodał z wahaniem: - Miałem pewne podejrzenia, ale

aż do dzisiaj żadnej pewności, co było przyczyną kłótni między Winslowem a Lallertonem.

- Co pan ma do powiedzenia, lordzie Braybrook? - zapytał sir Giles.

- Niewiele. Następnego dnia David przyszedł do mnie bardzo wcześnie i poprosił, abym podjął się roli jego sekundanta. Uprzedził, że w żadnym wypadku nie jest gotów przeprosić Lallertona, i zasugerował, abym znalazł chirurga. – Braybrook odwrócił się w stronę Thei. - Podobnie jak Fox-Heaton, podejrzewałem, o co chodzi w tej kłótni, zwłaszcza że bezpośrednio po niej panna Winslow znikła z towarzystwa. Z nikim nie dzieliłem się swoimi przypuszczeniami.

Spojrzał przeprasząco na Richarda. Wiedział, że w zaistniałej sytuacji nie może winić przyjaciela.

- Przygotowaliśmy pojedynek - kontynuował Braybrook.

- Obaj wystrzelili niemal jednocześnie. David dostał w lewe ramię, a Lallerton wysoko w udo. Została uszkodzona tętnica. Chirurg nie mógł zatrzymać krwotoku.

- Pan Lallerton nie markował strzału, strzelał, aby zabić? - zapytał sir Giles. Był wyraźnie wzburzony.

Braybrook wymienił spojrzenie z Fox-Heatonem.

- Według mojej opinii, tak. Mierzył w lewą stronę na wysokości serca. Chybił o parę cali. Co myślisz, Fox-Heaton?

- Zgadza się - krótko stwierdził się Francis. - Miał bardzo gwałtowny charakter i wtedy był wyjątkowo agresywnie nastawiony. Zrobiłem wszystko, aby wyperswadować mu ten pojedynek, wiedziałem, że gotów jest zabić Davida. Nie słuchał, więc musieliśmy z Braybrookiem podjąć stosowne czynności.

- A pan, panie Winslow? Jak by pan postąpił, gdyby Lallerton cofnął wyzwanie i przeprosił? - Sir Giles z uwagą obserwował Davida.

- Gdyby cofnął wyzwanie, musiałbym się na to zgodzić, ale nie zrobił tego, więc nie miałem wyboru, musiałem strzelać. Chciałem go jedynie zranić. Czy pomogłoby to mojej siostrze, czy nie, to całkiem inna sprawa.

Zapadło milczenie, które zakłócał jedynie odgłos bębnienia palcami o biurko przez sir Gilesa.

- Gdyby sprawa stanęła przed ławą przysięgłych - odezwał się wreszcie - najbardziej prawdopodobnym rezultatem byłoby uniewinnienie pana, panie Winslow. Pojedynki są nielegalne, ale niewielka jest szansa, że zostałby pan skazany, zwłaszcza w obliczu tej szczególnej prowokacji. - Sir Giles spojrzał na Theę. - A także z uwagi na fakt, że to nie pan wyzwał na pojedynek. Należy dodać, że sprawa została zatuszowana ze względu na reputację panny Winslow. Mam rację?

- Tak, panie sędzio. - David skinął głową. - Nasz ojciec obawiał się, że nawet gdyby udało się nie angażować nazwiska siostry w tę sprawę, to i tak towarzyszące jej plotki i spekulacje zrujnowałyby ją i rodzinę. Chasewater był podobnego zdania. On nie mniej niż nasz ojciec bał się skandalu. Gdyby wszystkie okoliczności wyszły na jaw, nie stawiałyby jego syna w dobrym świetle.

- Zważywszy na to - kontynuował sir Giles - będąc daleki od aprobowania tego sposobu rozsądzania sporów, nie widzę korzyści w dalszym prowadzeniu tej sprawy. Postawienie pana przed ławą przysięgłych, która prawie na pewno wydałaby werdykt uniewinniający, doprowadziłoby tylko do ruiny reputacji pańskiej siostry. Panno Winslow - zwrócił się łagodnym głosem do Thei - jestem pełen podziwu dla pani odwagi. Przyszła pani do mojego biura, żeby mi wszystko opowiedzieć. Myślę, że może być pani pewna dyskrecji sir Francisa Fox-Heatona i lorda Braybrooka, jeśli przez osiem lat z nikim nie podzielili się swymi podejrzeniami. Jeśli chodzi o mnie, to zapewniam panią, że nikomu nie powtórzę niczego, o czym dowiedziałem się podczas tego przesłuchania.

- Zatem David jest wolny? - zapytała nieśmiało Thea.

- Jak najbardziej.

Z wyjątkiem lorda Braybrooka, który przyjechał konno, wszyscy pozostali wrócili do Mayfair powozem sir Francisa. Rozmowa się nie kleiła. Thea w ogóle się nie odzywała. Sir Francis pomógł jej wysiąść, gdy przyjechali na miejsce.

- Jedzie pani do Blakeney, panno Winslow, prawda?

- Tak. - Nie zdziwiłoby jej, gdyby nie życzył sobie, żeby nadal spotykała się z jego żoną Dianą.

- Zatem miłej podróży. Może po powrocie zje pani razem z Dianą i ze mną kolację?

- Naprawdę? - Thea była zaskoczona.

- Proszę dać znać Dianie o swoim powrocie do miasta. Do widzenia.

- Dziękuję. - David wyciągnął dłoń do sir Francisa.

- Nie ma za co. Ta sprawa leżała mi na sercu przez te wszystkie lata. Cieszę się, że w końcu została rozwikłana.

Powóz odjechał. Thea, David i Richard zostali sami.

- Pójdę do ojca - oznajmił David. - Uspokoję go, że spadkobierca nie zadynda na stryczku ani nie będzie musiał do końca życia ukrywać się na kontynencie. - Uścisnął Theę. - Nie powinnaś była na to dla mnie się narażać.

- Jak mogłabym postąpić inaczej?

- Słuchaj, Blakehurst, dziękuję za wszystko. I zostawiam ją z tobą. Na dobre i na złe. Może byś ujawnił więcej stanowczości! - Z tymi słowami David udał się na drugą stronę placu do domu Aberfielda.

- Brat jest bezpieczny dzięki twojej odwadze, Theo. Przestań się zamartwiać - poprosił Richard.

Nie zaprzeczyła. Tak, David jest bezpieczny. Jednak nie wszystkie problemy zostały rozwiązane.

Pół godziny później Thea wręczyła list lokajowi Almerii.

- Proszę dostarczyć to do kancelarii prawnej Sydenhama i Becketta pod adres: Lincoln's Inn Fields, bezpośrednio do rąk pana Sydenhama. I proszę zaczekać na odpowiedź.

- Dobrze, panienko.

Dała mu na dorożkę i coś ekstra.

- Odpowiedź proszę przynieść prosto do mnie. Zrozumiał James?

- Tak, panienko.

- Dziękuję. W drogę.

Thea nie mogła skupić myśli na niczym innym. Musi dowiedzieć się prawdy o swojej córce. Czy jest bezpieczna? Miała nadzieję, że ruszy tę sprawę z miejsca, zanim wybierze się do Kentu. Przed wyjazdem musi kupić prezent z okazji chrztu... Serce przeszył ból. Czy jej dziecko dostało prezent z okazji chrztu? Nawet nie знаła imienia swojego dziecka. Biedne stworzenie, nieszczęśliwe, bo ona była zbyt przestraszona.

Przypomniała sobie, jak ojciec rzucił krótko: „Dziecinada”, po czym dodał: „W tej sytuacji ślub musi się odbyć, i to jak najszybciej. Zresztą, co takiego się stało? Nic nadzwyczajnego, to samo będzie po ślubie. Wyjdiesz za Lallertona i na tym koniec!”.

Groziła, że przy ołtarzu powie „nie” i wyjawi dlaczego się nie zgadza. Ojciec wpadł w furję, matka nie mogła uwierzyć. „Ależ kochanie, to taki odpowiedni kandydat”. Tylko David jej wierzył. Tylko on był gotów jej bronić. Rodzice wysłali go na kontynent, zanim okazało się, że ona jest w ciąży. Nieraz myślała, jak lekkomyślnie postąpiła, nie godząc się wyjść za mąż.

Czy gdyby nie interwencja Davida, poślubiłaby Lallertona? Prawdopodobnie. Na wspomnienie tamtej nocy przenikał ją wstręt, ale wskutek jej decyzji zostało potępione niewinne dziecko. Czy właściwie postąpiła? Z perspektywy lat nieraz żałowała. Było to pyrrusowe zwycięstwo.

Nikt nie ostrzegł jej wówczas przed możliwością ciąży. Czy szesnastoletnia dziewczyna była przygotowana na taki argument? Czy teraz

wzięłaby go pod uwagę? Czy zgodziłaby się na piekło związku z mężczyzną, który był zdolny do zgwałcenia niewinnej dziewczyny? Czy jakiejś innej dziewczynie doradziłaby w takim przypadku małżeństwo? Nie była o tym przekonana.

Dlaczego oszukali ją, że dziecko nie żyje? Chcieli oszczędzić jej wstydu? A może dlatego, że ciotka Maria złapała ją kiedyś, niedługo przed rozwiązaniem, jak gładziła dłonią napięty brzuch i wyczuwała ruchy dziecka. Zdarzało się jej niekiedy zapominać o strachu i poniżeniu i budził się w niej podziw dla rozwijającego się w niej życia. Nie czuła niechęci do dziecka, z ciekawością czekała na jego pojawienie się. Czy ciotka Maria to dostrzegła? Nieraz przypominała zbłąkanej bratanicy, że rozwija się w niej owoc grzechu. To ciotka Maria podała jej laudanum po rozwiązaniu.

Czy wystarczy jej odwagi, aby znaleźć odpowiedzi na te pytania? A jeśli je znajdzie, co uczyni? Może lepiej nie wiedzieć? Mogłaby się wycofać jeszcze teraz. Po otrzymaniu listu od Sydenhama mogłaby mu odpowiedzieć, że zmieniła zdanie, że nie jest dłużej zainteresowana.

- Thea, myślałem, że odpoczywasz u siebie - rozległ się głos Richarda. - Dobrze się czujesz?

Odwróciła się, nie ukrywając łez. Wyciągnął rękę, lecz Thea się cofnęła. Gdyby jej dotknął, nie potrafiłaby powstrzymać się przed ujawnieniem poczucia winy, potwornego zamętu w duszy.

Uśmiechnęła się.

- Zastanawiałam się nad prezentem z okazji chrzcin. Sądysz, że powinno to być coś odpowiedniego dla dziecka teraz czy z myślą o przyszłości? Z dziewczynką byłoby prościej, można by kupić coś z biżuterii - ciągnęła. - Niestety, moda tak szybko się zmienia, do czasu...

- Chciałbym ci coś wyjaśnić - wpadł jej w słowo Richard. - Theo, zależy mi na naszych zaręczynach. Powinnaś jednak wiedzieć, że nigdy nic na tobie nie będę wymuszał, choćby nie wiem jak zależało mi na poślubieniu ciebie.

- Wiem o tym. Co do prezentu, zamierzałam poprosić pokojówkę, żeby poszła ze mną go kupić, gdy już zdecyduję, co to ma być.

- Weź pod uwagę, że możesz pójść ze mną.

- Z tobą?

- Wiem, nie jestem pokojówką, ale przypuszczam, że nie przemawia to na moją niekorzyść - żartował.

- Ale...

Uśmiech zniweczył jej obronę. Zbladły wszelkie rozsądne argumenty przemawiające za odrzuceniem towarzystwa Richarda. Jak na przykład ten, że pokazując się razem, potwierdzą, że bliski jest dzień ogłoszenia ich zaręczyn. Czy jednak coś przebić może wydarzenia wczorajszego wieczoru? Albo dzisiejszego przedpołudnia? Richard publicznie wywiesił swoją flagę na jej maszcie. Będzie musiała ją zedrzeć, również publicznie.

- Co powinnam kupić, jak uważasz?

Właściwie dlaczego pyta?

Całe to rozmyślanie o dzieciach i o tym, co by było, gdyby doszło do małżeństwa z Richardem, tylko mnie rozstraja, uznała Thea.

- Wiesz co? Ja mam te małe koniki do powieszenia nad kołyskę. Może dokupisz coś do nich?

Pamiętała o drewnianym ptaszku, który trzymała w szkatułce z pamiątkami. Gdyby wszystko potoczyło się inaczej, dałaby go swojemu dziecku. Czy Bóg okazałby się łaskawszy, gdyby nie jej głupia duma i strach? Czy nie mogłaby ulżyć losowi córki, nie widząc jej? Przecież dziecko niczym nie zawiniło. Jeśli zacznie w sekrecie pomagać swojej utraconej córce, może wówczas ból, skrywany tak długo, nie będzie już taki dojmujący?

- Mogłabym kupić dzwonki do zawieszenia razem z konikami.

- Świetny pomysł. - Twarz Richarda rozjaśnił uśmiech. - Idziemy teraz?

- Ale dokąd? - Nie miała pojęcia, gdzie w Londynie można kupić takie rzeczy.

- Nigdy nie widziałaś menażerii w Exeter, będąc dzieckiem? Nie pamiętasz sklepików na dole, w których dzieci wydawały kieszonkowe? Tam na pewno znajdziemy dzwonki. Chyba że masz na myśli jakiś ambitniejszy plan i zamierzasz podwędzić dzwony z katedry Świętego Pawła.

- Exeter mi wystarczy - odrzekła Thea z udawaną powagą. - Pójdziemy czy weźmiemy dorożkę?

- Jeśli chcesz, możemy się przespacerować. Wrócimy dorożką.

Rozdział dwunasty

Okazało się, że znalezienie dzwonek na kiermaszu w Exeter nie przedstawiało najmniejszych trudności. Richard ukradkiem obserwował Theę, gdy po dokonaniu zakupu przechadzali się między stoiskami. Teraz była opanowana, ale on wciąż pamiętał, jak wyglądała, kiedy ją zaskoczył w salonie.

Od tamtej pory zdarzały się momenty, gdy nie dzieliła ich bariera. Dzisiaj jednak odniósł wrażenie, że jest tak jak owego feralnego dnia, iż Thea znowu tkwi w swojej koszmarnej przeszłości. Na pozór swobodna paplanina na temat prezentu dla dziecka Maksa i Verity nie zwiódła Richarda. Czy rzeczywiście myślała, że go oszuka? Może tak było jej po prostu łatwiej po przeżyciach w biurze sir Gilesa? Jej odwaga mu zaimponowała.

- Wracamy?

Uśmiechnął się. Niestety, uśmiech wypadł blado. Było mu dobrze w towarzystwie Thei. Zauważył, że wyglądała na zmęczoną. Miała podkrążone oczy.

- Zdołałaś jeszcze zasnąć dzisiejszej nocy?

- Oczywiście.

Nie miał wątpliwości, kłamała. Odwróciła wzrok pod wpływem jego pytającego spojrzenia.

- Jesteś okropną kłamczuchą, wiesz o tym? Zawołajmy dorożkę.

- Nie. Wolałabym się przejść.

- Jesteś przecież zmęczona.

- Tak, ale tak mi dobrze teraz. Gdy pojedziesz do Blakeney, taka okazja się nie powtórzy.

Ucieszył się, że jego towarzystwo sprawia Thei radość.

- W takim razie chodźmy.

W Blakeney też mogliby spacerować. Tamtejsze świeże powietrze dobrze by jej zrobiło. Z drugiej strony, nie chciał być opacznie zrozumiany.

- Wracając do wczorajszego wieczoru, chciałbym, byś wiedziała, że moja propozycja małżeńska, nawet jeśli nie miałem pojęcia... to znaczy, zanim powiedziałaś sir Gilesowi, co się stało... - Richard się zaplątał.

- Nie. Proszę. Wiem, co chcesz powiedzieć. Nie ma najmniejszego powodu, żebyś ponawiał propozycję. To żadne nieszczęście. Nie chcę wyjść za mąż. A już najmniej dlatego, że ty uważasz za swój obowiązek mi pomóc. Pojedziemy do Blakeney, a po powrocie okaże się, że towarzystwo żyje kolejnym skandalem. O mnie wkrótce zapomną.

Powinien mu spaść kamień z serca. Żaden mężczyzna nie chciałby się żenić w atmosferze skandalu. Dlaczego zatem tak mu przykro, że Thea odrzuca to najbardziej oczywiste rozwiązanie? Musi znaleźć jakiś sposób, żeby ją uchronić od plotek. Zrobi wszystko, co w jego mocy, z wyjątkiem jednego: nie zmusi jej do małżeństwa. Zasługiwała na więcej poszanowania po tym, co ten łobuz Lallerton jej zrobił.

Poprosi Verity, żeby zaproponowała Almerii oraz Thei pozostanie w Blakeney. Jego dom jest oddalony tylko o kilka mil.

Lubił Theę, a ona przeżywała trudny okres. Teraz nie to było jednak najważniejsze. Coraz silniej dochodziła do głosu czysto fizyczna przyjemność przebywania w jej pobliżu. Z trudem opierał się chęci przyciśnięcia jej do piersi i całowania do utraty tchu jej delikatnych ust. Ale to było możliwe tylko w

małżeństwie. Jak ją przekonać? Nie zniży się do metody, której użył ten drań Lallerton, nie uwiedzie Thei, bo... Bo ją kocha.

To odkrycie go zaskoczyło, ale to prawda. Kocha Theę Winslow, dziedziczkę pokaźnej fortuny. Czy majątek ma coś do rzeczy? Nie. Pragnie kobiety, nie jej pieniędzy. To o Theę się martwił. O jej bezsenne noce, zakłócone koszmarowymi snami, o jej przeżycia związane z zeznaniami na Bow Street. Tak rodzi się miłość? Można nagle pokochać znaną od lat kobietę?

Niespodziewany ruch na chodniku przywrócił go do rzeczywistości. Dwa wielkie kundle, wężące w pobliżu rynsztoka, nagle na siebie skoczyły, ujadając i płosząc konia zaprzęgniętego do stojącej obok dwukółki.

Rzucił się między Theę a walczące psy. Byliby poza zagrożeniem, gdyby Thea nie przystanęła, żeby popatrzeć na kłębiące się cielska. W tym momencie koń wyrwał się trzymającemu lejce woźnicy. Z przeciwnej strony nieoczekiwanie nadszedł inny pojazd. Spłoszony koń wciągnął dwukółkę na chodnik, rozpędzając na wszystkie strony pieszych. Nie było czasu do namysłu, nie było gdzie się schronić, żadnej bramy, żadnych drzwi w pobliżu. Richard popchnął Theę w stronę najbliższej ściany, przycisnął ją do niej całym ciężarem swego ciała, osłaniając ramionami jej głowę.

Zamknął oczy. Odgłos końskich kopyt był tuż-tuż. Mocniej przywarł do muru, przygniatając Theę. Poczul gwałtowne uderzenie, które oderwało go od ściany. Zanim upadł na chodnik, mignęły mu przed oczami koła pojazdu, potem już nic nie czuł, tylko jego ciało toczyło się po opustoszałym bruku.

- Richard! - krzyknęła Thea, czując, jak odrywa go od niej koło pędzącego pojazdu. Widziała jego postać, kręcącą się pod wpływem uderzenia jak szmaciana lalka, po czym bezwładnie opadającą na ziemię.

Zamarła z przerażenia. Wydawało się jej, że Richard spoczywa bez życia na zakurzonym chodniku całą wieczność. Obok nieruchomego ciała leżał nietknięty kapelusz.

Boże! Tylko nie to! Nie pozwól mu! Pełna trwogi przypadła do Richarda.

Miał zamknięte oczy, ale z jego ust dobywał się ciąg bluźnierczych i niecenzuralnych wyrażań, które w jej uszach brzmiały jak najśłodsze słowa, jakie kiedykolwiek słyszała. Otworzył oczy i próbował usiąść. Pomogła mu. Zaczęła bezradnie otrzepywać kurz z jego ubrania. Nie zwracała uwagi na tłum gapiów, nie rozróżniała okrzyków podniecenia i szeptem wypowiedzianych uwag.

- Jesteś ranny? Jak twoja noga...

- Nic mi nie jest - skłamał, choć ból w nodze był nie do wytrzymania. - Nie jestem ranny, przynajmniej nie w miejscu, o którym wypada mówić. Powiedzmy, że przez kilka dni nie będę mógł zbyt wygodnie usiąść.

Thea odetchnęła z ulgą. Zauważyła smugę brudu na jego skroni. Zdjęła rękawiczki i drżącymi palcami próbowała ją zmasać. Zdała sobie sprawę, że brud to tylko pretekst. Musiała dotknąć Richarda. Poczuć jego gorące, żywe ciało, upewnić się, że nie będzie jej odebrane.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, przesuwała opuszkami palców po lekko drapiącym policzku, po wydatnie zarysowanej szczęce, dotknęła wyrazistych ust. Pocałował jej palce. Zaparło jej dech z wrażenia, bo w tej niewinnej pieszczocie było tyle czułości. Nie odrywając spojrzenia od twarzy Richarda, powoli zdjęła palce z jego warg.

Spróbował wstać. Na pomoc ruszyło mu kilkanaście rąk, nie licząc rąk Thei. Zignorował wszystkich. Bez słowa, nie bacząc na to, że ludzie na nich patrzą, objął ją i przycisnął do boku.

- Nie jesteś ranna?

- Nie.

Uratował ryzykując życie, myślała Thea. Osłonił mnie, własnym ciałem. Ciągłe ją osłaniał, pocieszał, rozpraszał obawy, nad którymi nie panowała. Teraz bała się nie o siebie, lecz o niego. Czowała się bezpiecznie w jego ramionach. Wciąż czuła na sobie ciężar przyciskającego ją do muru ciała i nie było to przykre wspomnienie, odwrotnie, gdy o tym myślała, robiło się jej przyjemnie

ciepło. Dziwiło ją, że to możliwe. Czy bliskość innej istoty ludzkiej może być źródłem takiego cudownego odczucia?

Niestety, takie doznania są nie dla niej. Będzie musiała się ich wyrzec. Nie może być inaczej.

Richard poczuł, jak Thea sztywnieje. Był na siebie zły, że pozwolił sobie na obejmowanie jej w miejscu publicznym. Powinien utrzymać przyzwoity dystans, zbuntował się jednak przeciwko głosowi rozsądku. Opanowało go zupełnie nieracjonalne przekonanie, że gdy teraz Theę wypuści, utraci ją na zawsze.

Z tłumu gapiów wyłonił się krzepki woźnica dorożki i zaproponował, że odwiezie ich do domu. Richard się zgodził, Thea nie protestowała. Ktoś podał mu zakurzony kapelusz z chodnika. Wsiedli.

Myśl, że mógłby stracić Theę, jeszcze teraz wprawiała go w przerażenie. Już wiedział na pewno. Kocha Theę Winslow, i to chyba od zawsze, ponieważ nie potrafi zidentyfikować momentu, w którym jego uczucia względem niej się zmieniły. Tak samo było w przypadku Maksa. On również nie zauważył, kiedy się zakochał. Teraz było to widoczne jak na dłoni.

Richard chciał, żeby Thea została jego żoną. Pragnął jej i pragnął spędzić z nią resztę życia. Odszukał dłoni Thei. Musiał jej dotknąć. Przez chwilę jej dłoń leżała nieruchomo, lecz nagle smukłe palce splotły się z jego palcami i zacisnęły na nich, jak gdyby ona też potrzebowała tego dotyku.

Z trudem pohamował się, żeby nie ulec pragnieniu porwania jej w ramiona i całowania tych cudownych ust, wzięcia w posiadanie jej całej, ciałem i duszą. Za szybko. Nie czas na ponowienie oświadczeń. Nie śmiał posunąć się ani o krok do przodu, zanim nie uzyska pewności, że Thea jest gotowa go poślubić.

Ufała mu, bała się o niego i troszczyła. Teraz musi nauczyć ją, czym jest namiętność.

Po przyjeździe na Grosvenor Square Thea natychmiast udała się do swojego pokoju. Wciąż miała przed oczami wypadek. Rozpamiętywała także, jak Richard przyciskał ją do ściany budynku i osłaniał własnym ciałem, jak wargami muskał opuszki jej palców, jak wziął ją za rękę w geście pocieszenia wtedy, gdy jechali do domu. Czyste szaleństwo. Chroniłby w ten sposób każdą kobietę. Ona nie jest kimś wyjątkowym.

Oboje przeżyli wstrząs. Nie ma żadnych szczególnych powodów, dla których okazał jej tyle delikatności. Nie ma powodu do obaw. Zdjęła peliszkę. Nie obawiała się Richarda, ale siebie samej. Nie była pewna, czy znalazłaby dość siły, żeby odrzucić ponowne oświadczenia.

Na szczęście nie zaproponował jej po raz kolejny małżeństwa. Powiedział jasno, że jej majątek go nie interesuje. Mężczyźni nie zakochują się w przyjaciółkach z dzieciństwa, ciesząc się niezbyt pochlebną reputacją bałamutek. I dobrze, bo ona nigdy by za niego nie wyszła.

Rozległo się pukanie do drzwi, weszła pokojówka.

- Ta przesyłka przyszła przed chwilą - oznajmiła i wyciągnęła list z kieszeni fartuszka.

Thea rozpoznała charakter pisma: Sydenham.

Rozpieczętowała list pośpiesznie. Prawnik nie był szczęśliwy z powodu nałożonego nań zadania, ale zrobił dokładnie to, o co był proszony. Spotkanie zostało umówione za dwa dni, czyli w dogodnym dla niej czasie. Potem będzie mogła wyjechać do Blakeney.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że wszelkie wahania znikły. Musi poznać prawdę. Dzisiejszego popołudnia omal nie zginęła. Gdyby nie Richard, prawdopodobnie leżałaby martwa na ulicy. Otarła się o śmierć.

Skoro ma dziecko, musi zadbać o jego przyszłość, spisać testament, a do tego potrzebuje poznać imię i nazwisko dziecka. Na razie na tym poprzestanie. Rozsądek ostrzegał ją, że nawet to jest niebezpieczne, bo gdy pozna jego nazwisko, może zapragnąć więcej.

Rozdział trzynasty

- Dzień dobry, panno Winslow. Widzę, że otrzymała pani mój list. Wszystko przygotowane. Człowiek, którego pani potrzebuje, jest tutaj. Mogę mu przekazać pani instrukcje, nie musi pani z nim rozmawiać osobiście.

- Panie Sydenham, prosiłam o znalezienie dyskretnego i godnego zaufania człowieka. Zrobił pan to?

- Tak, ale moim zdaniem nie wypada, żeby dama osobiście kontaktowała się z takimi ludźmi.

- Proszę mnie zaprowadzić do tego dżentelmena i zostawić nas samych.

Sydenham posłuchał bez przekonania i zaprowadził Theę do pokoju, w którym czekał potężny mężczyzna o małych, przenikliwych oczkach. Wstał na widok wchodzących. Najwyraźniej Sydenham niezbyt dobrze czuł się w zaistniałej sytuacji.

- Słuchaj, Rufton, to jest, hm...

Thei zrobiło się żal prawnika. Wysunęła się do przodu.

- Panie Rufton, nazywam się panna Winslow. Powiedziano mi, że będzie mi pan mógł pomóc. Panie Sydenham, bardzo dziękuję. Może pan nas zostawić? Proszę usiąść, panie Rufton - zwróciła się Thea do mężczyzny po wyjściu prawnika.

- Dziękuję pani. Jestem gotów pani pomóc. Pan Sydenham nie chciał mi powiedzieć, o co chodzi. Wiem tylko, że ktoś chce mnie wynająć w charakterze prywatnego detektywa.

- Pan Sydenham nie mógł nic panu wyjaśnić, bo sam nie wie, czego od pana oczekuję. I niech tak zostanie. Poprosiłam go o skontaktowanie mnie z kimś z policji, z człowiekiem o nieposzlakowanej uczciwości, godnym zaufania i dyskretnym.

- Chodzi o osobistą sprawę?

- Jak najbardziej.

- Zatem chciałbym ustalić najpierw kilka spraw. Po pierwsze, nie zrobię nic sprzecznego z prawem. Po drugie, jeśli odkryję coś, co jest sprzeczne z prawem, będę miał obowiązek zawiadomienia o tym, kogo trzeba. Po trzecie, wszelkie koszty, na przykład koszty podróży, muszą być opłacone z góry. Proszę zrozumieć, mam rodzinę na utrzymaniu.

Thea skinęła głową ze zrozumieniem.

- Przyjmuję pana warunki. Ja mam tylko jeden, a mianowicie, że nie powie pan nikomu o naszej umowie. O swoich odkryciach będzie pan informował mnie na piśmie.

Spojrzał na nią życzliwie.

- Jeszcze jedno, muszę mieć pewność, że jest pani zainteresowana dojściem do prawdy, bez względu na to, jak ona wygląda.

- Zastanawiałam się nad tym, panie Rufton. Chciałabym, żeby wyszedł pan pewne dziecko. Dziewczynkę.

- Nie zrobię niczego, co mogłoby zaszkodzić dziecku. Jestem człowiekiem żonatym i sam mam dzieci.

Thea wyzbyła się ostatnich wątpliwości. Był to człowiek, któremu mogła zaufać.

- Dobrze. Powiem panu, o co mi chodzi, i sam pan osądzi.

Dziewczynka ta jest obecnie wychowanką Zakładu dla Panien z Dobrych Rodzin w Bath. Przypuszczam, że ma około siedmiu lat, urodziła się w marcu. - Thea знаła dokładną datę, ale było możliwe, że data urodzin została zmieniona, aby ukryć pochodzenie dziecka.

- Jej imię?

- Znam tylko inicjały. Liczę na to, że pan się dowie, jak się nazywa. Przypuszczam, że została wychowana w Kelfield w hrabstwie York przez niejaką Kate Parsons, ale to trzeba sprawdzić. Proszę się dowiedzieć, o ile to możliwe, gdzie przyszła na świat i czy... czy jest szczęśliwa.

- Mam do czynienia z panną Winslow? - zapytał. Potwierdziła skinieniem głowy.

- Dlaczego pan pyta?

- Nie po raz pierwszy zamożna pani dyskretnie szuka takich jak ta informacji. Jak wspomniałem, nie przyłożę ręki do niczego, co może zaszkodzić dziecku. Dziecko nie odpowiada za to, że ma niezasługującego na szacunek ojca ani za błąd matki.

- Panie Rufton, zależy mi przede wszystkim na informacjach dotyczących warunków, w jakich przebywa dziecko. Daję panu słowo, że pragnę się dowiedzieć, czy nie potrzebuje mojej pomocy.

Rufton przyglądał się przez pewien czas Thei, jak gdyby poddawał ją osądowi.

- Biorę sprawę - rzekł wreszcie.

- Bardzo dobrze. Proszę wziąć te pieniądze na pokrycie kosztów. Suma jest znaczna, ale jeśli niewystarczająca, musi mi pan to zgłosić. Tutaj mam trzy nazwiska - akuszerki, lekarza i proboszcza w Wistow, w pobliżu Kelfield. Jeśli będzie pan musiał tam pojechać, pokryję koszty podróży.

Rufton wziął sakiewkę, którą mu podała, i zapieczętowany list.

- Potrzebuję pani adresu.

- Proszę adresować raport do mojego prawnika. Pan Sydenham prześle mi go do rąk własnych. Poproszę go też, żeby wypłacił panu wynagrodzenie. Pieniądze w sakiewce nie obejmują pana wynagrodzenia. Pokryje pan z nich koszty, a jeśli coś zostanie, zatrzyma pan to dla siebie.

- Nie ma potrzeby, proszę pani...

- Niech tak będzie. Kupi pan coś żonie i dzieciom. Będzie mi miło.

- Jest pani pewna? - Świdrował ją oczami. Thea wiedziała, że nie chodzi mu o pieniądze.

- Jak najzupełniej, panie Rufton.

Po opuszczeniu kancelarii przekonała się, że na dworze pada drobny deszcz. Rozejrzała się za dorożką, którą przyjechała. Stała kilka jardów dalej, przy chodniku po przeciwnej stronie ulicy. Koń miał zawieszony przy pysku worek z obrokiem, woźnica też się pożywiał. Poprawiła woalkę. Miała nadzieję, że nie spotka nikogo znajomego. Ledwo zdążyła o tym pomyśleć, w głębi ulicy dostrzegła wysoką, znajomą postać, zmierzającą wprost w jej stronę.

Thea zamarła. Zatrzymała się na stopniach budynku. Co tu robi Richard? Przy śniadaniu wspominał, że wybiera się do muzeum. Rzeczywiście, muzeum mieściło się niedaleko.

Richard zobaczył stojącą dorożkę i podszedł do woźnicy. Thea usłyszała, co powiedział woźnica.

- Przepraszam, ale tamta pani - wskazał na Theę - kazała mi czekać.

Nie mogła dłużej udawać, że go nie widzi.

- Witaj, Richardzie. Co cię tu sprowadza?

- To ty! Co mnie sprowadza? Byłem u prawnika podpisać pewne dokumenty związane z kupnem domu. Skąd tyś się tu wzięła? Wiesz, że nie powinnaś zapuszczać się do tej dzielnicy bez towarzystwa.

- Odwiedziłam swojego adwokata w osobistej sprawie.

- Mimo to nie powinnaś przychodzić sama. Podał jej dłoń, żeby pomóc wsiąść do dorożki.

- Ta pani i ja jesteśmy znajomymi. Proszę na Grosvenor Square - rzucił woźnicy i zajął miejsce obok Thei.

- Richardzie...

- Nie pytam, co to za sprawa - powiedział, zamykając drzwiczki - tylko dlaczego przyszłaś sama?

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj, nie mam prawa wypytywać cię o twoje poczynania.

Jakże chętnie by zaprzeczyła. Chciałaby, żeby miał takie prawo. Czuła się taka osamotniona. Była zadowolona, że Richard nie zobaczy jej twarzy ukrytej za woalką, gdy będzie wypowiadała następne słowa.

- Nie jadę prosto do domu. Poproś woźnicę, żeby mnie zawiózł na Half Moon Street, zanim uda się na Grosvenor Square.

Zdziwił się, ale posłusznie wystawił głowę na zewnątrz i poinformował dorożkarza o zmianie planu.

- Half Moon Street. Jesteś pewna?

- Tak, muszę...

- Theo!

- Richardzie, nie mów, że nie mogę, i nie prosź, bym pozwoliła ci iść ze mną. Muszę to zrobić dla siebie i Davida. Chcę spróbować ją przekonać, żeby nie robiła tego więcej. - Uniosła woalkę i odwinęła ją na rondo kapelusza. Na jej twarzy malowało się zdecydowanie.

- Sama?

Thea nie miała pojęcia, co czuł Richard. Chciał stać między nią a całym światem; między nią a wszystkim, co mogło wyrządzić jej krzywdę, czy był to spłoszony koń, czy lady Chasewater. Ta kobieta musiała już wiedzieć, że jej próba zrujnowania rodzeństwa Winslowów spaliła na panewce. Nie mogła więcej zaszkodzić Thei, tyle że on nie mógł znieść myśli, że Thea będzie narażona na niechęć i złośliwości zgorzkniałej damy.

- Sama - potwierdziła.

Nieśmiało dotknęła jego dłoni, a on pochwycił ją skwapliwie.

- Przynajmniej tyle jestem jej winna.

- Nic nie jesteś jej winna! - wykrzyknął z mocą i silniej ścisnął jej dłoń. - To ona powinna przynajmniej cię przeprosić!

- To nie była jej wina, chociaż moja czy Davida także nie.

Richard walczył z sobą, żeby nie porwać Thei w ramiona i nie przełamać pocałunkami jej oporu.

- Chcesz, żebym pozwolił ci wejść samotnie do jaskini lwa? Pokiwała głową.

- Nie dlatego, że ci nie ufam, lecz dlatego, że jest to jedna z tych spraw, które...

- ...które każdy musi załatwić sam - dokończył za nią. - Theo, nie mam prawa cię o to prosić. Czy jednak nie mogłabyś mi pozwolić wejść z tobą do środka? - Zauważył, jak szykuje się do odmowy. - Nie - zapewnił pośpiesznie - nie chcę uczestniczyć w waszej rozmowie. Pozwól mi tylko poczekać na ciebie na dole. Powiesz jej, co masz do powiedzenia w cztery oczy, i nie poproszę cię o relację. - Uśmiechnął się bez przekonania. - Nie jesteś zobowiązana jej składać, nie proszę też o nią. Cokolwiek postanowisz, będziesz miała rację, pozwól mi tylko zaczekać. Jako przyjacielowi, nikomu więcej. Nawet nie przypuszczał, jak to na Theę podziała.

- Jako przyjacielowi? - zapytała szeptem.

O nic nie prosił. Chciał tylko, żeby pozwoliła mu stać przy niej w roli przyjaciela. I jakby to dziwnie nie zabrzmiało, sekundanta. Walkę musiała stoczyć sama.

- Woalka, Thea - przypomniał jej, gdy wysiadała z dorożki.

- Niepotrzebna.

Jeśli kryła się dotychczas, to przez tchórzostwo. Nie potrzebowała skradać się do domu lady Chasewater. Może tam wejść otwarcie. Jeśli lady Chasewater nie zechce jej przyjąć, niech to też będzie jawne.

- Panna Winslow do lady Chasewater - zaanonsowała lokajowi.

Zaprowadził ją do salonu na piętrze.

- Panna Winslow, milady - oznajmił lokaj i zamknął za nią drzwi.

Pani domu siedziała na kanapie z małym, czarnym mopsikiem na kolanach, który zeskoczył na podłogę i ze szczekaniem podbiegł do gościa. Thea zatrzymała się i czekała, aż piesek obwącha jej spódnicę. Pochyliła się i dała mu do powąchania rękę. Mops wyszczerzył kły i wrócił do swojej pani.

- Nie lubi ciebie - zauważyła cierpko lady Chasewater.

- Nie musi. Pani również.

- Musiałabyś przytoczyć pięćdziesiąt tysięcy dobrych argumentów, żebym mogła cię polubić. Albo przynajmniej tolerować. Gdzieś zgubiła tego młodego Blakehursta? Zakładam się, że to on z tobą przyjechał. Nie wejdzie na górę, żeby mi znowu pogrozić?

- Znowu?

- Nie mówił ci? Tak, był tu. Bronił cię, jakbyś była wcieleniem wszelakich cnót. Ale ty i ja dobrze wiemy, jaka jesteś, prawda, panno Winslow? On też wkrótce się przekona.

- On nie ma z tym nic wspólnego - powiedziała Thea, zdejmując rękawiczki. - Nawiasem mówiąc, Richard Blakehurst zna prawdę. Musimy to załatwić między sobą.

- Siadaj, dziewczyno! Chcesz, żeby mi zeszywniał kark od tego zadzierania głowy? Nie, czekaj - zniżyła głos lady Chasewater. - Zanim usiądziesz, uderz mocno w drzwi na wysokości dziurki od klucza.

Thea wykonała polecenie. Za drzwiami rozległy się kroki wiele mówiące o domyślności gospodyni. Rozbawiło ją to.

- Nie mam pojęcia, jaka jest służba Almerii Arnsworth, ale moja to banda plotkarzy - odezwała się lady Chasewater.

Thea pomyślała, że w innych okolicznościach dałoby się nawet polubić tę starą kobietę.

- Usiądź tam. - Lady Chasewater wskazała krzesło oddalone przynajmniej trzy jardy od kanapy. - Wyjaśnij mi, dlaczego domagałaś się rozmowy ze mną, a także dlaczego nie ma z tym nic wspólnego Richard Blakehurst.

- Nie domagałam się, przyszłam, ponieważ chciałam pani coś wyjaśnić. Pan Blakehurst towarzyszy mi w charakterze przyjaciela.

- Przyjaciela - powtórzyła z przekąsem starsza pani. - A ty niczego się nie domagałaś i chcesz mi coś wyjaśnić, tak? Nie wyobrażaj sobie, że to, co powiesz, wpłynie na moją opinię, o tobie.

- Jest pani w błędzie. Nie dbam o pani opinię. Może sobie pani myśleć o mnie, co pani chce.

- To czego, do diabła, ode mnie chcesz?

- Chciałabym, żeby dowiedziała się pani prawdy.

- Myślisz, że to zmieni moje zdanie na twój temat?

- Nie. - Thea pokręciła głową. - Pani ma takie samo zdanie jak mój ojciec. A on nie zmienił swojego od ośmiu lat. Tak jak pani ma pięćdziesiąt tysięcy argumentów. Ani jeden z nich nie jest słuszny.

- Nawet mi przez myśl nie przeszło, że tak jest. - Starsza pani się zaśmiała. - No dobrze, dziewczyno, jaką to „prawdę” chcesz mi objawić?

- Osiem lat temu... - Thea urwała i zaczęła na nowo. - Osiem lat temu pani syn za zgodą mojego ojca złożył mi propozycję małżeńską. Nie miałam jeszcze siedemnastu lat.

- Myślisz, że młodość usprawiedliwia?

- W pierwszej chwili mu nie odmówiłam - przypomniała Thea. Mając na uwadze, że lady Chasewater jest matką Lallertona, dodała: - Nie byłam pewna, czy pragnę go poślubić. Był ode mnie znacznie starszy i potrzebowałam czasu do namysłu. Chciałam go poznać. Tylko tyle.

- Mając szesnaście lat, powinnaś była zaakceptować fakt, że ojciec lepiej wiedział, co jest dla ciebie dobre, i dziękować Bogu za taką korzystną propozycję - rzuciła lady Chasewater.

Wiele osób myślało podobnie. Czego się spodziewać?

- Jak pani wiadomo, mój ojciec i lord Chasewater byli zdecydowani doprowadzić do tego związku. Ojciec poinformował mnie, że ustalono nawet datę ślubu.

- I tak być powinno! Czy jesteś dumna z tego, że twoje nieprzejednanie spowodowało śmierć mojego syna?

- Ojciec - kontynuowała Thea - zapewnił go, że przemówi mi do rozsądku. Dzień lub dwa później pani syn zaprosił mnie na przejażdżkę powozem. Zgodziłam się, ponieważ prosiłam o umożliwienie mi poznania go bliżej. Wyjechaliśmy daleko za miasto. Zrobiło się późno, na dodatek nadciągała burza. Prosiłam go, żebyśmy zawrócili, ale nie zwracał uwagi na moje prośby i w końcu musieliśmy szukać schronienia w gospodzie. Nie mieliśmy wyjścia, musieliśmy tam przenocować.

- W takim razie się skompromitowałaś - orzekła ze wzgardą lady Chasewater.

- On też mi to powiedział.

Thea nie traciła opanowania. Było skuteczną bronią przeciwko poniżeniu i przerażeniu. Opowiadała, jakby przydarzyło się to nie *jej*, *lecz* jakiejś obcej dziewczynie.

- W swojej naiwności poinformowałam go, że nie chcę być jego żoną i że jeśli stworzył sytuację, w której zechce wymusić moją zgodę, to w ten sposób niczego nie osiągnie. Poszłam do swojego pokoju i poleciłam, aby jedna ze służących spała w tym pomieszczeniu.

- Pomyślałaś o wszystkim, co?

- Z wyjątkiem tego, że pani syn przekupi służącą i ta opuści pokój w środku nocy.

- Co za bzdura!

- Sam się do tego przyznał. Był z siebie dumny. Myślał, że dobrze to świadczy o jego zapobiegliwości. A potem mnie zgwałcił.

- Byliście zaręczeni - bez zmrużenia oka stwierdziła lady Chasewater. - Mógł poczekać, ale skoro twój ojciec sankcjonował ten związek, jakie miałaś prawo...

- Odmówiłam mu. - Thea starała się zachować obojętność. Nie miała zamiaru się ugiąć. - Odrzuciłam jego oświadczyzny i gdy zdałam sobie sprawę... kiedy obudziłam się i znalazłam go w swoim łóżku, nie zgodziłam się ... cały czas się nie godziłam...

Urwała. Ożyły koszmarnie wizje, które starała się wyprzeć z pamięci. Ciało kruszące swym ciężarem jej opór, ręka tłumiąca wołanie o pomoc, triumfalny bulgot, gdy udało mu się rozsunąć jej uda, ból, wstyd i poniżenie. Odpędziła te majaki. Wyprze je na zawsze z pamięci, nie pozwoli, żeby władały jej wyobraźnią.

- Co ty sobie wyobrażasz, dziewczyno! Myślisz, że stało się coś nadzwyczajnego, coś innego niż to, co czekałoby cię w noc poślubną? - Echo słów Aberfielda. - Głupia gęś! Tym bardziej powinnaś poślubić Nigela, skoro straciłaś z nim cnotę. Nikt cię nie zechce. Jeśli sądzisz, że ta opowieść zmieni moje zdanie na twój temat, to się grubo mylisz.

- Powiedziałam na wstępie, że pani opinia jest dla mnie bez znaczenia.

- To po co tu przyszłaś?

- Niech pani zada sobie pytanie: jak, pani zdaniem, powinien zachować się człowiek honoru na wieść, że jego siostra została zgwałcona?

- Rozumiem. Spodziewasz się, że przyjmę twoją interpretację zachowania Nigela...

- Nie, tego nie oczekuję ani sobie nie życzę. Może pani o mnie myśleć, co chce. Może pani myśleć, że to nie był gwałt. Ale czy wystarczy pani wyobraźni, aby uznać, że David mi uwierzył? Że mój brat uwierzył, że zostałam zgwałcona, i zrobił, co do niego należało? Pytam raz jeszcze: jak powinien się zachować w takiej sytuacji człowiek honoru? Ma pani córkę. Jak zachowałby się pani syn, gdyby to ona znalazła się w takiej sytuacji?

Zapadło ciężkie milczenie. Stara dama siedziała z nieruchomą, posępną twarzą.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytała wreszcie.

- Niewiele. Sir Giles Mason zrezygnował z wniesienia aktu oskarżenia przeciwko mojemu bratu. Pani ciągle jednak może mu szkodzić insynuacjami i rozsiewanymi plotkami. Gdyby mogła pani oświadczyć, że to był tragiczny splot okoliczności...

- Chyba oszalałaś!

- W takim razie nie pozostanie mi nic innego jak upublicznić przyczynę ich konfliktu. Nieważne, czy ludzie mi uwierzą, czy nie, pani będzie zrujnowana.

- Ty także. - Głos lady Chasewater nie zabrzmiał zbyt pewnie.

- Mnie wszystko jedno, a pamięć pani syna zostanie splamiona. Ma pani córkę na wydaniu.

Znowu zapadła cisza.

- Twój brat zachował się honorowo i ja zrobię wszystko, co leży w mojej mocy, aby powstrzymać plotki. Zadowolona?

- Tak.

- Pozwól, że coś ci powiem. Zhańbiłaś swoje imię i rodzinę. Nie godząc się na to, aby mój syn uczynił z ciebie uczciwą kobietę, zhańbiłaś swoją płęć. Nie byłaś godna mojego syna! Twój brat również!

Thea wstała.

- To nie wszystko. W jednym z listów wspomniała pani o dziecku... dziewczynce...

- Przyznajesz się?

- Powiedziano mi, że dziecko nie żyje, ale podjęłam działania, aby dojść do prawdy. Przypuszczam, że ona żyje, i jeśli uzyskam potwierdzenie oraz dowiem się, pod jakim nazwiskiem egzystuje, sporządzę korzystny dla niej testament.

- Z jakim skutkiem? Ślub z Blakehurstem unieważni testament. Jako kobieta zaręczona nie masz prawa skutecznie rozporządzać swoim majątkiem.

Thea przemyślała to wcześniej. Wypadek na ulicy był punktem przełomowym. Jeśli to dziecko w Bath jest jej córką.

- Nie ma zaręczyn. I nie będzie - oznajmiła. - Nic nie przeszkodzi mi w dokonaniu tego zapisu.

Lady Chasewater nie wierzyła własnym uszom.

- Nie ma zaręczyn? Przecież on tam czeka na ciebie na dole - zauważyła z ironicznym uśmiechem.

- Nie będzie ślubu - podkreśliła Thea.

W starych oczach lady Chasewater malowało się niedowierzenie.

- Rozumiem - powiedziała. - Wiem, że nie mam prawa prosić, ale może przysyłałabyś mi wiadomości o dziecku... od czasu do czasu. Gdybyś ją kiedyś odwiedziła.

- Mogłabym to robić. - Sama nie wiedząc, dlaczego o to pyta, Thea dorzuciła: - Chciałaby pani ją zobaczyć? - Widząc przestrah na twarzy starej damy, dodała: - Nie, żeby ją uznać. Jedyne ujrzenie, jeśli udałoby się to zrobić dyskretnie?

Tym razem cisza trwała znacznie dłużej niż poprzednio.

- Pomyślę o tym. Do widzenia.

Przy drzwiach dosięgło Theę pytanie:

- Czy Aberfield wie o twoich zamiarach?

- Jeszcze nie. Powiem mu, gdy otrzymam potwierdzone informacje. Nie zamierzam dać mu szansy ponownego ukrycia dziecka.

Dobiegł ją wybuch głośnego śmiechu.

- Bardzo rozsądnie. Dowiedziałam się o istnieniu dziecka dopiero po śmierci męża. Znalazłam list od Aberfielda, ale gdy go zapytałam, odmówił wszelkich informacji. Zawiadom mnie, jeśli napotkasz trudności z jego strony. Teraz już idź!

Thea zamknęła za sobą drzwi. Nie mogła opanować drżenia na myśl, jak wielkie zadanie wykonała. Już po wszystkim. David jest bezpieczny. Lady

Chasewater zaakceptowała, że działał powodowany honorem. Wzięła kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić. Stopniowo drzenie ustępowało.

Nie tylko zapewniła spokój Davidowi. Wydawało się, że osiągnęła porozumienie z lady Chasewater. Kilka tygodni temu do Londynu przyjechała zastraszona, zgorzkniała młoda kobieta. Czy tamta kobieta odważyłaby się pójść do lady Chasewater, rzucić jej w oczy słowa prawdy i osiągnąć porozumienie?

Na pewno nie. Tamta kobieta bała się własnego cienia. W jakiś cudowny sposób i nie wiadomo skąd znalazła siłę. I odwagę, żeby jej użyć. Ujrzała przed sobą roziskrzona ciemne oczy. Richard nigdy się nie dowie, jak bardzo jej pomógł, ofiarowując przyjaźń. Odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech.

- Smok zabity? Pokręciła głową.

- Niezupełnie. - Jeśli o nią chodzi, nie miała krwiożerczych zamiarów. Przyjęła ofiarowane jej ramię. - Zrozumienie ma większą wartość.

- Zapewne. Odprowadzę cię do domu.

Spacer pozwolił uporządkować myśli. Richard nie odzywał się, ale wyczuwała emanującą od niego siłę, która wcale jej nie przytłaczała. Przyjaciel. Na pewno coś więcej niż tylko przyjaciel, ale na przyjaźni muszą poprzestać.

- Jutro wyjeżdżasz do Blakeney? - spytała, gdy skręcali na Grosvenor Square.

- Tak. Max twierdzi, że mój chrześniak robi takie wspaniałe postępy, że nie mogę tego nie zobaczyć.

- To oczywiste.

Bolało ją, że jej dziecka nikt nie chciał. Po jego przyjściu na świat zadbano jedynie o to, aby je ukryć nawet przed własną matką.

- Wy z Almerią przyjedziecie dzień później. Cieszę się bardzo. Nie martw się, Theo. Wszystko załatwimy. Obgadamy ze szczegółami.

Co by szkodziło przyjąć jego oświadczyzny? Na pewno zrozumiałby jej chęć finansowego zabezpieczenia dziecka.

„Gdybyś ją odwiedziła"... Prześladowały ją słowa lady Chasewater. Do tej pory myślała wyłącznie o zabezpieczeniu finansowym córki. Dzieci potrzebują jednak czegoś więcej. Aberfield zadbał o jej utrzymanie. Według swoich kryteriów spełnił obowiązek ojcowski, a może nawet zrobił dla niej coś więcej. Wielu ojców po prostu by się jej wyrzekło. On przynajmniej ją utrzymywał.

Zapewnił jej byt, ale nie dał miłości.

Czy jej dziecko nie potrzebuje czegoś więcej niż tylko środków do życia? Gdyby przyjęła oświadczyzny Richarda, czy pozwoliłby jej zająć się córką?

Rozdział czternasty

Richard rozkoszował się atmosferą biblioteki w Blakeney. Siedział przy otwartych drzwiach na taras, u jego stóp spały spaniele Maksa. Z zewnątrz w zapadającym zmierzchu dochodziły różne odgłosy: krzyk sowy, rzenie koni i stukanie ich kopyt. Z ogrodu dobiegał ciepły, wieczorny powiew, przynosząc zapach lawendy i rozmarynu. Kończący się dzień był właściwie pierwszym takim ciepłym dniem tego roku, zwiastunem nadchodzącego lata.

Ani Verity, ani Max nie dali mu nigdy do zrozumienia, że powinien opuścić Blakeney. Przeciwnie, prosili, żeby został. Zwłaszcza Verity, zmartwiona, że mógłby pomyśleć, iż chciałaby się go pozbyć.

Jaka ona niemądra, ta Verity! Uśmiechnął się do siebie. Nie rozumie, że muszę mieć własne miejsce? Powinienem zakręcić się koło tego na długo przed tym, zanim Max ją spotkał.

Max wszedł do biblioteki. Był na górze z Verity. Układali do snu małego Williama Richarda.

- Już go ukołysałeś? - zapytał Richard, zdziwiony, że brat okazał się tak troskliwym ojcem.

- Zamknij się, Ricky. - Max nie czuł najmniejszej urazy. - Nie myśl, że nie zauważyłem, jak ci się zaszklily oczy, gdy Verity dała ci go potrzymać.

- Za kogo mnie masz, za mazgaja? - Czy to było tak widoczne? - zadał sobie w duchu pytanie Richard.

- Napijesz się? - Nie czekając na odpowiedź, Max nalał brandy do pękatych kieliszków.

- Dobry trunek - pochwalił Richard. - Lokalne zaopatrzenie, jak nietrudno się domyślić.

Max skrzywił się na aluzję do powszechnej w Kencie kontrabandy z Francji.

- Oczywiście. No, ale opowiedz mi wreszcie o swoich zaręczynach.

- Nie jest tak, jak myślisz. To mocno zagmatwane.

- Tak też sądziłem, gdy dostałem list Almerii, w którym poinformowała, że z radością przyjedzie na chrzciny Willa, ale ma gościa, Dorotheę Winslow, i byłoby szkoda, gdybyśmy wszyscy zaprzepaścili taką wspaniałą okazję zapewnienia ci trwałego szczęścia i... czy mam powtórzyć dosłownie?

- Majątku? - podpowiedział Richard.

- Właśnie. Powinienem posłać Almerię do diabła. Nie zrobiłem tego, bo już wcześniej obiecałem tobie, że zaproszę pannę Winslow. - Rzucił bratu rozbawione spojrzenie. - Wszystko jedno, ulżyło mi, że ciotka odłożyła na bok animozje i przyjedzie.

- I to zawdzięczasz panie Winslow. - Richard wyjaśnił bratu, jakich argumentów użyła Thea, aby przekonać Almerię do odwiedzin w Blakeney.

Gdy Max opanował wesołość, Richard kontynuował:

- Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo ciotka pragnie ożenić mnie z największym możliwie majątkiem, będącym aktualnie pod ręką, nie przyszło jej więc do głowy, że uzna ona sprawę za przesądzoną.

- Żadne z was nie mogło zdementować nowiny - domyślił się Max.

- Nie. Przynajmniej ja nie mogłem. Nie w istniejącej sytuacji. Przekonałem Theę, żeby tego nie robiła.

- Rozumiem.

Max nie drażył tematu. Ostatni list Juliana Braybrooka opowiadał o skandalu, w który zostało wplątane rodzeństwo Winslowów. Był pewien, że w tej sprawie nie chodziło wyłącznie o aresztowanie Davida, a później o uwolnienie go z aresztu, i nie próbował zgłębiać powodów pojedynku Winslowa z Lallertonem. Wiedział, że Richard powie mu w stosownym czasie.

We wcześniejszym liście Braybrook donosił:

Ponieważ nie ma cię w mieście i nie ma kto absorbować uwagi lady Arnsworth, postanowiła ona wkroczyć w nieistniejące matrymonialne plany Ricky'ego i rzucić mu w objęcia pewną posażną pannę. Zajmowała się tym już nieraz, tym razem jednak, jak się wydaje, znalazła bardzo dobrą kandydatkę. Niestety, są poważne przeszkody. Pięćdziesiąt tysięcy przeszkód. W świetle powyższego należy się tylko modlić, żeby legendarny upór Blakehurstów nie zaślepił naszego gagatka do tego stopnia, że nie dostrzeże tego, co jest oczywiste dla nas wszystkich...

Najwidoczniej Braybrook był przekonany, że panna Winslow ma do zaoferowania Ricky'emu coś więcej niż tylko swój majątek. Obserwując roztargnienie brata od przybycia dzisiaj po południu do Blakeney, Max nabrał podejrzeń, że Julian mógłby mieć rację.

Nigdy przedtem brat nie był tak milczący i zamyślony.

W każdym razie nie z powodu kobiety. W przeszłości, gdy wiązał się z kobietami, nie angażował się emocjonalnie. Zdaniem Verity, Richard jest zakochany. Max nawet nie próbował dowiedzieć się, na jakiej podstawie wyciągnęła taki wniosek. Podczas gdy wielu ich znajomych donosiło im o zainteresowaniu Richarda panną Winslow, on sam pisał o niej tylko raz. Verity była jednak pewna. Max był skłonny zgodzić się z żoną. Jedną okoliczność go przekonała: dotychczas Richard nie był taki skryty wobec brata bliźniaka.

Zastanawiał się, czy należałoby podziękować pannie Winslow za jej wysiłki. Gdyby nie przynęta w postaci perspektywy ożenienia Richarda, ciotka prawdopodobnie nie przyjechałaby w ogóle albo wpadłaby jak po ogień. W obecnej sytuacji planowała co najmniej tygodniowy pobyt w Blakeney. Max roześmiał się nieoczekiwanie.

- Co takiego? - Ricky przyjrzał mu się znad swojego kieliszka.

- Nic. Tak tylko myślałem. Nie dziwię się, że panna Winslow potrafi cię ograć w szachy, jeśli tak zręcznie wymanewrowała Almerię.

Brat nie podjął tematu, co bynajmniej nie zdziwiło Maksa.

Thea z ulgą wysiadła z powozu. Podziękowała uśmiechem stangretowi, który spuścił schodki. Była zadowolona nie tylko dlatego, że wreszcie może rozprostować nogi, ale także z tego powodu, że nie musi dłużej siedzieć w zamkniętej, ograniczonej przestrzeni z Almerią.

Miała wyżej uszu jej opowieści o najlepszych sklepach z jedwabiami i ślubnymi strojami, których musiała cierpliwie słuchać przez większą część drogi. Dylemat, czy srebrne brokaty wyszły już z mody, czy nie, mało ją obchodził. Od Canterbury do samego Blakeney Almeria rozważała wyższość ceremonii ślubnej w katedrze nad ceremonią u Świętego Jerzego na Hanover Square, więc niewiele czasu pozostało jej już na uzasadnienie konieczności wynajęcia mamki do karmienia dziecka.

We frontowych drzwiach domu stał Max. Thea ze zdumieniem przekonała się, jak podobni są bracia Blakehurstowie. Nie identyczni, ale podobieństwo było uderzające.

Hrabia Blakehurst zszedł po schodach na podjazd, serdecznie uśmiechając się do przybyłych.

- Jesteście. Właśnie kazałem podać herbatę w bibliotece. - Uścisnął dłoń lady Arnsworth i pochylił się, by ją ucałować w policzek. - Bardzo się cieszę, że przyjechałaś, Almerio. Verity zaraz zejdzie. Położyła się, ale prosiła, żebym posłał pokojówkę, by ją zbudziła, gdy się zjawicie.

- Nie chciałabym zakłócać jej odpoczynku.

- Jeśli ty jej nie przeszkodzisz, zrobi to nasz syn. Panno Winslow - zwrócił się do Thei - cieszę się, że mam okazję odnowić znajomość. Witam w Blakeney.

- Dziękuję. Tak tu pięknie.

Rzeczywiście. Stary dwór, otoczony rozległym ogrodem kwiatowym, był pięknie wkomponowany w krajobraz.

- Wejdzmy - zapraszał Max. - Ricky kręci się gdzieś w pobliżu, a Braybrook też już jest, przyjechał kilka godzin wcześniej.

- Ładnie z twojej strony - odezwała się sztywno Almeria - że nas zaprosiłeś. Choć nadal ubolewam z powodu rozgłosu, który w zeszłym roku towarzyszył twojemu ślubowi, muszę jednak być wdzięczna Verity za utemperowanie niektórych twoich nieznośnych zwyczajów.

- O jakich zwyczajach mówisz, ciociu?

- Wiesz doskonale, Max.

- Nie bardzo, ale skoro tak twierdzisz - stwierdził dwornie Max. Przepuścił Almerię przodem i podał ramię Thei. - Chodźmy. Lady Blakehurst będzie rada panią poznać.

Wątpliwości, czy hrabina rzeczywiście tak się cieszy na spotkanie z Theą, czy to tylko uprzejme zapewnienie lorda Blakehursta, rozwiały się natychmiast, gdy lady Blakehurst weszła do biblioteki, gdzie zastała Almerię i Theę przy herbacie.

Verity bardzo przypadła Thei do gustu. Ciemnowłosa, drobna i szczupła, o szarych oczach, wyglądała blado. Lord Blakehurst skoczył na równe nogi, żeby pomóc jej usiąść.

- Dobrze spałaś?

Na Thei zrobiła wrażenie troskliwa czułość w jego głosie i delikatne muśnięcie dłoni żony na powitanie. Tak być powinno.

- Znakomicie. Dzień dobry, ciociu Almerio. Cieszę się, że przyjechałaś.

Głos też miała miły, niski i melodyjny. Protestowała, gdy mąż pomagał jej zająć miejsce w fotelu.

- Muszę powitać gości jak należy, a nie rozłożona w fotelu.

- Usiądź, wiesz dobrze, że powinnaś wciąż jeszcze leżeć w łóżku. To chrzestna córka Almerii, panna Winslow. Panno Winslow, to moja żona, lady Blakehurst.

- Widzi pani, jaki z niego tyran - odezwała się Verity z poważną miną. - Bardzo się cieszyłam, że Richard pojechał do miasta, bo był niewiele lepszy. Przez całe życie nikt mnie tak nie rozpieszczał. Cieszę się, że pani nas odwiedziła, panno Winslow.

Thea wykonała ceremonialny dyg.

- Blakehurst okazuje należyłą troskę o twoje zdrowie, Verity - wtrąciła Almeria. - Przyjmij moje gratulacje z okazji narodzin dziedzica.

- Zapewniam cię, Almerio, że nie to jest dla mnie najważniejsze. Jestem szczęśliwy, że bez przeszkód przyszło na świat nasze dziecko - odezwał się Max.

- Chwali ci się taka postawa - upierała się przy swoim Almeria - ale musiałeś się ucieszyć, że to syn.

- Niekoniecznie - dobiegł głos z tarasu. W drzwiach stali Richard i lord Braybrook. - Sądzę tak na podstawie listu, który do mnie napisał. Niemal cały był o tym, jak to cudownie zostać ojcem i jak dobrze czuje się Verity. Dopiero na samym jego końcu znalazła się wzmianka o płci dziecka.

- Idź do diabła, Ricky! Zobaczysz, jak przyjdzie na ciebie kolej - powiedział Max.

- Proszę nie zwracać na nich uwagi, panno Winslow - rzekł z pobłażliwym uśmiechem Braybrook. - Kłaniam się, lady Arnsworth. Miały panie dobrą podróż?

- Nie najgorszą - podziękowała Almeria. - Verity, kiedy zobaczymy małego Williama? Tak mu na imię, prawda?

- Wkrótce, ciociu. Obudził się pół godziny temu. Nakarmiłam go i niania miała go przebrać i przynieść tutaj.

- Sama go nakarmiłaś? - nie mogła się nadziwić Almeria. - Moja droga, to przecież zbędny wysiłek, od tego są mamki.

- Wolę robić to sama. Tak postanowiłam.

Stojący przy fotelu żony lord Blakehurst położył dłoń na jej ramieniu.

- A ja to w pełni popieram - stwierdził.

Thea zdziwiła się, jak łatwo Almeria ustępuje, bowiem opinie na temat karmienia niemowląt, które wygłaszała w dylizansie pocztowym, były bardzo zdecydowane.

- Naturalnie, jeśli to popierasz, sprawa jest poza dyskusją. Miejmy nadzieję, że nie męczy to zanadto Verity - dodała bez przekonania.

Thea zauważyła, że lord Braybrook przyjął z ulgą koniec dyskusji na ten temat. Richard też wydawał się nieco spokojniejszy. Co i raz spoglądał to na brata, to na Almerię, to na bratową. Nieoczekiwanie jego spojrzenie spoczęło na Thei. Wyczytała w nim wdzięczność. Uniósł w górę filiżankę z herbatą. Dziękuję, zdawały się mówić jego usta.

Nie była na to przygotowana. Gdyby mógł wiedzieć, co do niego czuje... Wzięła się w garść. Cieszę się, że mogłam pomóc, odpowiedział jej uśmiech.

Do pokoju weszła niańka z małym zawiniątkiem na rękach. Dla Thei jej pojawienie się było jak nadejście odsieczy dla oblężonej cytadeli.

Lord Blakehurst pospieszył ku niańce, odebrał z jej rąk syna. Uczucie nieskrywanej dumy, które rozlało się na jego twarzy, ugodziło Theę w samo serce. Otworzyła się rana, o której myślała, że jest już zablizniona.

Nikt nie patrzył z taką dumą na jej dziecko.

- Może dałbyś potrzytać go cioci Almerii, Max - odezwała się Verity.

- Almerio?

- Chętnie.

Lord Blakehurst ostrożnie złożył dziecko na jej kolanach.

- Pamiętaj o podpieraniu główki.

- Max, trzymałam już dzieci na kolanach - stwierdziła lady Arnsworth. - Na przykład ciebie. - Odwróciła głowę do Braybrooka. - Pana też, jeśli o to chodzi. Jedyłą osobą spośród was, której nigdy nie miałam na kolanach, jest Verity.

Rozluźniła nieco powijaki noworodka, przyglądając mu się z uwagą. Poglądziła go palcem po buzi. Z jej ust zniknął surowy grymas.

Thea przeżywała tortury. Nikt nie cieszył się z narodzin jej córki. Usunięto ją z domu, zaprzeczano *jej* istnieniu. Zaciśnęła dłonie na kolanach, próbowała nie okazywać po sobie, jak cierpi, udawała, że z zainteresowaniem czeka na uwagi lady Arnsworth.

- Zdrowe i piękne dziecko - orzekła Almeria. - Możesz już go zabrać, Max. Verity, spisałaś się na medal - zwróciła się do hrabiny.

- Dziękuję, ciociu.

- Najwyższy czas, Verity, żebyś przestała zwracać się do mnie „ciociu”, mów jak wszyscy, po imieniu. - Zmarszczyła brwi. - Chyba byłam bardzo głupia przez ostatni rok. Mam nadzieję, że...

- Almerio - nie pozwolił jej dokończyć lord Blakehurst twoja obecność przynosi nam wiele radości. Darujmy sobie zbędne słowa.

- Jesteś wspaniałomyślny, Max. Dziękuję.

Thea wiedziała, że będzie jeszcze sporo nieporozumień i być może Almeria nigdy do końca nie zaakceptuje Verity ale w tej rodzinie nie ma już rozłamu. Nieoczekiwanie odezwał się lord Blakehurst.

- Panno Winslow, a pani nie chciałaby potrzymać dziecka? Potrzymać dziecko? Wpadła w panikę. Nie, nie mogła.

Ile razy spojrzy na jakieś dziecko, zawsze będzie się zastanawiała, jaka też może być jej córka. Wysoka? Jasnowłosa? Psotna? Posłuszna!

Usłyszała własny głos, uprzejmie zapewniający, że bardzo chętnie potrzyma dziecko, i poczuła składany jej w ramiona ciężar. Ciężar dotychczas nieznan, jedynie wyobrażany sobie.

Jaki on lekki.

Trzymała bratanka Richarda i jego przyszłego chrzestnego syna i czuła tylko gorycz i ból, że zubożono jej życie. Nie powodowała nią zazdrość, nie miała nic do tego dziecka, słodkiego, pachnącego mlekiem. To maleństwo nie zawiniło. Wpatrzyła się w małą twarzyczkę, miniaturową piąstkę wetkniętą do buzi, utkwione w niej półprzytomne, zaspane oczy. Instynktownie zaczęła kołysać i rytmicznie głaskać zawiniątko i ku jej zdumieniu malec zasnął, ciągle z piąstką w buzi.

Richard zauważył jej zdziwienie i obawę. Doznał olśnienia. Przekona Theę, że jej pragnie. Przekona ją, że propozycja małżeństwa nie ma nic wspólnego z honorem i rycerskością, a jedynie z miłością. Spojrzał w bok. Almeria ocierała splotającą z oka łzę. Zauważyła, że Richard na nią patrzy, i upchnęła koronkową chusteczkę w torebce.

- Okropnie drażniące są te zapachy z ogrodu - odezwała się zaczepnie - albo te kwiaty na biurku Maksa.

- Oczywiście, Almerio - zgodził się Richard.

Thea kołysała śpiące niemowlę. Na jej pochylonej nad nim twarzy malowała się taka czułość, jak gdyby było to jej własne dziecko.

Na myśl o Thei trzymającej w objęciach ich dziecko, Richard poczuł przypływ pożądania. Pragnął jej. Chciał ją mieć w ramionach, u swego boku, po kres życia. Kocha ją.

Thea uniosła głowę i popatrzyła uważnie na Richarda, jakby usłyszała jego myśli, jego wyznanie miłości. Była wyraźnie oszołomiona. Pomyślał, że wie, co musiała odczuć w tym momencie: że jej świat przewraca się do góry nogami.

Do przytomności przywołał go dziwny dźwięk wydany przez Maksa. Z oczu bliźniaka wyzierało rozbawienie i zrozumienie.

- W to zawsze bardzo trudno uwierzyć - powiedział bardzo cicho.

Lord William Blakehurst został należycie ochrzczony i przyjęty do społeczności chrześcijańskiej i chociaż cały czas głośno protestował, krewni i uczestnicy nabożeństwa opuszczali kościół w dobrych nastrojach.

- Niech krzyczy - powiedział Richard. - Powiadają, że dzieci płaczą podczas chrztu, bo opuszcza je diabeł.

- Teraz rozumiem, dlaczego podczas waszego chrztu Max płakał, a ty nie - stwierdziła z udawaną powagą Almeria.

Richard parsknął śmiechem i poszukał wzrokiem Thei. Uciekła przed jego spojrzeniem. Przez cały tydzień wyraźnie go unikała. Zacisnął usta. Rozumiał jej sytuację. Trudno jest kobiecie otworzyć serce przed mężczyzną, którego uczuć nie jest pewna.

Zebrał całą swoją odwagę i podszedł do Thei. Stała razem ze starą lady Aldicott.

- Musimy porozmawiać - powiedział Richard do Thei po odejściu starej damy. - Spokojnie, na osobności i szczerze. Znasz mnie, nie będę kłamał i nie będę nalegał na niechciane małżeństwo.

- Richardzie...

- Musimy porozmawiać, zanim wrócisz do Londynu. O więcej nie proszę.

- Dobrze. Teraz?

- Po kolacji.

Rozdział piętnasty

Gdy po kolacji panowie dołączyli do pań w bibliotece, Richard stwierdził, że Thei nie ma. Przy stole wyglądała bardzo blado. Może poszła już do swojego pokoju, pomyślał.

Verity zauważyła, że Richard rozgląda się za Theą.

- Szukasz panny Winslow? Jest na tarasie. Skarżyła się na ból głowy.

- Odrobina świeżego powietrza jej nie zaszkodzi. Richard, wiem, że mogę ci zaufać. Weź Dorotheę na krótki spacer po ogrodzie - wtrąciła się Almeria.

Doskonały pomysł. Tylko czy on sam może sobie zaufać?

Stała przy balustradzie, wpatrzona w ciemność. Woń kwiatów mieszała się z zapachem świeżo skoszonej trawy, wieczorną ciszę zakłócał jedynie monotonny plusk fontanny.

- Cudowny wieczór, prawda? - Odwróciła głowę w jego stronę.

- Przecudowny. Nie przeszłabyś się?

- Nie wiem, czy byłoby to rozsądne.

- Theo, musimy porozmawiać. - Przykrył jej spoczywającą na balustradzie dłoń swoją dłonią.

- Nie ma najmniejszej potrzeby i, prawdę mówiąc, to bez sensu. Almerii i tak trudno będzie pogodzić się z faktem, że nasze rzekome zaręczyny skończyły się niczym.

- A muszą się skończyć niczym?

- Tak, bo ja nie dam sobą manipulować, nie wyjdę za mąż tylko dlatego, że tak sobie życzy otoczenie.

Co tu począć... Jeśli Thea czuje, że jest na nią wywierana presja... Zabolalo go to. Myślał, że niezależnie od sytuacji, w jakiej się znaleźli, niezależnie od sympatii, jaką - był tego pewien - czuła do niego, łączyło ich coś więcej, a przynajmniej zanosilo się na to, że połączy ich coś więcej.

- Theo, poślubiając cię, nie uginam się pod dyktatem otoczenia...

Wyrwała rękę.

- Proszę, Richardzie, dosyć! Nie mogę za ciebie wyjść. To niemożliwe.

Jej determinacja była prawdziwa. Nalegania Richarda sprawiały jej przykrość. Oczy przepełnione łzami błyszczały, ale nie unikała jego wzroku, patrzyła mu prosto w twarz. Uśmiechała się przez łzy.

- Twoja żona, Richardzie, będzie najszcześniejszą z kobiet. Ale ja nie mogę nią być. Jesteśmy przyjaciółmi i niech tak zostanie.

Nie powinien się oszukiwać, że jego prawda jest jej prawdą. Nawet jeśli kocha Theę nad życie, nie zdobędzie jej. Przywołał na twarz coś na kształt uśmiechu.

- A zatem życzymy sobie powodzenia?

Dotknął jej twarzy. Nie mógł sobie tego odmówić. Ostatni raz. Nigdy już jej nie dotknie. Delikatnie wodził palcami po jej policzku, starał się zapamiętać jedwabistą gładkość skóry, musnął małżowinę ucha, przesunął opuszkami po brwiach. Tak bardzo jej pragnął. Porwie ją w ramiona, pocałuje... Nie robi tego, nie wolno. Ociągając się, koniuszkami palców obrysował kontur jej ust... nigdy więcej... nigdy... Teraz też nie powinien.

Opuścił rękę.

- Niech tak będzie - powiedział cicho i zostawił Theę samą.

Nie musiała już trzymać się w garści. Nie przypuszczała, że ból, którym przepełnione było jego spojrzenie, zachwieje jej postanowieniem mocniej niż jej własny ból.

Następnego dnia przyszedł list od Aberfielda. Przez kilka minut bała się otworzyć przesyłkę, w końcu wymknęła się do ogrodu, znalazła ustronne miejsce i drżącymi palcami złamała pieczęć.

List nie był tak nieprzyjemny, jak się spodziewała. Z ulgą przyjęła wiadomość, że lady Chasewater uprzejmym tonem przemówiła do Davida w

miejscu publicznym. Wyobrażała sobie, ile to kosztowało starą damę. Kolejne fragmenty dotyczyły jej bezpośrednio.

Jestem zdania, że opuszczając Londyn przed wysłaniem do gazety zawiadomienia o waszych zaręczynach, pan Blakehurst postąpił wielce nierozważnie. Nie wspominam już o tym, że nie zwrócił się do mnie o zgodę na ślub. Dałaś mi jasno do zrozumienia, że moja zgoda się dla ciebie nie liczy. Śmiem twierdzić, że poszedł pod tym względem w twoje ślady.

Tak czy inaczej, uważam to małżeństwo za dobre rozwiązanie. Będąc młodszym synem, pan Blakehurst nie dźwiga ciężaru dbałości o honor rodziny, należy zatem przypuszczać, że może sobie pozwolić na wyrozumiałość w pewnych dziedzinach i nie musi brać pod uwagę twojej wcześniejszej niedyskrecji. To rozsądny człowiek i na pewno zaakceptuje taką cenę za związek, który w innych okolicznościach byłby poza jego zasięgiem. Nie wątpię, że się dogadacie.

Na tym list się nie kończył, ale Thea nie miała siły czytać dalej. Zmroziły ją dosadne sformułowania ojca. Dla niego małżeństwo córki z Richardem stanowiło wygodny sposób rozwiązania problemu rozporządzenia jej majątkiem i zatuszowania skandalu. Związek był mu na rękę, bo w małżeństwie z młodszym synem Blakehurstów jej - zaraz, jak on to ujął - sięgnęła do listu - „niedyskrecja” nie musi być brana pod uwagę... dogadają się.

Ze zmiętym listem w ręku błąkała się po wypełnionym aromatem kwiatów i brzęczeniu pszczoł labiryncie ogrodowym.

Rozumowanie Aberfielda przyprawiało ją o skurcz żołądka, ale ojciec miał pod jednym względem rację: Richard był jedynym mężczyzną, któremu mogła siebie oddać. Teraz wiedziała, czego chciałaby w małżeństwie z Richardem. Takiej samej miłości, jaka połączyła Maksa i Verity.

Rozprostowała zmięty list, złożyła go starannie i schowała do torebki. Obrąła już kurs. Nic dobrego nie wyniknie z opłakiwania utraconych szans. Nawet gdyby Richard pokochał ją tak jak Max Verity, i tak ich związek był

niemożliwy. Wiedziała, co należy uczynić. Wiedziała od momentu, w którym w jej ramionach spoczął bratanek Richarda. To, co zamierza, odetnie ją na zawsze od Richarda.

Musi tak postąpić. Podjęła decyzję i nie ma odwrotu. Nie ma, jeśli pragnie żyć w zgodzie z sobą.

Weszła do domu bocznym wejściem i skierowała kroki do biblioteki. Tam zazwyczaj siedziała Verity z małym Williamem.

W pierwszej chwili zdawało się jej, że biblioteka jest pusta, ale z otwartych drzwi tarasowych dobiegał szmer rozmowy. W zacienionym kącie tarasu stała wiklinowa kanapa, na niej siedziała Verity. Max z synem na rękach chodził po tarasie. Przechodząc koło żony, pochylał się nad nią i całował ją tak czule, że Thei stanęły łzy w oczach. Cofnęła się i ukryła za firanką. To było coś, czego nigdy nie doświadczy. Jednocześnie coś, czego tak bardzo pragnie.

Jak daleką drogę pokonała od czasu przyjazdu do Londynu z Yorku. Wtedy marzyła o wolności i spokoju. Jakie to mało ambitne. Łatwo osiągalne. Teraz... nigdy nie osiągnie tego, czego pragnie.

Już miała wyjść z ukrycia, gdy od strony ogrodu usłyszała męskie głosy. Richard i chyba Braybrook. Wracali z konnej przejażdżki.

- Cześć, Max - powiedział jasnym barytonem Braybrook. - Kłaniam się, lady Blakehurst. Przepraszam, że tak długo nas nie było. Ricky zaciągnął mnie do swojego domu.

- Podobał się panu? - odezwał się melodyjny głos Verity. Thea wysunęła się z ukrycia, stanęła w drzwiach.

- Bardzo. W takim miejscu nawet ja zaczynam myśleć o małżeństwie i rodzinie.

- Ty, Julian? - to głos Richarda.

- Tak, a co?

- Chyba żartujesz.

- To prawda. Coś się we mnie odmieniło, przysięgam. Oświadczę się pani Winslow i... Thea stała bez ruchu w drzwiach.

- Uważaj, Julian. - Hrabia Blakehurst zauważył Theę.

- I dostanie pan kosza - rzekła, wchodząc na taras. Lord Blakehurst stłumił wybuch śmiechu.

- Bardzo rozsądnie, panno Winslow. Prosimy dołączyć do nas. - Podszedł do Thei, wciąż z synem w ramionach.

- Właśnie chciałem z panią porozmawiać. Podobno Almeria zamierza pojutrze wracać do Londynu. Nie ma najmniejszej potrzeby, żeby pani razem z nią pojechała. Ja, to znaczy my z żoną bylibyśmy szczęśliwi, gdyby zechciała pani przedłużyć swój pobyt u nas.

Richard wydał dziwny dźwięk. Patrzył na brata bliźniaka zaskoczony, a nawet zgorzony. Mimo że Thea nie zamierzała zostać, zrobiło się jej nieprzyjemnie, że pomysł przedłużenia jej wizyty nie przypadł Richardowi do serca.

- Dziękuję, milordzie. Pomyślę o tym. - Lepiej nie decydować od razu.

- Usiądź, Theo - odezwała się Verity. - Na kanapce jest dość miejsca.

- Właściwie zastanawiałam się, czy się nie przejść. Taki piękny dzień. Czy jest ścieżka, która prowadzi w stronę wzgórz? - zapytała Thea.

- Jest. Chyba nie zamierza pani iść sama? - zaniepokoił się lord Blakehurst.

- Nie chciałabym nikogo fatygować.

- To drobiazg, zapewniam panią, że Almeria porządnie natarłaby mi uszu, gdybym pozwolił jej podopiecznej samotnie błąkać się po okolicy.

- Droga panno Winslow - odezwał się Braybrook - ja będę pani eskortą. Nie, proszę nie oponować. Będę miał sposobność oświadczyć się pani na osobności, a pani - szansę dania mi kosza.

- Obiecał pan zagrać ze mną w pikietę! - zawołała z udawanym oburzeniem Verity. - Richard może pójść z Theą. Pójdiesz, prawda? - zapytała szwagra. - Idźcie przez bukowy las, o tej porze roku jest tam pięknie.

Richard znalazł się w niewygodnej sytuacji. Thea również. Nie mógł odmówić, żeby nie okazać się gburem. Ona nie mogła się wycofać, gdyż wcześniej twierdziła, że chce się przespacerować. Richard uśmiechnął się z przymusem i zrezygnowany wstał.

- Jeśli mamy dojść na szczyt, musisz zmienić buty i włożyć zawiązywany pod brodą kapelusz. Będzie mocno wiało.

Nie było rady, trzeba iść.

Idąc doliną, rozmawiali niewiele. Droga była męcząca, cały czas pod górę. Thei brakowało tchu. Widok ze szczytu okazał się wspaniały. W oddali iskrzyła się w promieniach popołudniowego słońca błękitna tafla morza. Bliżej mieniły się wszystkimi odcieniami zieleni wzgórza.

- Powinniśmy wracać - powiedział Richard.

Nie był zasapany, tylko wyraźniej utykał. Thea za to nie miała czym oddychać. Musiała chyba być czerwona na twarzy. Nogi bolały ją tak, jakby miały za chwilę odpaść.

Warto było jednak się męczyć. Otaczał ich nieskończony bezmiar błękitu i zieleni. Miała wrażenie, że pofrunęłyby, gdyby rozpostarła ramiona i dała się porwać wiatrowi. Tu, na górze, codzienne problemy traciły na znaczeniu. Istniały, ale nie mogły jej osiągnąć.

- Wiem, ale tak mi tu dobrze. Potrzebowałam tego. Czuję przestrzeń. Londyn... - Urwała, nie wiedząc, jak to wyrazić.

- Zatłoczony, zapowietrzony, ograniczony. To chciałaś powiedzieć?

- Tak - przytaknęła. - A to - wykonała ręką obszerny gest - takie piękne. Możesz być sam, nie czując się osamotniony. - Wiedziała, że Richard zrozumie, o co jej chodzi.

Zeszli, nie śpiesząc się, ledwo widoczną ścieżką do lasu bukowego. W jego cienistym wnętrzu, chłodzonym łagodnymi podmuchami wiatru, Thea się rozmarzyła. Aksamitne powietrze muskało, pieszcząc skórę niczym kochanek. Była zadowolona, że dowiedziała się, iż z odpowiednim mężczyzną nie ma się czego bać. Nauczył ją tego Richard. Właściwie powinna mu podziękować. Ale jak? Co powiedzieć? Richardowi, temu jednemu, wyjątkowemu mężczyźnie.

Mężczyźnie, którego kocha. Którego zawsze będzie kochała. Nawet jeśli on nigdy się o tym nie dowie. Musi mu podziękować za to, czego ją nauczył. Za to, że otworzył jej oczy.

Cały ciąg wydarzeń ostatnich tygodni zmierzał w tym kierunku. Dzień przejażdżki do Richmond, kiedy przytulał ją do piersi, jak gdyby nie zamierzał jej wypuścić. Noc, gdy pospieszył z pocieszeniem po udręce koszmaru sennego. Wieczór, gdy uratował ją od napaści ze strony Dunhavena. Poranek, kiedy wywijał z nią taniec radości na wieść o narodzinach bratanka. Akceptował ją taką, jaka jest. Stał przy niej. Nie osądzał. Kochała go od tygodni, ale dręczona obawami, tchórzliwie bała się do tego przyznać.

Teraz, w świetle dnia, było to oczywiste. Przy Richardzie nie było się czego bać. Nie, to niemożliwe... Dokonała już wyboru... A jednak...

Lasek przerzedzał się. Wkrótce zobaczą dom. Ostatnia chwila, żeby mu wyznać.

- Richard?

- Tak?

- Tamtego dnia, kiedy mi się oświadczyłeś... - Wciąż nie była pewna, w jakie słowa ubrać myśli. - Chociaż nie mogę za ciebie wyjść, chcę ci podziękować za to, że mi wierzyłeś, a przede wszystkim za to, że mnie nie osądzałeś.

Uśmiech Richarda poruszył najgłębsze pokłady uczucia, o których istnieniu Thea zapomniała. Pochwycił jej dłonie, przyciągnął ją do siebie i ustami musnął jej wargi.

Thea zapragnęła, aby zrobił to raz jeszcze, a potem pocałował jak należy.

- Lepiej chodźmy - odezwał się nieswoim głosem.

Posłusznie ruszyła za nim. Była niczym ćma fruująca wokół lampy. Zmierzająca do pewnej zagłady, ale uparcie krążąca wokół ognia, aby liznął jej skrzydła, choć raz. Odmówi? Niech tylko pokaże. Jest bezwstydną, ale co ma do stracenia? Cnotę?

- Richard?

- Tak?

Może nie odmówi. Wzięła głęboki oddech.

- Pocałujesz mnie jeszcze raz? Zatrzymał się gwałtownie.

- Co takiego?!

Utkwiła wzrok w jego niedowierzającym spojrzeniu.

- Proszę, pocałuj mnie jeszcze raz, jeśli potrafisz. Tym razem jak należy.

Nie mógł uwierzyć.

- Postaram się.

O czym ona myśli, mówiąc: jak należy? - zadał sobie w duchu pytanie Richard. Marzył o całowaniu Thei Winslow. Czy to odpowiedni moment, by ujawniać, że od dłuższego czasu nie myśli o niczym innym niż o całowaniu jej? Nie wolno się zapominać. Nie chciała nawet wysłuchać ponownie jego oświadczeń. Dlaczego teraz chce, żeby ją pocałował?

- Tutaj? - zapytał. Cieszył się, że przynajmniej udało mu się utrzymać na wodzy głos.

- Tak. Tutaj... będzie miło. - Rozejrzała się naokoło.

Miło? Tutaj byłoby doskonale. Przeświecona słońcem zieleń bukowego zagajnika stanowiła wprost wymarzone miejsce do romantycznych uniesień. Powoli, jakby z ociąganiem, wyciągnął rękę. Jak cudownie miękka jest skóra szyi Thei. Niczym jedwab. Nie mógł sobie przypomnieć, żeby spotkał kobietę o tak jedwabistej skórze. W tej chwili nie potrafiłby przypomnieć sobie żadnej kobiety. Tylko Thea wypełniała jego pamięć, serce i duszę. Chciała, żeby ją

pocałował. Tylko pocałował. Nie pamiętał, żeby kiedyś usłyszał cudowniejszą prośbę. Położył dłoń na policzku Thei, kciukiem pogładził jej wargi. Rozwarły się przy akompaniamencie cichego westchnienia. Poczuł, jak ogarnia go namiętność.

Tylko pocałunek, uprzytomnił sobie.

Trwała w oczekiwaniu, nie mogąc się nadziwić, że poprosiła dzentelmena, by ją pocałował jak należy. Nie miała najmniejszego pojęcia, co się wydarzy. Nie wiedziała nawet, co oznacza „jak należy”. Na szczęście było jasne, że Richard wie.

Dotyk jego palców, lekki i pieszczotliwy, miał magiczną moc, sprawiał, że nie czuła się ani onieśmielona, ani zawstydzona. Wystawiała twarz na łagodne jak muśnięcie skrzydła motyla pocałunki, którymi obsypywał jej skronie i powieki.

Nie opierała się, gdy przyciągnął ją do siebie, ale z całą mocą przywarła do jego ciała i nagle, jakby w odruchu zniecierpliwienia, nieporadnie złączyła wargi z jego ustami.

Znieruchomieli i wtedy Richard musnął językiem usta Thei. Odpowiedziała na tę prośbę, tak jak tego chciał, rozwarła wargi, wpuściła do środka ten gorący, gładki język, którego dotyk sprawiał, że jej puls to przyspieszał, to zwalniał, jak gdyby był uzależniony od jego ruchów.

Richard brał, ale i dawał. Czowała, że poskramia namiętność. Pozwala jej, żeby zadecydowała, czy jest gotowa spróbować oddać mu pocałunek. Gdy się odważyła, z jego gardła wydobył się głęboki jęk.

Czuła, że miękną jej nogi. Wszelkie napięcie uleciało, przepelniało ją rozkoszne uczucie odprężenia. Przywarła jeszcze ściślej do Richarda. Radość i miłość rozświetlały najdalszy, najciemniejszy zakątek jej serca, wypędzając stamtąd cienie.

Odsunął się i pogłaskał ją uspokajająco po włosach.

- O tym myślałaś, mówiąc, jak należy? - zapytał.

- Tak... Chyba tak.

Jak należy? Tak, jeśli pod tymi słowami kryła się namiętność i obietnica życia, która nigdy się nie spełni.

- Dziękuję, Richardzie.

Przynajmniej teraz już opanowała drżenie głosu, ale kolana wciąż się pod nią uginały. Delikatnie odepchnęła go od siebie, żeby wypuścić ją z objęć. Mogła stać sama.

Będzie musiała.

Richard zwolnił uścisk ramion, jak tylko poczuł, że Thea pragnie się uwolnić. Miał wrażenie, że jakaś część jego istoty zerwała cumy i na zawsze będzie dryfowała bez steru i bez celu.

Wiedział, że jej pragnie. Wiedział nawet, że ją kocha. Nie miał pojęcia, jak to się razem łączy. Jak to jest całować kobietę, mając świadomość, że się ją kocha. Trzymać ją w ramionach i cieszyć się słodką pewnością, że jest się kochanym. Poskramiać dziką namiętność i nie doznawać rozczarowania, tylko czułość.

Chciała, żeby ją pocałował. Chciała wiedzieć, jak to jest.

W duszy Richarda tlił się bunt. Jeszcze nie teraz, obiecał sobie. To dopiero początek. Ten pocałunek stłumił jego największą obawę, że Thea nie chce za niego wyjść, bo się boi. Boi się tego, co ją czeka w małżeńskim łóżu. Będąc o tym przekonany, postanowił nie naciskać, ale teraz Thea nie mogła już dłużej negować tego, co zaistniało między nimi, i wypierać się własnej reakcji, tak jak i on nie mógł. Zresztą nie zamierzał. Prędzej by przestał oddychać.

Chciał z nią być. Chciał, żeby jego dom stał się ich wspólnym domem. Chciał widzieć ich rosnące dzieci. Gdyby mógł jej to wszystko powiedzieć albo lepiej pokazać... Doszedł do przekonania, że rozumie, co ją powstrzymuje. Wątpliwości i strach. Wątpliwości, czy on jej szczerze pragnie. Strach, że jego propozycja wynika z litości, z męskiej rycerskości wobec dam, i że może nadejść dzień, w którym on ją zniełubi.

Uczepił się tej myśli. Musi udowodnić Thei, że jest w centrum jego pragnień. A wówczas może znajdzie słowa, którymi zdoła odmalować, co kryje w sercu. Wsunął jej dłoń pod ramię i ruszyli w drogę powrotną. Nie miał zbyt wiele czasu. Ciotka ostatecznie postanowiła wracać do miasta.

- Thea, pojedziesz jutro ze mną konno?

- Konno?

- Tak, moje echo! Jedź ze mną. Almeria postanowiła pojutrze wyruszyć do Londynu. Ostatni raz. Tylko ty i ja.

Rozdział szesnasty

- Dokąd się wybieramy?

Thea wprowadziła klacz w kłus, żeby nadążyć za Richardem.

- Zobaczysz. Jak ci się jedzie?

- Bardzo przyjemnie. Fidget ma bardzo miękki krok. Czego się spodziewać, przecież to ulubiona klacz Maksa. Ale nie zmieniaj tematu, dokąd prowadzisz?

- Za siedem gór, za siedem rzek... Zobaczysz, niespodzianka.

Od dawna nikt nie zrobił jej żadnej niespodzianki.

Galopowali w milczeniu poprzez wzgórza pośród stad pasących się owiec. Nad głowami śpiewały im skowronki, w oddali szumiało morze, rozbijając fale o nadbrzeżny klif. Na szczycie pagórka Richard wyciągnął przed siebie rękę.

- Popatrz tam.

Zatrzymali konie. Na dnie doliny stał stary dwór. Jego nieregularna bryła, wynik trwającej stulecia rozbudowy, była wtulona w otaczający go bukowy zagajnik i rozległy ogród. Z komina wydobywał się dym.

- Kto tam mieszka? - zapytała Thea. Richard szeroko się uśmiechnął.

- Zobaczysz. Jedźmy, ale uważaj, ścieżka jest dość stroma. Zajedziemy od tyłu domu. Będzie szybciej niż drogą.

Thea puściła luźno klacz, gotowa jednak w każdej chwili zebrać jej wodze, gdyby się potknęła. Na dole wjechali w sad. Powyginane stare jabłonie były obsypane kwiatami. Przyglądała się im w zachwycie. Klacz sama podążała za koniem Richarda i już po chwili kopyta zastukały o bruk podwórza. Z zabudowań wyłonił się stary człowiek.

- Panicz Richard, witam.

Nie wyglądał na zaskoczonego. Przytrzymał Richardowi konia, gdy ten zeskakiwał z siodła.

- Dzień dobry, Sam. To panna Thea. Thea, poznaj Sama Decksą.

- Jak się pan miewa, panie Decks?

- Nie najgorzej. - Przyłożył palce do daszka czapki. - Chodźmy do środka. Żona mocno się niecierpliwiła, czekając na państwa przybycie.

- W takim razie nie każmy jej dłużej czekać - powiedział Richard.

Podszedł do Thei i objął ją w talii, żeby zsadzić z konia. Ich twarze znalazły się blisko siebie. Thea musiała z sobą walczyć, żeby nie wesprzeć się całym ciężarem ciała na torsie Richarda. Udawała, że nie dostrzega, iż trochę za długo obejmuje ją w talii, jakby chciał zapamiętać jej kształt.

Nie, to niemożliwe.

- Kto tu mieszka? - zapytała niemal bez tchu.

Chyba nie usłyszał. Prowadził ją po kocich łbach podwórza w stronę domu.

- Wejdziemy od frontu. Pani Decks obedrze mnie ze skóry, jeśli wprowadzę cię kuchennymi drzwiami.

- Kto to jest pani Decks?

- Nasza dawna niania. Moja i Maksa. Jest teraz moją gospodynią.

Nie wiedziała, co o tym myśleć. Szła za nim wyłożoną chodnikowymi płytkami ścieżką wokół domu. Takie same płytki rozdzielały rabaty kwiatowe.

Brzęczały pszczoły, tuż nad ich głowami przeleciał kos. Zajazd przed domem porastały gdzieniegdzie chwasty. Nic dziwnego, że dom wydawał się jej znajomy. Był dokładnie taki, jak go opisywał Richard. Tylko dlaczego ją tu przyprowadził?

- Trochę zaniedbany - tłumaczył się Richard. - Stopniowo doprowadzamy wszystko do porządku. Wprowadzam się w przyszłym tygodniu. Dzisiaj są tu tylko Sam Decks i jego żona.

Drzwi frontowe stały otworem. Z ukłonem wskazał jej drogę przez próg do mrocznego, wyłożonego kamienną posadzką holu.

- Nell? - zawołał.

Usłyszeli energiczne kroki, do holu weszła starsza kobieta.

- Nareszcie, paniczu!

Obrzuciła bystrym spojrzeniem Theę.

- Nell, to jest panna Thea. Przyjechała z lady Arnsworth z Londynu na chrzciny. Thea, przedstawiam ci panią Decks. Trzymała nas z Maksem krótko. Terroryzowała nas, możesz mi wierzyć.

Pani Decks Pokraśniała na twarzy.

- Co za głupstwa, paniczu. Cieszę się, że panią widzę. Proszę mi wierzyć, nieźle z nich były urwisy, z tego tu i tamtego w Blakeney. Można było osiwieć. Przyjeżdżacie w samą porę. Właśnie zbiera się na deszcz. Sam mówił, że się zatrzymacie.

- Hm, nie miałem tego w planie - powiedział Richard. -

Obejrzymy szybko dom i zaraz wracamy. Jeśli rzeczywiście zacznie padać... Chodź Thea, trzeba się pospieszyć. Potem wypijemy herbatę. Jak znam Nell, to upiekła ciasto.

- Za pół godziny w saloniku będzie gotowy podwieczorek - zapewniła gospodyni.

A więc tak wygląda dom Richarda.

Thea chodziła w ślad za nim i słuchała jego wyjaśnień.

- Kupiłem go przed kilkoma miesiącami, ale wymagał przeróbek, więc wciąż mieszkalem w Blakeney. Jest tu też sporo ziemi. Dość, abym miał co robić. Prawdę mówiąc, większość tych owiec, których stada mijaliśmy po drodze, należy do mnie.

- Aha.

Jak to pasuje do Richarda, pomyślała Thea. Z łatwością mogła sobie wyobrazić, że tu mieszka, gospodaruje, czyta książki. To dom odpowiedni dla rodziny. Patrząc przez okno jednej z sypialni, wyobrażała sobie bawiące się w ogrodzie dzieci. Z gałęzi tego rozłożystego dębu mogłaby zwisać huśtawka. A jaki raj miałyby tu psy... Stajnie, w których teraz stały tylko ich wierzchowce, byłyby pełne koni. Całe to miejsce tętniłoby życiem, kipiało radością, rozbrzmiewało głosami ludzi i zwierząt.

- Thea?

- Ładnie tu, Richardzie. Jestem pewna, że będziesz szczęśliwy.

Podszedł bliżej.

- Tak myślisz? Cofnęła się.

- Jestem pewna. Spójrz na niebo! Jakie groźne! Może powinniśmy wracać?

Wyjrzał przez okno.

- Cholera. Nie wygląda to dobrze. Wypijmy szybko herbatę i ruszajmy w drogę.

Pani Decks przygotowała w saloniku suty podwieczorek. Ciasto, herbatniki, chleb z masłem. Na kominku trzaskał ogień, rzucając złote refleksy na podłogę.

Thea nalewała herbatę do filiżanek. Richard ją obserwował. Światło z kominka otaczało jasnym konturem jej głowę. Wyobraził sobie, że wyciąga rękę, wyjmując spinki z jej miękkich, falujących włosów, a one opadają na ramiona. Odpędził tę wizję. Uwiedzenie Thei nie wchodziło w grę. Wyglądała

tak... tak na miejscu w tym pokoju. Musi znaleźć sposób, aby ją przekonać, że należy do tego domu. Nie do niego. Do tego miejsca, razem z nim.

Filizanka leciutko zadzwoniła o spodek, gdy podając mu herbatę, niechcący musnęła jego palce. Patrzyła mu w oczy pytająco. Gdyby naprawdę można było zajrzeć przez oczy w głąb duszy i ona zobaczyłaby, co się kryje w jego duszy, z pewnością by uciekła. Dzięki temu, że rozdzielał ich stolik z zastawą do herbaty, nie mogła zobaczyć namacalnego dowodu, dokąd zmierzały jego myśli. Richard popijał herbatę i kręcił się niespokojnie w fotelu.

Nagle uderzenie deszczu o szyby przywiodło go do rzeczywistości. Poderwał się z miejsca, wyrzwał na zewnątrz. Jeden rzut oka na niebo wystarczył, żeby podjąć decyzję. Od morza nadciągały czarne, burzowe chmury. Dał się słyszeć odległy grzmot. To nie przejściowa wiosenna ulewa, lecz gwałtowna nawałnica. Kolejne uderzenie o szyby potwierdziło najgorsze przypuszczenia Richarda?

- Przykro mi, Theo. Sądzę, że znaleźliśmy się w pułapce.

- W pułapce?

- Nie pojedziemy do Blakeney. Konno nie możemy, a ja nie mam tu powozu. Będzie wiało, i to mocno. Ścieżka przez wzgórza jest zbyt wystawiona na podmuchy od morza, a podróż drogą trwałaby godzinami. Obawiam się, że nawałnica nie ucichnie przed ranem.

Kolejny grzmot, tym razem zupełnie blisko domu, potwierdził jego obawy. Thea zbladła.

- Mamy tu czekać do rana? Richardzie, jeśli nie wrócimy na noc do domu, nie wiem...

Nie musiała kończyć. Rozumiał, o co chodzi. Zamierzał ponowić oświadczenia i nie chciał dawać jej najmniejszego powodu do przypuszczeń, że mogły być podyktowane wyłącznie poczuciem obowiązku. A tym bardziej do podejrzeń, że wmanewrował ją w tę sytuację, ponieważ poluje na jej majątek.

- Moja droga, nie będzie tak źle, jak można by sądzić na pierwszy rzut oka. Jest Nell. Może spać z tobą, jak tego wymaga przyzwoitość. Zresztą nikt o niczym się nie dowie. Jedynymi wtajemniczonymi będą mieszkańcy Blakeney. Nie wyobrażam sobie, żeby Braybrook, a tym bardziej Max i Verity robili z tego problem.

- A lady Arnsworth?

- Dam sobie radę z Almerią - skłamał.

Pod warunkiem, że uda mu się uzmysłwić ciotce, iż zbyt natrętne kazania na temat tego, co wypada, a czego nie wypada, mogą tylko umocnić Theę w jej uporze.

Nie uwierzyła.

- No dobrze - przyznał. - Almeria jest rzeczywiście gotowa na wszystko, żeby nas pożenić. Naszą nocną nieobecność

w domu potraktuje jako dar niebios. Tak, to dla niej gratka: ja będę zmuszony ci się oświadczyć, a ty zmuszona mnie przyjąć. Jednocześnie będzie sobie używała, potępiając moralny upadek naszego pokolenia, a Maksa i mój w szczególności.

- Zapowiada się miły wieczór dla twojego brata i bratowej.

- Nie przejmuj się. Nie będą zwracali uwagi. Tym bardziej że krytyka ciotki skupi się na mojej osobie, a nie na Maksie.

Doszedł do wniosku, że chyba udało mu się rozproszyć wątpliwości Thei.

- Jutro rano nie oświadczysz mi się oficjalnie?

Zreflektował się. A jednak wciąż nie opuszczały jej wątpliwości. Najgorsze, że on właśnie zamierzał ponowić jutro rano prośbę o jej rękę. Niekoniecznie formalnie.

- Theo Winslow, powiedz, masz do mnie zaufanie czy nie?

- Oczywiście, że mam.

- A zatem uwierz mi, jeśli oświadczę ci się ponownie, to tylko wtedy, kiedy zakocham się w tobie na zabój, nie wcześniej!

- Ale... ale nie zamierzasz tego zrobić?

Nie był pewien, czy nie dosłyszał nieznaczonej nuty rozczarowania?

- Nie. Nie mam takiego zamiaru.

Tylko dlatego, że już to zrobił. Nie mógłby przysiąc, że nie zakocha się w niej jeszcze mocniej. Czuł, że pogrąża się z minuty na minutę.

- No dobrze. Nie sądzisz, że powinniśmy... że powinienes poinformować panią Decks?

Nell uznała, że sytuacja jest wielce romantyczna, niemniej od razu zajęła się stroną praktyczną.

- Ależ naturalnie, przygotuję wam kolację. Zabijemy kurczaka, nie ma problemu. Mam spać z panną Winslow? Nie, nie będziemy plotkować. Nie ma obawy. Idę na górę przygotować pokoje. A kiedy wprowadzicie się na dobre?

- Nell!

- Proszę nic nie mówić! Przecież widzę, jak panicz szaleje na jej punkcie. Nic nie powiem młodej pani, ale mnie proszę oczu nie mydlić.

Po kolacji przeszli do salonu. Zaciągnięte zasłony tłumiły uderzenia nawałnicy o szyby. Nie widać było zasnutego czarnymi chmurami nieba. Łagodne światło świec rozpraszało ciemności. Na kominku płonął ogień. Nawet cienie były przyjazne w kameralnej atmosferze przytulnego wnętrza.

Niebezpieczna była intymna atmosfera tego wieczoru. Thea ani przez chwilę nie podejrzewała, że Richard zaplanował zamach na jej nieistniejącą cnotę. Tak jej było tu dobrze. Jak w domu. Miała przeczucie, że ten wieczór na długie lata utkwi w jej pamięci jako symbol tego, co utraciła i czego nigdy nie odzyska.

Otrząsnęła się z tego rodzaju myśli. Koniec uzalania się nad sobą. Lepiej cieszyć się chwilą, nie biadolić. Chciałaby móc zobaczyć Richarda po latach w tym samym miejscu, aby się upewnić, że jest szczęśliwy.

- Partyjka szachów czy pikiety? - zaproponował Richard.

- Chętnie.

Dobrze odwrócić uwagę od tego, na co naprawdę ma ochotę, a mianowicie, żeby ją pocałował. Wiedziała, jak silne jest poczucie honoru Richarda. Jeśli uzna, że swoim zachowaniem ją skompromitował, złożona dzisiejszego popołudnia obietnica nie będzie miała znaczenia w obliczu konieczności ratowania dobrego imienia Thei.

Co za ironia losu! Jedynym mężczyzną, któremu była gotowa oddać się z radością, jest ten, którego oświadczyn nie może przyjąć.

Lepiej już zagrać w szachy.

Nie mogła się skupić. Obserwowała Richarda ukradkiem, jak zastanawia się nad kolejnymi ruchami, jak reaguje na jej posunięcia. Patrzyła na jego piękne dłonie z długimi palcami, których dotknięcie wciąż czuła na policzkach.

Drżącą ręką uniosła swojego hetmana, zbiła kilka pionów Richarda i zagroziła gońcowi. Rumieniąc się z zakłopotania, zaczęła zbierać strącone figury. Przytrzymał jej rękę swoją dużą, gorącą dłonią. Drzenie jej dłoni ustało, ale za to trzęsło się w niej każde włókienko nerwowe.

Gdyby teraz wstała i wyszła, on nie mógłby jej zatrzymać. Mógłby tylko otworzyć jej drzwi, zawołać panią Decks, żeby jej towarzyszyła do sypialni, i życzyć dobrej nocy.

Gdyby tylko...

- Chyba oszalałem - szepnął Richard, wstając. Wypuścił jej rękę.

- Dlaczego?

Okrążył stolik, podszedł do Thei i pomógł jej się podnieść.

- Dlatego. - Objął ją ramionami, przytulił policzek do jej czoła. - Wszystko na nic - ciągnął. - Naprawdę próbowałem, ale jeśli będziesz tak na mnie patrzeć... - Zamilkł.

Thea przytuliła się do Richarda. A przecież powinna go powstrzymać. To prawdziwe szaleństwo. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę, ale serce i zmysły nie słuchały głosu rozsądku. Jeszcze będzie miała dość życia w zgodzie z rozsądkiem, uznała. Teraz warto zdobyć się na odrobinę szaleństwa.

Szaleństwem było poddanie się pieszczocie warg Richarda, biorących w posiadanie jej usta, a także uczucie rozkosznej niemocy, które ogarnęło Theę w ramionach ukochanego. Szaleństwem był zachwyt, z jakim odbierała pieszczotę palców, zagłębiających się w jej rozsypane na ramionach, potargane włosy. A nade wszystko szaleństwem była jej własna reakcja: zarzucenie Ryszardowi rąk na szyję, odpowiedź warg i języka na rzucone jej namiętne wyzwanie.

Powinna go powstrzymać. Wiedziała o tym. Nie potrafiła jednak sobie przypomnieć, dlaczego miałyby to zrobić.

Richard też miał świadomość, że należy się pohamować. Jednak gdy Thea delikatnie, jak gdyby ze zdziwieniem, przesunęła palcami po jego twarzy, zapomniał o tej powinności. Nie wielkiego, niewinny dotyk, a wzniecił w nim gwałtowną namiętność. Nie miał pojęcia, jak to się stało, że znaleźli się na kanapie. Resztki zdrowego rozsądku i przyzwoitości protestowały przeciwko takiej lekkomyślności. Zignorował te protesty, obchodziło go tylko jedno: upajająca odpowiedź ze strony kobiety, którą trzymał w ramionach. Odpowiedź przepojona słodyczą i ufnością, która go zniewalała.

Nie powinien rozpinać guzików jej amazonki, ale jego palce nie poddawały się rozkazom rozumu. Przez cienki batyst koszuli wyczuwał, jak budzą się do życia jej piersi.

Nie wyobrażał sobie, jakich uczuć doświadczy. Pożądania? Tak. Wiedział o tym. Tymczasem to nie było tylko pożądanie. Kierowała nim niewytłumaczalna potrzeba, gdy niezdarnie rozpinał guziki koszuli Thei i rozwiązywał tasiemkę halki. Jedno pociągnięcie i jego dłonie zetknęły się z jedwabistym ciałem.

Odpowiedzią było westchnienie rozkoszy, które wchłonęły jego usta. Poruszyła się, umożliwiając mu lepszy dostęp do obnażonego dekoltu. Jego wargi rozpoczęły wędrówkę w dół szyi do kremowych krągłości piersi Thei, która wydawała stłumione okrzyki rozkoszy. Powinien przestać. Wiedział o tym. Wiedział także, iż był ku temu jakiś powód. Nie mógł sobie tylko w danej

chwili przypomnieć jaki. Drżąc z niecierpliwości, pochwycił wargami sterczącą brodawkę i possał delikatnie.

Thea wyprężyła się, nie stawiała oporu.

To mu wystarczyło. Nie tylko honor zwyciężył. Przede wszystkim zwyciężyła miłość i pewność, że musi chronić ukochaną. Zwłaszcza przed sobą samym.

To jego Thea, jego ukochana. Tak niewiele wiedziała o pasji, jaka może połączyć mężczyznę i kobietę. Przysiągł, że jej nie skompromituje, i był gotów dotrzymać obietnicy.

Podniósł się.

- Richard? - Głos Thei zabrzmiał niepewnie.

- Koniec z tym - rzucił szorstko. - Nie powinniśmy. Nie w ten sposób.

Zasługiwała przynajmniej na zaręczynowy pierścionek na palcu. Na intymną atmosferę sypialni, a nie pospieszny akt na sofie w salonie.

Patrzyła na niego nieprzytomnymi oczami, powoli odzyskiwała rozeznanie tego, co się z nimi stało.

- Przepraszam - szepnęła. - Nie chciałam, żebyś zrobił coś, czego będziesz żałował.

Żałował? O czym ona mówi?

- Nie zrobiłaś. - Richard pochylił się nad Theą i delikatnie ją pocałował. - Gdybym się nie opanował, nie pozostałoby nam nic innego, tylko szykować się do ślubu.

Słowa nie zdążyły wybrzmieć, gdy zrozumiał popełniony błąd. Wyglądała jak rażona piorunem, usiadła i zaczęła pośpiesznie zapinać guziki koszuli.

- Przecież obiecałeś. Mówiłeś, że się nie skompromitujemy.

- Na Boga, Theo! To było, zanim cię pocałowałem. Delikatnie powiedziane, ale nie warto wchodzić w szczegóły. Wiedziała, o czym mówił.

- Nikt nie musi wiedzieć, że mnie... pocałowałeś! Rumieniec na twarzy i to króciutkie wahanie wzruszyły Richarda.

- Wiem - powiedział po prostu. - Ale nie to jest teraz najważniejsze.

- A co? - Wciąż zmagala się z guzikami.

Prowokuje go, żeby to powiedział? Czy ona myśli, że takie obściskiwanie kobiet to dla niego chleb powszedni?

- Najważniejsze, że chcę to zrobić jeszcze raz! - wypalił. Zaczerwieniła się. Dostrzegł to.

- I następnym razem nie chcę na tym poprzestać. Miała oczy jak spodki.

- Koniec z tym, Theo. - Richard pociągnął taśmę dzwonka przy kominku.

- Dzwonię po Nell, żeby zaprowadziła cię na górę. Tymczasem chciałbym jedno wyjaśnić: moja prośba o twoją rękę nie ma nic wspólnego z dzisiejszą sytuacją i tym, do czego doszło na sofie! I dlaczego do tego doszło. Wiedz o tym. Jak myślisz, dlaczego przyprowadziłem cię tutaj, aby pokazać ci mój dom?

Podszedł o krok bliżej. Zmroził go wyraz jej twarzy.

- Kochanie?

Thea wciąż walczyła z guzikami. Nie, tylko nie to. Nie z nim, pomyślała.

- Nie, Richardzie. Nie możesz!

- O tak, mogę. I zrobię to. Kocham cię, Theo. Przywiodłem cię tu, aby cię przekonać, że cię kocham, że tu jest twoje miejsce. Przenocowanie nie było częścią mojego planu. Nigdy nie chciałem, żebyś czuła się do czegokolwiek zmuszona.

To prawda. Wiedziała o tym. Richard nie pragnął i nie potrzebował jej majątku. A nawet gdyby potrzebował, nie zmuszałby jej do małżeństwa. Było jeszcze gorzej. Pragnął jej, Thei Winslow, bo ją kochał.

W milczeniu kończyła doprowadzanie do ładu garderoby.

- Richard...

W ślad za delikatnym pukaniem do drzwi pojawiła się pani Decks.

Nigdy nie przyszłoby mu do głowy zatrzaskać drzwi przed nosem poczciwej Nell. Co miał robić? Powiedzieć Thei dobranoc i zacząć się

zastanawiać, w którym miejscu skrewił? Przecież to niemożliwe, by myślała, że on poluje na jej majątek. Że zastawia na nią pułapkę, aby ją skompromitować.

Więc dlaczego? Dlaczego wciąż nie chce wyjść za niego za mąż? Przecież już na końcu języka miała odmowę. Gdyby Nell nie weszła.

Widząc jej zachowanie, nie mógł uwierzyć, że jest Thei obojętny. Nie należała do kobiet, które oddawałyby się komuś lekkomyślnie, bez zastanowienia. Może wciąż wątpiła w jego miłość? Albo wierzyła, że on nie wybaczy jej utraty niewinności? Że jej to kiedyś wypomni?

Nie mógł przestać o tym rozmyślać. Rozejrzał się po pokoju, czy nie znajdzie się gdzieś karafka z brandy. Perspektywa bezsennej nocy nie była zachwycająca.

Rozdział siedemnasty

Rano na niebie nadal wisiały niskie, ciężkie chmury, ale przynajmniej nie padało. Sam Decks, pytany o opinię, stwierdził, że panicz Richard i jego młoda dama mogą bez obawy o przemoczenie jechać konno do Blakeney.

- Nie zwlekajcie z wyjazdem - radził. - Jego lordowska mość zdążył już na pewno wysłać ludzi na poszukiwania. O ile sam nie wyruszył.

Decks miał rację. Muszą wyruszyć bez zwłoki. Richard miał wiele do powiedzenia Dorothei Winslow i nie potrzebował świadków czekającej go rozmowy.

Thea zeszła na śniadanie. Po źle przespanej nocy bolała ją głowa i szczypały oczy. Rozmowa przy stole się nie kleiła. Zresztą i tak była niemożliwa, bo pani Decks co chwila zaglądała do pokoju, sprawdzając, czy czegoś nie brakuje na stole. Thea dziękowała Bogu, że tak było. Nie miała wątpiwości, że Richard poruszy temat ich zaręczyn, jak tylko znajdą się na drodze, i że będzie musiała wreszcie mu powiedzieć, dlaczego nie może za

niego wyjść. Miała nadzieję, że on zrozumie, nawet jeśli trudno mu będzie się z tym pogodzić.

W tej materii ona musi kierować się sumieniem, którego cichy, spokojny głos podpowiadał jej, co należy zrobić.

Świat po burzy wyglądał zachwycająco. Thea upajała się świeżością przepelnionego wilgocią powietrza. Krople wody połyskiwały na liściach i płatkach kwiatów. Urzekająco wyglądały zroszone wilgocią pajęczyny.

Pohamowała swój zachwyty. Nie dla niej całe to urzekające piękno.

Richard nic nie mówił. Wyjechali z podwórza, znajdowali się w sadzie. Thea wyczuwała rosnące napięcie, ale koncentrowała uwagę na prowadzeniu klaczy, która po nocnym wypoczynku nazbyt ochoczo rwała się do drogi.

Chciałaby mieć za sobą decydującą rozmowę z Richardem, ale była mu wdzięczna, że milczał. Wspinali się śliską ścieżką po zboczach doliny na wzgórze. Gdy osiągnęli szczyt, nie wytrzymała i zagadnęła spokojnym tonem.

- Richard, musisz zrozumieć, że ja nie mogę za ciebie wyjść. Oby zechciał na tym poprzestać, modliła się w duchu.

- Mówiłaś to już wczoraj wieczorem. Nie wyjaśniłaś tylko dlaczego.

Przewidywała, że nie będzie łatwo.

- Dobrze wiesz - kontynuował - że nie zamierzałem wciągnąć cię w kompromitującą sytuację, prawda?

Thea w duchu przyznała Richardowi rację. Wiedziała, że nie tędy droga.

- Po wczorajszym wieczorze - zniżył głos do pieszczotliwego szeptu - nigdy nie uwierzę, że mnie nie kochasz.

- Nie jestem pewna.

- Ale ja jestem pewien. Wczoraj, gdybyś mnie nie kochała, kazałabyś mi przestać.

- Właśnie między innymi dlatego, że cię kocham, nie mogę za ciebie wyjść. Któregoś dnia mnie znienawidzisz. Przeszłość zawsze będzie nas dzieliła.

Może nawet już w tej chwili zastanawiasz się, czy moje wczorajsze zachowanie nie było zachowaniem godnym ladaczniczy.

Jechała w milczeniu z wypiekami na twarzy. Żałowała swojej wczorajszej słabości, tej chwili szaleństwa, na którą sobie pozwoliła. Poczwała ogarniający ją chłód, jak gdyby nagle zgasło słońce.

- Theo - odezwał się gwałtownie Richard - jeśli jeszcze raz powiesz tak o sobie, przysięgam, przełożę cię przez kolano i dam ci porządnego klapsa! Kto ci to włożył do głowy? Ojciec? Ciotka? Po wczorajszym wieczorze wiem tylko tyle, że mnie kochasz. Jak mógłbym cię potępiać, skoro zachowałem się dokładnie tak jak ty. Nawet gorzej. Przecież to ja cię uwodziłem.

- Skąd możesz wiedzieć, że cię Kocham! - Wszelkimi siłami starała się stłumić światło nadziei. - Może... może ja postępuję tak z każdym mężczyzną, który mnie całuje!

- Nie mówiłabyś o tym. I nie powiedziałabyś mi prawdy wtedy, gdy chciałaś zapobiec wyzwaniu Dunhavena.

- To... to niemożliwe - szepnęła.

- Ależ tak, Kochanie. Theo, Kocham cię. Naprawdę nie możesz mi zaufać?

Nie mieściło się jej w głowie, że on tak łatwo przejdzie do porządku nad jej utraconym dziewictwem i będzie gotów ją poślubić. Ona sama nie mogła sobie tego wybaczyć. A co z dzieckiem? Musi je zabezpieczyć. Gdyby przyjęła oświadczenia Richarda, nie mogłaby dysponować swoim majątkiem.

Usłyszeli zbliżających się z oddali jeźdźców.

- Niech to! - zaklął Richard. - Max i Julian. Nie skończyliśmy rozmowy. Zrozum tylko jedno: nie nalegam powodowany idiotycznym poczuciem dżentelmenerii czy litości, czy co tam jeszcze sobie wymyślisz. Robię to, bo cię Kocham.

- Jak możesz?

Nie miała już żadnych argumentów.

- Jak? Sam nie wiem. Dlaczego ludzie się zakochują? Dlaczego Max kocha Verity? Zapytaj go, a usłyszysz: dla jej odwagi, lojalności, uczciwości. - Roześmiał się. - Dla jej temperamentu. Dla tych wszystkich przymiotów, które widzę i które tak mi się podobają. Ale ja jej nie kocham. Nie powiem ci, Theo, dlaczego się w tobie zakochałem. Mogę tylko stwierdzić, że tak się stało. Ty byłaś ze mną szczerą. Mogłaś po prostu dać mi kosza. Albo, jeśli zależało ci na zamążpójściu, nic nie mówić. Czasami - zaczerwienił się - te rzeczy nie są oczywiste. Ja nic bym nie podejrzewał.

Spojrzeli sobie w oczy.

- Tobie nie przyszło to do głowy, prawda? Zamiast tego wyznałaś mi prawdę, bo całkiem bezpodstawnie myślałaś, że powstrzymasz mnie przed rzuceniem wyzwania Dunhavenowi. Nie to mnie powstrzymało, ale obawa przed rozgłosem i zamieszaniem cię w skandal. Theo, to co wydarzyło się osiem lat temu, to przeszłość. Nie było w tym twojej winy. Nie myśl o przeszłości, kochanie, przed nami przyszłość.

Lord Blakehurst i Braybrook kłusowali już w pobliżu, zawracając konie.

- Niech cię diabli, Ricky! - rzucił na powitanie Max. - Masz pojęcie, jak Verity się niepokoiła?

- Nic nam nie groziło. Byliśmy wciąż w Tarring, gdy nadeszła burza. Nell Decks zadbała o nas.

- Domyśliłem się - powiedział Max. - Oczywiście martwiłem się, ale wyłącznie o pannę Winslow i moją klacz.

Mimo odczuwanego napięcia Thea się roześmiała. Wiedziała, że lord Blakehurst martwił się również o brata. Związek emocjonalny między nimi był oczywisty. Zrobiło się jej przykro.

- Nell Decks? Mówisz o swojej starej niani? - zainteresował się Braybrook. - Biedna lady Arnsworth. Będzie nieszczęśliwa, jak się o tym dowie. Kiedy nie zjawiliście się na noc w domu, najpierw potępiła twoją lekkomyślność i twój brak kręgosłupa moralnego, Ricky. Muszę stwierdzić na marginesie, że

byłem zdumiony, ile zna szczegółów z twojego życiorysu. Powinieneś być bardziej dyskretny. Zaraz potem zajęła się planowaniem waszej uroczystości ślubnej. No, ale jeśli niania Decks odgrywała rolę przyzwoitki, Almeria najpewniej nieco się zagalopowała.

- Żebyś wiedział.

- O? - Braybrook był zaintrygowany.

- Zamilknij, Julian.

- Zanim staniecie do pojedynku i poprosicie mnie, żebym został sekundantem jednego z was, chciałbym przekazać pewną wiadomość panie Winslow - wtrącił lord Blakehurst.

- Proszę nie zwracać na nich uwagi, zwłaszcza na Richarda - zwrócił się do Thei. - Wczoraj, tuż po pani wyjeździe, przyszedł do pani list, i to ekspresowy.

Thea poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Nadawcą listu mogła być tylko jedna osoba: Rufton. Musiał skończyć dochodzenie i przysłał raport, a kamerdyner Almerii odesłał go do Blakeney.

- Czy moglibyśmy trochę przyspieszyć? - zaproponował lord Blakehurst. - Naturalnie, jeśli odpowiada to panie Winslow.

- Mogę jechać szybciej - odpowiedziała Thea, starając się zachować spokój.

Dziewczynka nazywała się Sophie Grey. Thea miała na drugie imię Sophie.

Otepiałym wzrokiem Thea jeszcze raz przebiegła raport Ruftona. Nie została zmieniona data urodzenia ani nazwa wioski, gdzie dziecko się wychowało - niecałych pięć mil od domu ciotki Marii. Opiekunką była córka akuszerki, która pomagała przy porodzie. W ubiegłym roku nieznanymi dobroczyńca posłał dziewczynkę do szkoły panny Dale w Bath.

Przez minione lata wszyscy ją okłamywali. Nawet lekarz i pastor. Ich zdaniem, niewątpliwie dla jej dobra. Thea przypomniła sobie słowa

pocieszenia pastora: „Bóg łaskaw. Lepiej, że dziecko zmarło, niż gdyby miało żyć z piętnem takiego grzechu. W rzeczy samej, możliwe, że śmierć dziecka jest karą za grzechy rodziców. Biblia uczy nas, że grzechy ojców spadają na dzieci do ostatniego pokolenia...”

Śmierć i życie dziecka jako instrument kary. Thei zebrało się na wymioty. Sophie. Jej córka ma na imię Sophie.

Thea czuła się równie winna jak pastor. Przecież początkowo modliła się, żeby jej podejrzenia okazały się bezpodstawne, by dziecko okazało się nieślubnym dzieckiem Aberfielda.

Nie mogła spać. Zdrzemnęła się po południu i wieczorem poprosiła o przyniesienie kolacji do sypialni. Teraz, dawno po północy, klęczała przy oknie, wpatrzona w ciemną, bezksiężycową noc. Niebo nie było jednak zupełnie czarne. Na samej górze nieboskłonu błyszczało jakieś światło. Nie takie jasne, żeby rozproszyć ciemności, ale na tyle jasne, żeby sygnalizować swoje istnienie.

Przecież miała wybór.

Raport nie sugerował jej żadnych działań. Informował o stanie rzeczy. Na początku to wystarczało. Nie przyszło jej do głowy, że prawda o stanie rzeczy nie będzie bezpostaciowa. Będzie żyła własnym życiem i będzie stawiała wymagania. Nie da się jej stłumić. Przeciwnie, ta prawda ma niszczącą siłę. Teraz nareszcie Thea zrozumiała, o co chodziło Ruftonowi, gdy pytał, czy jest pewna, że chce poznać prawdę.

Poznała prawdę i musi z nią żyć. Jeśli się na to nie zdobędzie, będzie zdana na niekończące się wyrzuty sumienia.

Zamknęła oczy, była wyczerpana. Oparła się na parapecie okiennym. Dobiegło ją szczekanie lisa i szum wiatru w bukowym zagajniku. Pewnie takie same dźwięki dają się słyszeć nocą wokół Tarring House. Jak tu pięknie. I tak pozostanie, chociaż bez niej. Mimo wszystko nie żałowała tego, co się wydarzyło.

Richard ją kocha. Serce biło w niej radośnie na wspomnienie tego, co między nimi zaszło. Po raz pierwszy od wielu lat bliskość mężczyzny nie przerażała, nie kojarzyła się z bólem, odrazą i wstydem. Ostatniego wieczoru Richard pokazał jej, jak cudowna może być intymność dwojga kochających się ludzi. Gdyby się nie powstrzymał... Thea usiłowała wyobrazić sobie, co by się stało... Żałowała, że się powstrzymał, jak bardzo żałowała. Lady Arnsworth wraca rano do Londynu. Zabierze się z nią. To jedyna możliwa decyzja. Takiej decyzji żaden mężczyzna, któremu drogi jest honor, nie będzie mógł zaakceptować.

- Jesteś pewna, Thea? - Spojrzenie szarych oczu Verity wyrażało szczerzy smutek. - Nie musisz nas opuszczać tylko dlatego, że Almeria wyjeżdża. Gdybyś chciała zostać, bylibyśmy wszyscy... to znaczy mąż i ja bylibyśmy szczęśliwi.

Thea nie czuła się komfortowo. Wzbudziła ich oczekiwania, a teraz musiała je zawieść.

- Muszę jechać. Mam ważną sprawę do załatwienia.

- W takim razie wróć do nas, jak będziesz wolna. To tylko kilka godzin. Poślę po ciebie powóz.

- Przykro mi. Z powodu wszystkiego. Nie będzie powrotu.

- O czym ty mówisz? - Verity ucieszyła się na widok Richarda. - Dobrze, że jesteś, Richardzie. Przemów Thei do rozsądku. Upiera się, że musi wracać do Londynu.

Richard wyglądał na zmęczonego. Thea pomyślała, że prawdopodobnie spał przez ostatnie dwie noce równie mało jak ona.

- Chodźmy do ogrodu, Theo. Almeria nie będzie gotowa jeszcze przez godzinę. Pozwolisz, Verity? - zapytał bratową Richard.

- Naturalnie. Idę na górę do pokoju dziecięcego. Nie pozwolisz Thei odjechać bez pożegnania, prawda?

- Oczywiście, że nie. Zajmę się Theą.

Dałby wiele, żeby zająć się nią na zawsze. Zdawał sobie jednak sprawę, że jej decyzja jest nieodwołalna. Dlaczego? Wiedziała, że on ją kocha, i nie miał najmniejszych wątpliwości, że ona także go kocha. W grę musiała wchodzić obawa, że jego akceptacja jest nie do końca szczerą, że nadejdzie dzień, w którym okaże się, że on nie pogodził się z jej przeszłością.

Zaprowadził ją do ogrodowego labiryntu, gdzie otoczona niewysokim lawendowym żywopłotem była fontanna, rozbłyskując w porannym słońcu wszystkimi kolorami tęczy. Usiedli na drewnianej ławeczce. Bez żadnego wstępu Thea wyznała Richardowi prawdę. Siedział jak rażony piorunem.

- Dziecko?

Skinęła głową.

Nie znajdował słów. Musiał oswoić się z sytuacją. Zdefiniować swoje uczucia. Czy to gniew? Może. Chyba również zakłopotanie.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

- Nie wiedziałam.

- No tak, o czymś takim trudno wiedzieć - zauważył, nie potrafiąc pohamować sarkazmu.

Thea skurczyła się w sobie. Wiedział, że ugodził boleśnie, ale ciągle niczego nie rozumiał. Do momentu, gdy uniosła wzrok i dojrzał bezmiar bólu w jej oczach. Jednak nawet wtedy nie zdawał sobie sprawy, jakie uczucia w nim dominują.

- Kiedy dziecko przyszło na świat, dali mi silny środek nasenny. Nie zdążyłam nawet wziąć małej w ramiona. Po przebudzeniu następnego dnia usłyszałam, że... - Thei załamał się głos.

Bez zastanowienia rzucił się do jej kolan, pochwycił jej dłonie. Widział jej cierpienie. Wiedział, że jest pierwszą osobą, której Thea o tym mówi.

Wciągnęła głęboki oddech i kontynuowała cicho, acz zdecydowanie.

- Powiadomili mnie, że dziecko zmarło i jest już pochowane. Nie powiedzieli mi nawet, czy to była dziewczynka, czy chłopiec. Twierdzili, że

lepiej dla mnie, jeśli nie będę wiedziała. Gdy prosiłam o wskazanie grobu, usłyszałam, że dziecko umarło nieochrzczone i grób nie został oznakowany.

- I nie wiedziałaś tego do wczoraj?

- Nie miałam pewności - szepnęła.

- To ten list?

- Kiedy dostałam pierwszy list od lady Chasewater, zaczęłam się zastanawiać. Doszłam do wniosku, że po śmierci lorda Chasewatera musiała coś odkryć. Nie chciałam w to wierzyć. Podejrzewałam, że jeśli ktoś maczał ręce w ukryciu tej sprawy, to mój ojciec.

- Pytałaś go?

- Oczywiście, że nie. Przecież i tak by skłamał. Przeszukałam jego dokumenty. Kiedy znalazłam w nich pewne informacje, wynajęłam detektywa. Wiedziałałam, w jakiej szkole ją umieszczono, i znałam jej inicjały. Na początku chciałam się jedynie upewnić, że jest bezpieczna i dobrze się jej wiedzie, ale teraz...

- A teraz?

- Zrozum mnie, Richardzie. Nie mogę tego tak zostawić. Wygląda na to, że mój ojciec cały czasłożył na jej utrzymanie, ale...

- To oczywiste - powiedział.

Cała Thea! Chciała sama utrzymywać swoje dziecko. Potrafił to zrozumieć.

- Przejmiemy te wydatki na siebie. Wydzielimy z twojego majątku posag dla niej, żeby mogła dobrze wyjść za mąż. Będziesz dowiadywać się o jej postępy w szkole. Jeśli tego sobie zażyczysz, przeniesiemy ją bliżej.

- To za mało - zaproponowała Thea. - Ona potrzebuje rodziny, przynajmniej matki.

- Tego za wiele! Żaden mężczyzna tego nie zniesie! Możesz odwiedzać swoje dziecko od czasu do czasu. Anonimowo. Nie prosz mnie, abym zaakceptował dziecko mężczyzny, który cię zgwałcił.

- Nie proszę cię o to, Richardzie. I nie będę prosiła.
- O, przepraszam, jeśli źle zrozumiałem.
- Nie ma o tym mowy. Ja nie proszę o akceptację dla Sophie.
- Sophie?
- Tak ma na imię moja córka.
- A zatem...
- Richardzie, nie wyjdę za ciebie.
- Odmawiasz, bo ja nie akceptuję... nie mogę zaakceptować twojego dziecka?
- Nie. Odmawiam, bo nie chcę prosić ani ciebie, ani żadnego innego mężczyzny o zaadoptowanie mojej nieślubnej córki. Ona jest moja i to ja ponoszę winę za to, w jakiej sytuacji się znalazła.

Richard doszedł do wniosku, że Thea jest zdeterminowana.

- Ty ponosisz winę?
- Tak. Gdybym nie wyznała prawdy Davidowi, myślę, że nie odważyłabym się nie wyjść za mąż za jej ojca, i ona nie byłaby nieślubnym dzieckiem.

Rozdzierały go sprzeczne emocje. Nie potrafił ich nazwać. Jedno stawało się oczywiste: utracił ukochaną kobietę. Podjęła decyzję i nie było odwrotu.

- Theo, muszę to sobie przemyśleć - powiedział miękko. - Przykro mi.
- Nie! - wykrzyknęła zapalczywie. - Nie przepraszaj! - Łzy napłynęły jej do oczu. Mrugała powiekami, żeby zapobiec ich stoczeniu się na policzki. - Jesteś wspaniałym człowiekiem. Chciałeś mi dać więcej, niż miałam prawo się spodziewać, ale zdarzają się nadzwyczajne okoliczności, niezwykle sytuacje...

Takie sytuacje, które trudno znieść, sytuacje, których nie da się do końca wyjaśnić, pomyślał Richard. Wiedział o tym. Nie musiała kończyć.

Gdyby Thea nadal żywiła wątpliwości, czy Richard ją kocha, wyraz jego oczu, jego pobladła twarz powinny ją przekonać.

- Muszę to przemyśleć - powtórzył zmienionym głosem.

Nie zdołała się odezwać. Ledwo widziała Richarda przez łąki, które napływały jej do oczu. Poszedł w stronę domu. Fontanna szemrała cicho, rozsiewając tęczową mgiełkę na środku lawendowego labiryntu. Niech Bóg cię ma w opiece, Richardzie, pomyślała Thea.

Godzinę później były z lady Arnsworth w drodze do Londynu. Przed domem zegnali je lord Blakehurst i Verity. Richarda nigdzie nie było widać.

Po uciążliwej podróży, w czasie której Thea musiała odpowiadać na niezliczone pytania lady Arnsworth oraz słuchać utyskiwań na temat braku jej zainteresowania uregulowaniem sytuacji rodzinno-towarzyskiej, dojechały późnym popołudniem na Grosvenor Square. Nie zwlekając, jeszcze tego samego dnia Thea udała się do ojca. Bez zbytnich ceregieli wręczyła mu raport Ruftona.

- Wynajęłaś detektywa z Bow Street? - Nie mógł uwierzyć.

- To chyba jedyny sposób, żeby dowiedzieć się prawdy - odparła śmiało.

Była niewzruszona. Nie dała ojcu szansy zaprzeczenia. Miał przeczytać raport i wytłumaczyć się z tego, dlaczego kłamał.

- Dorotheo, nie przyszło ci do głowy, żeby mnie zapytać? - Wyglądał, jakby nagle się postarzał.

- Zapytać? Ciebie? Przecież cały czas mnie okłamywałeś. Wierzyłam, że ona nie żyje! Kto to wszystko wymyślił?

- To było dla twojego dobra.

Thea zauważyła, że ojciec odzyskał pewność siebie.

- Przecież byłoby lepiej, gdyby to dziecko umarło. Łożę na jej edukację i zamierzam zabezpieczyć jej przyszłość. Nie musisz się martwić. Zostanie w szkole, gdzie zdobędzie zawód guwernantki.

- Widziałeś ją?

- A po co?

- Nie odwiedzałeś jej? Czy ona wie, że ma rodzinę? Aberfield przybrał surową minę.

- To przesada, Dorotheo! Nie ma potrzeby odwiedzania takiego dziecka. Byłoby to nawet mocno niewłaściwe. Lepiej, żeby nie była świadoma swego pochodzenia. Traktować jak członka rodziny? Kto to słyszał? Po co odwiedzać? Żeby wzbudzić niepotrzebne resentymy? - Pokręcił głową z dezaprobatą. - Tak się nie postępuje. Jeśli sobie życzysz, możesz obejrzeć sprawozdania panny Dale.

- Czy ona myśli, że Sophie Grey jest twoją córką?

- Bardzo możliwe. Powierzyłem jej to dziecko jako swoją wychowanicę. Panny Dale nie powinno interesować, kim są rodzice jej podopiecznej - orzekł stanowczo Aberfield.

- Doskonale. Napiszesz list do panny Dale i poprosisz, aby oddała Sophie Grey pod moją opiekę, ponieważ jestem jej matką.

- Co takiego?!

- To moja córka i jestem w stanie się nią zająć - stwierdziła zdecydowanie Thea.

- Nie musisz. Niczego jej nie brakuje. Na litość boską, dziewczyno! Rusz głową! Myślisz, że Blakehurst to zniesie? Nigdy się z tobą nie ożeni.

- Uzgodniliśmy między sobą, że będziemy udawać zaręczonych.

- Co ty opowiadasz? Przed wyjazdem z Londynu Almeria zapewniała mnie, że jesteście zaręczeni.

- Była w błędzie. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Dziecko jest moje. Napiszesz ten list, inaczej już nigdy mnie nie zobaczysz.

- Dorotheo, zastanów się. Przypuszczam, że wyznałaś Blakehurstowi prawdę, i oczywiście on nie mógł zaakceptować twojego... jakby to ująć... wyjaśnienia... Mogę z nim porozmawiać. Przecież to dla niego bardzo korzystny związek.

- Co mu powiesz? Że dałaś Lallertonowi wolną rękę, a on to zrozumiał jako zgodę na to, by mnie zgwałcił?

- Na litość boską, zamilcz! Co to za gwałt? Przecież byliście zaręczeni! Pewnie, że wolałbym, aby poczekał do ślubu, zanim weźmie cię do łóżka, ale to nie był gwałt.

- Oczywiście, skąd możesz wiedzieć. Nie na ciebie się uwalił, nie ty błagałaś go, żeby przestał. - Thea nie zamierzała oszczędzać ojca.

- Pomyśl, Dorotheo, ile lat strawiłem, by odzyskać pozycję, którą utraciłem, gdy tak lekkomyślnie odrzuciłaś propozycję Lallertona. A teraz wszyscy się dowiedzą, że moja córka ma bękarta.

- Do tego nie dojdzie - zaprzeczyła z przekonaniem. - Zamierzam żyć pod zmienionym nazwiskiem. Nikt nie musi wiedzieć. Chyba że odmówisz napisania listu do szkoły. Oświadczysz także na piśmie, że dziecko jest moje. Świadkiem będzie mój prawnik i on przechowa twoje oświadczenie.

- Niech mnie szlag trafi, jeśli to zrobię!

- Jeśli tego nie zrobisz i jeśli nie udostępnisz mi dość pieniędzy, żebym mogła wygodnie żyć, opinia publiczna dowie się o wszystkim. - Thea była nieugięta.

Ze spokojem patrzyła, jak Aberfield się wścieka. Trochę potrwa, zanim zrozumie, że nie ma wyjścia, pomyślała. Jednak za bardzo boi się skandalu, żeby się nie zgodzić na jej warunki. Bez słowa podeszła do okna i usiadła w stojącym pod oknem fotelu.

- Co ty sobie wyobrażasz?! - wykrzyknął Aberfield.

- Że zaczniesz wreszcie myśleć sensownie i napiszesz list do panny Dale. Nie masz wyboru.

- A co z tym drugim pismem? - zapytał.

- Porozmawiam z prawnikiem - odezwała się po krótkim namyśle. - Poproszę go, żeby przygotował je i przyniósł ci do podpisu. Nie powinno pozostawiać wątpliwości, że dziecko jest moje i ja sprawuję nad nim władzę rodzicielską. W tej chwili wystarczy list do szkoły.

- Obiecujesz trzymać się z dala od rodziny i żyć pod innym nazwiskiem?

- Masz moje słowo. Nie chcę sprawiać kłopotów. Chcę tylko odzyskać swoją córkę.

Pokonany Aberfield zajął miejsce przy biurku. Przez jakiś czas w pokoju słychać było tylko skrzypienie pióra o papier.

- Chcesz przeczytać, zanim zapieczętuję? - zapytał, gdy skończył pisać.

Potrząsnęła głową.

- To niekonieczne. Przecież chcesz uniknąć skandalu. Wiedz, że potrafię wywołać wielki skandal, jeśli okaże się, że próbujesz mnie oszukać.

Nie spiesząc się, posypał list piaskiem, następnie zapieczętował go i podał córce.

- Dziękuję, milordzie. Mój prawnik bez zwłoki przygotuje drugi dokument. Gdybyś życzył sobie skontaktować się ze mną, zgłoś się do mojego prawnika. Przypuszczam jednak, że nigdy się już nie spotkamy.

- Niech cię wszyscy diabli! Nie możesz wypierać się rodziny dla bękarta, o którego istnieniu jeszcze niedawno nie miałaś pojęcia.

- Mogę. Równie łatwo, jak ty wyparłeś się własnej córki za grzech, którego nie popełniła. Żegnam, milordzie.

Następnego dnia rano Thea odbyła rozmowę z Davidem.

- Na litość boską, Thea! - błagał brat. - Gdzie zamieszkasz? Pod jakim nazwiskiem? Zdajesz sobie sprawę z tego, że będziesz musiała udawać wdowę? A co na to Richard Blakehurst? Miałem nadzieję, że wy... - nie dokończył.

Było to bolesne, ale musiała spojrzeć prawdzie w oczy.

- Między nami wszystko skończone.

Nie winiła Richarda. Nie spodziewała się, że będzie gotów zaakceptować jej dziecko. Żaden mężczyzna nie mógł tego zrobić. Wiedziała to już w chwili, gdy podejmowała decyzję.

- Jesteś pewna, że to konieczne? Przecież dziecku niczego nie brakowało. Miało zapewnioną przyszłość. Może tym razem stary miał rację? Nie byłoby rozsądniej...

- Zostawić ją bez rodziny? - przerwała bez pretensji w głosie.

- Cholera! Przecież to nie twoja wina!

- Moja! Gdyby nie moja głupota i naiwność, przyszłoby mi do głowy, że mogę być przy nadziei, a wtedy zgodziłabym się wyjść za mąż. Nie byłoby innego wyjścia, a moja córka nie byłaby bękartem. Nigdy nie lubiłam tego fragmentu Pisma Świętego o grzechu rodziców. Nie mogę potępiać własnego dziecka za zbrodnię ojca.

- Naprawdę musisz?

- Ona potrzebuje rodziny, Davidzie. Nawet jeśli rodziną będę tylko ja.

- Będę mógł cię odwiedzać?

- Zechcesz? - Ogarnęło ją wzruszenie.

- Na pewno. Cieszę się, że będę miał siostrzenicę. Blakehurst to głupiec.

Nagle ogarnął ją strach.

- Nie mów tak! Daj mi słowo, że nigdy się z nim o to nie pokłócisz.

- Daj spokój, Theo!

- Obiecuj, Davidzie - poprosiła z naciskiem. Żeby tylko nie przyszło mu do głowy wyzwać Richarda na pojedynek, pomyślała przestraszona.

Zaklął pod nosem.

- No dobrze, niech ci będzie. - Spojrzał na nią z ukosa. - Kochasz go?

- Tak. I on mnie.

- Kocha cię i nie...

- A co ty byś zrobił na jego miejscu? David odwrócił wzrok.

- No właśnie - powiedziała ze smutkiem Thea.

Rozdział osiemnasty

Powóz kołysał się na drodze. Thea siedziała w kącie wpatrzona niewidzącymi oczami w przesuwany się za oknem krajobraz. Prześladowała ją twarz Richarda, jego przepęnlony bólem, pociemniały wzrok.

Może i lepiej, że tak się stało. Zasługiwał na coś lepszego niż los ofiary własnej przyzwoitości. Nie mogła znieść myśli o tym, jak by wyglądało ich życie, gdyby po ślubie zaczął żałować szlachetnego kroku.

Trzeba pogodzić się z tym, że pewnego dnia Richard pokocha inną kobietę. Musi przyjąć do wiadomości, że w konfrontacji z potrzebami jej córki żal po utracie ukochanego po prostu się nie liczy.

Biedna Sophie Grey wychowana bez rodziców, w świadomości, że nikt jej nie chce. Ogarnął ją wstyd. Thea sięgnęła głębiej wspomnieniami do dnia, gdy poczuła pierwsze ruchy dziecka, kiedy po raz pierwszy uświadomiła sobie jego fizyczną obecność, gdy zdała sobie sprawę z tego, że skazała tę niewinną istotę na los podrzutka. Zaczęła się wówczas zastanawiać, czy byłoby możliwe zatrzymanie dziecka, ale zaraz pojawiał się strach, ten sam paraliżujący strach, który dławił ją każdej nocy w koszmarach po tym, co jej uczyniono.

Z ulgą przyjęła słowa ciotki Marii o tym, że dziecko zmarło. Nigdy nie przyszło jej do głowy poddawać to w wątpliwość. Niby dlaczego? To jej rodzice ustalili z ciotką Marią, że dziecko zostanie oddane na wychowanie. Okłamali ją, twierdząc, że dziecko nie przeżyło. Uważali, że dla jej dobra. Niewykluczone, że chcieli oszczędzić jej upokorzeń.

Co teraz? Zyskała szansę przynajmniej częściowego naprawienia wyrządzonej krzywdy. Jeszcze nie jest za późno.

Siedem lat. Siedem długich lat, w czasie których mała Sophie czuła się niepotrzebna i nie zaznała matczynej miłości. Co będzie, jeśli dziecko odpłaci jej nienawiścią? Co będzie, jeśli jej córka okaże się podobna do Lallertona? Jeśli

to podobieństwo będzie przypominało *jej* dramatyczne okoliczności, którym Sophie zawdzięcza przyjście na świat? Nie dopuści do tego! - postanowiła stanowczo Thea.

Uczyliła właściwy wybór, jedyny możliwy, ale smutek Richarda i świadomość tego, co utraciła, pozostanie na zawsze niezabliźnioną raną w jej sercu.

Richard tkwił przed kominkiem. Nie zapalił lamp. Na dworze wciąż jeszcze było widno, ale zaciągnął zasłony, żeby od okien nie wiało wieczornym chłodem. Na stoliku przy fotelu leżała porzucona książka. Nie mógł się skupić na lekturze. Po raz pierwszy w życiu nie znajdował pocieszenia w drukowanym słowie.

Tarring House wydawał się opustoszały. Jak to możliwe? Wczoraj wprowadził się wraz z całą służbą i wiedział, że jest otoczony ludźmi gotowymi spełnić niemal każdą jego zachciankę.

Jednak od dnia powrotu Thei do Londynu miał wrażenie, że świat zmienił się w pogrążoną w ciemnościach pustynię. Opuścił Blakeney bez słowa pożegnania z Maksem i Verity, zostawiając im tylko krótki list. Nie był zdolny do rozmowy.

Czym się zajmie sam jak palec w takim domu jak ten, przeznaczonym dla rodziny? Nie zaprzętało to jego umysłu, gdy kupował tę posiadłość. Zupełnie abstrakcyjnie myślał o dniu, w którym się ożeni, sprowadzi świeżo poślubioną żonę, urządzi pokój dziecięcy. Były to całkiem miłe myśli o czymś oczywistym i oczekiwanym.

Tak było, zanim spotkał Theę i się zakochał. I zanim ją utracił. Teraz dom ział pustką. Dawniej panujący tu spokój był czymś kojącym. Obecnie wszystkie usprawnienia, jakie planował, wydawały się bezcelowe, chyba że ich wprowadzenie pomogłoby mu zapełnić kolejne dni, które niemiłosiernie się wlokły.

Ona nigdy mu nie wybaczy, a on okazał się głupcem.

Pociągnął łyk brandy, patrzył, jak światło z kominka przenika bursztynowy płyn wypełniający kieliszek. W tym momencie usłyszał, że ktoś otwiera drzwi. Nie zadał sobie trudu, żeby spojrzeć w tamtą stronę. Wiedział, kto przyszedł.

- Na litość boską, Ricky - odezwał się od drzwi Max. - Ciemno tu jak w grobowcu. Przeczytałem twój list. Co się dzieje? Twoje zaręczyny...

Cały Max. Zawsze chwyta byka za rogi.

- Już po nich - odparł Richard.

Nigdy nie doszło do ostatecznych ustaleń, ale teraz sytuacja przedstawiała się beznadziejnie. Od początku istniało niebezpieczeństwo, że Thea pośle go do diabła, uświadomił sobie Richard.

- Co to znaczy?

- Nalej sobie. - Richard wskazał bratu karafkę z brandy. - Zaraz ci wyjaśnię.

Max z kieliszkiem w ręku usiadł w drugim fotelu przy kominku. Unikając wzroku brata, Richard opowiedział mu całą historię, niczego nie pomijając. Nie martwił się, co będzie, gdy brat się dowie.

- Odmówiła ci, kierując się interesem dziecka, o którym wcześniej sądziła, że nie żyje? - zapytał, po wysłuchaniu zwierzeń brata Max. - Większość rozsądnych kobiet chętnie zignorowałaby istnienie takiego dziecka.

Richard skinął głową.

- Przedłożyła szczęście dziecka nad własne?

Ponownie potwierdził. Jakie to proste!

Max momentalnie dotarł do sedna, zresztą zgodnie z przewidywaniem. Dlaczego jemu samemu nie od razu przyszło to do głowy?

- To niełatwa sytuacja, Ricky. Ludzie dojdą prawdy. Znajdą się tacy, którzy nigdy Thei nie zaakceptują. Jesteś gotów z tym żyć?

Tak, odparł w duchu Richard.

- Będiesz mnie wspierał? - spytał brata, patrząc mu prosto w oczy.

Wyraz twarzy Maksa nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości.

- Ricky, musisz pytać?

- Nie, ale jedno ci powiem: podjąłem decyzję i nie zamierzam niczego ukrywać. Nie obchodzi mnie, co ludzie powiedzą. Nawet ty. Ożenię się z Theą Winslow, a jej córkę będę traktował jak swoją.

Pod warunkiem, że ona mnie zechce, że nie zniszczyłem wszystkiego z powodu głupiej dumy, pomyślał.

- Doskonale - orzekł Max. - Będę rozpieszczał bratanicę do czasu, aż Verity spełni swój obowiązek i obdarzy mnie córką albo dwiema.

- Bratanicę?

Jakby czytając w myślach brata, Max dodał:

- Będzie nosiła nazwisko Blakehurst, prawda Ricky? Będzie więc moją bratanicą. Powiedz to pannie Winslow. Powiedz jej także, że zostanę ojcem chrzestnym waszego następnego dziecka. Wracam do Verity. - Max dopił brandy i wstał. - Przypuszczam, że jutro wyruszysz bardzo wcześnie. Proponuję, żebyś przywiózł je obie do Blakeney przed uroczystością ślubną. Uzyskanie zezwolenia na ślub bez zapowiedzi potrwa kilka dni. Umawiamy się na przyszły piątek? Porozmawiam z pastorem.

To chyba przesada, uznał Richard.

- Sądziś, że nie potrafię zorganizować swojego ślubu?

- Jeśli pójdziesz w moje ślady... - Max się uśmiechnął.

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

- No cóż, przynajmniej robimy co w naszej mocy, żeby rodzina się rozrastała. Gratuluję ci, Ricky.

- Nie powiedziałaś wszystkiego, prawda?

- Że jesteś cholernym głupcem? Kocioł musiałby przyganiać garnkowi. Poza tym już o tym wiesz. Ale, ale, jest jedna sprawa, o której myślę.

- Jaka?

- Nie poganiaj, myślę.

Richard czekał cierpliwie. Max zapatrzył się w okno.

- Wiesz - przemówił w końcu - jaka hipokryzja panuje w tych sprawach.

- Wyobrażam sobie.

- Nikt nie weźmie ci za złe nieślubnego dziecka. Oczywiście będą szeptali między sobą, że zawsze cię podejrzewali, iż nie jesteś taki porządny, za którego pragnąłbyś uchodzić.

- I co z tego?

- Jednocześnie będą na tobie wieszali psy za to, jakim okazałeś się draniem. Skłoniłeś pannę Winslow do małżeństwa, a potem wsadziłeś jej na kark swoją nieślubną córkę.

Richard patrzył z niedowierzaniem na bliźniaka. Ten roześmiał się i rzekł:

- Przypominam sobie, jak w zeszłym roku pytałeś mnie, czy jestem przy zdrowych zmysłach. Witaj na pokładzie, Ricky!

Richard wyruszył nazajutrz jeszcze przed świtem. Dniało, gdy zbliżał się do Londynu. Zajechał prosto na Grosvenor Square do domu Almerii.

- Zaprowadź konie do stajni, jaśnie pani nie będzie miała nic przeciwko temu. Jutro z samego rana zaprzęgnij świeżą parę, wyruszam wcześniej - rzucił służącemu, który odbierał od niego lejce.

Spojrzał w stronę domu po drugiej stronie placu. Wcześniej wysłał posłańca, Aberfield musiał się więc go spodziewać. Przyjął Richarda w bibliotece.

- Należałoby pana wysmagać - odezwał się Richard bez żadnego wstępu. - Co pan sobie wyobraża?

Aberfield pobladł i cofnął się w stronę dzwonka na służbę.

- Nie radzę nikogo wzywać. Naprawdę chciałby pan, aby służba zaczęła plotkować na temat naszej rozmowy?

- Na litość boską, człowieku! Nikt nie chciał cię oszukać. Gdybyś, jak należy, poprosił mnie o rękę Dorothei, dostałbyś odpowiedź.

- Jaką odpowiedź? Jak pan myśli, o co mi chodzi?

- Oczywiście o to, że czujesz się oszukany teraz, gdy Dorothea przyznała się do utraty cnoty. Powiedziałbym ci. Zapytaj Dunhavena, jeśli nie wierzysz. Jemu powiedziałem.

Richard z trudem opanował się, żeby nie podejść i nie trzasnąć Aberfielda w twarz.

- Czyżby? Powiedział pan Dunhavenowi, że aby zmusić szesnastoletnią córkę do niechcianego małżeństwa, osłaniał pan Lallertona, który ją zgwałcił, by wymóc jej zgodę.

- Zgwałcił? Co za bzdura!

- Ale powiedział pan o tym Dunhavenowi. Dał mu pan do ręki broń, której mógłby użyć, żeby wyrzeć na nią nacisk. I pan uważa się za ojca?

- Idź do diabła, Blakehurst. Czego chcesz? Odrzuciłeś Dorotheę...

Urwał, słysząc hałas dobiegający od drzwi.

- Do cholery, dawaj szybko adres córki Dorothei w Bath! - zawołał Richard, nie zwracając uwagi na ruch przy drzwiach.

- Po co ci to, Blakehurst?

Richard się odwrócił. W progu stał David Winslow.

- To oczywiste, nie uważasz? - odparł Richard.

- Niezupełnie. Wytlumacz mi.

- Chcę się z nią ożenić. Co ty sobie uroiłeś? Że zrobię z niej swoją kochankę?

- Może to lepiej by ci się udało. Wygląda na to, że ona nie chce za ciebie wyjść.

- Strzeliło jej do głowy, że sama wychowa bękarta - wtrącił Aberfield.

- Wiem o tym. Zamierzam uznać to dziecko za swoje - oznajmił Richard.

Zapadło milczenie.

- Tak ci na niej zależy? - odzyskał mowę David. Richard nie zadał sobie trudu, żeby mu odpowiedzieć. Patrzył na Aberfielda, który poszarzał na twarzy.

- Nie zrobisz tego! - syknął.

- Nie obchodzi mnie, co ty o tym myślisz, Aberfield. Ja nazywam się Blakehurst. Zrobię to!

- Niech cię wszyscy diabli, Blakehurst! Musi ci naprawdę bardzo zależeć na tych pięćdziesięciu tysiącach... - Urwał i się cofnął.

Richard wykonał krok w jego stronę. Z szybkością błyskawicy stanął między nimi David.

- Poniechaj go, Blakehurst. Wiem, że zasłużył, ale daj spokój. Dość już skandali wokół naszej rodziny.

- Dopiero będzie skandal, jak ten głupiec weźmie pod swój dach bękarta - pienieł się Aberfield. - Doniesiono mi, że to szczenię jest kubek w kubek podobne do Winslowów. Niebieskie oczy, jasne włosy. Myślisz, że ludzie są głupi i nie wiedzą, ile jest dwa dodać dwa?

- Pana głowa, żeby się nie dowiedzieli - rzucił ostro Richard. - W przeciwnym razie będę zmuszony ujawnić wszystkie detale. Nie wyjdzie pan z tego z twarzą.

Byłaby to ostateczność. Dla tego dziecka byłoby lepiej, żeby prawda nie wypłynęła na wierzch. Aberfield musiał odgadnąć, o czym myślał Richard, bo odzyskał pewność.

- Zaczynasz wreszcie myśleć, Blakehurst. - Na jego twarzy pojawił się wyraz przebiegłości. - Ty przekonasz Theę, żeby wybiła sobie z głowy tę dziecinadę z wychowywaniem dziecka samodzielnie, a ja podejmę kroki w celu odblokowania jej pieniędzy.

Richard już otworzył usta, żeby posłać Aberfielda do diabła, gdy wtrącił się David.

- Nie będzie to trudność nie do przewyciężenia. - Obrzucił przenikliwym spojrzeniem ojca i zwrócił się bezpośrednio do Richarda.

- Mogę coś zaproponować? Richard pokiwał głową.

- Moja propozycja, Blakehurst, jest taka...

Thea wysiadła z powozu. Budynek, przed który zajechała, był niezbyt okazały. W holu panował szary półmrok. Było cicho. Czekala cierpliwie na powrót pokojówki, która zniosła jej wizytówkę do dyrektorki. Drzwi do gabinetu otwarły się wreszcie, pokojówka dygnięciem zaprosiła ją do środka.

- Panna Dale oczekuje pani.

Thea zebrała całą swoją odwagę i weszła. Opinia tej osoby nie miała dla niej żadnego znaczenia, nie mogła jej zaszkodzić. Nie dbała o to, co sobie ta kobieta pomyśli.

- Panna Winslow? Poinformowała pani w swoim liście, że przyjechała pani po Sophie Grey. - Panna Dale wstała na powitanie.

- Zgadza się - potwierdziła Thea.

- Zdaje sobie pani sprawę z tego, że opiekę nad dziewczynką sprawuje... - Panna Dale urwała, nie chcąc zdradzić nazwiska opiekuna, po czym dodała: - Nie mogę jej tak po prostu wydać.

Thea nie zamierzała iść na łatwiznę. Wystarczyłoby wręczyć pannie Dale list od Aberfielda, w którym ten nakazuje wydanie dziecka pannie Winslow, ale jej chodziło o uznanie Sophie za jej córkę.

- Dziewczynka była pod opieką lorda Aberfielda. Oto list, w którym ceduje on obowiązki opiekuńcze na mnie. Jestem matką Sophie.

Panna Dale ze zmarszczonymi brwiami czytała list. Gdy skończyła, popatrzyła zimnym wzrokiem na Theę.

- Rozumiem. Doskonale, wszystko jasne. Przyślę pani dziecko i poproszę pokojówkę, żeby spakowała jej rzeczy. - Wstała zza biurka. - Pozwoli pani, że ją zostawię samą, panno Winslow.

- Proszę nie mówić Sophie, kto do niej przyjechał, tylko że zostanie zabrana do domu. Sama jej wytłumaczę, kim jestem.

Skinienie głową było jedyną odpowiedzią. Thea przysięgłaby, że panna Dale, przechodząc obok niej, przytrzymała spódnicę, żeby przypadkiem nie dotknąć jej sukni.

Oczekiwanie dłużyło się nieznośnie. Co będzie, jeśli nie wzbudzi sympatii w dziecku? A jeśli córka okaże się podobna do ojca? Co będzie, jeśli ona sama nie zdoła jej pokochać? Mała nosi imię Sophie. Nie „dziecko”, tylko Sophie. Ma imię, wkrótce będzie miała twarz, osobowość... Nie można nie polubić siedmioletniego dziecka, bez względu na to, co zrobił jego ojciec.

Otworzyły się drzwi, weszła pokojówka, za nią stała przestraszona dziewczynka. W bladej buzi zwracały uwagę szeroko rozwarte oczy. Pokojówka delikatnie popchnęła ją przez próg.

- Śmiało, dziecko. Ta pani zabierze cię do prawdziwego domu.

Przez chwilę Thea tylko patrzyła. Delikatne, jasne pukle, takie znajome, niebieskie oczy, rączka przyciśnięta do buzi.

- Sophie? Kiwnięcie głową.

- Powiedzieli ci coś? Kim ja jestem? Przeczący ruch głowy.

- Nie, proszę pani. Tylko że pani mnie stąd weźmie do prawdziwego domu.

W głosie dziewczynki dało się wyczuć obawę. A może ona nie chce być stąd zabrana, może ma tu przyjaciółki? Theę ogarnęły wątpliwości.

- Co o tym myślisz? Chciałabyś ze mną zamieszkać? Tym razem kiwnięcie głową było zdecydowane.

- Tak, proszę pani. To prawda? Będę miała prawdziwy dom?

- Tak, Sophie.

- Z panią?

- Tak.

Miała jeszcze tyle do powiedzenia. Jak tu mówić, gdy dusi ją w gardle, a oczy zachodzą łzami?

- Dlaczego?

Jak odpowiedzieć na takie pytanie? A nie odpowiedzieć nie można.

- Bo... jestem twoją mamą.

Dziewczynka zrobiła dwa kroki do przodu, potem jeden do tyłu. Popatrzyła podejrzliwie.

- Nie mam mamy. Takiej, która mnie chce. Tak mi powiedzieli.

- Nie, Sophie. - Thea zamrugnęła powiekami, żeby ukryć łzy. - To nieprawda. Ja ciebie chcę. O twoim istnieniu dowiedziałam się dopiero kilka dni temu. Powiedzieli mi, że umarłaś.

- Ale ja nie umarłam.

- Nie. I ja ciebie chcę.

- Naprawdę jesteś moją mamą?

Thea zamknęła oczy. Było jej coraz trudniej powstrzymać łzy.

- Naprawdę.

- Mogę cię nazywać mamą?

Nigdy jeszcze żadne słowo nie brzmiało równie słodko, równie pieśczośliwie w uszach Thei.

- Oczywiście, Sophie.

Dziewczynka zrobiła dwa kroki do przodu, potem jeszcze dwa. Mała, klejąca się, poplamiona atramentem rączka pochwyciła dłoń Thei. Przyciągnęła córkę do piersi. Po raz pierwszy od czasu, gdy dziecko opuściło jej ciało, tuliła je w ramionach. Jakie cudowne uczucie! Czując pod brodą miękkie włosy dziewczynki, wtulone w nią drobne ciało, Thea wiedziała, że postąpiła właściwie. Inne zachowanie nie wchodziło w grę.

Nie odzywały się jedna do drugiej. Thea myślała o tym, ile straciła: pierwszy uśmiech, pierwsze kroki, słowa dziecka. Jednak zaraz przepełniła ją radość z pierwszego spotkania i tych wszystkich radosnych wydarzeń, które były przed nimi.

- Czy będę miała tatusia? - zapytała Sophie, odrywając główkę od ramienia Thei.

Thea wiedziała, że takie pytanie kiedyś padnie. W tej chwili musiała powiedzieć córce półprawdę, że jej ojciec nie żyje.

- Twój tatuś... - zaczęła ostrożnie.

- ...spóźnił się - odezwał się od drzwi znajomy głos - i bardzo za to przeprasza.

Oszołomiona Thea patrzyła, jak Richard zbliża się do nich, lekko utykając. Konstrukcja, którą z taką starannością budowała w ostatnich dniach, legła w gruzach. Sophie silniej przywarła do jej ciała.

- To mój tatuś, mamusiu?

Thea nie znajdowała słów. Jak odpowiedzieć na pytanie dziecka, jak pokonać stan zdumienia? Patrzyła w podejrzenie błyszczące oczy Richarda. Ukląkł obok niej i Sophie, która kurczowo trzymała się dłoni świeżo odzyskanej matki.

Richard bez słowa wyciągnął rękę do Sophie.

- Jesteś moim tatusiem? - zapytała dziewczynka. Uśmiechnął się tym swoim krzywym uśmiechem, który

Thea tak lubiła.

- Tak, kochanie, jeśli mnie zechcesz. Jeśli twoja mama mnie zechce. Mamy dom, który czeka na całą naszą trójkę, i coś mi się zdaje, że w stajni znajdziesz dla siebie kucyka.

Thea wreszcie zrozumiała. Uzmysłowiła sobie głębię jego miłości. Pytania stały się zbędne.

Godzinę później zmęczona wrażeniami, ukołysana do snu jazdą Sophie spała w objęciach Thei.

- Nie jest ci ciężko? - spytał Richard.

- Jest, ale nic nie szkodzi.

- Daj mi znać, jak poczujesz, że mdleją ci ramiona. Jechali w milczeniu.

W końcu Thea musiała zadać nurtujące ją pytania.

- Richard?

- Słucham, kochanie.

- Dokąd jedziemy?

- Do domu, a dokąd by? Po drodze wpadniemy do Blakeney.

- Ale co powie twój brat?

- Cieszy się z bratanicy, którą będzie mógł rozpieszczać, i gotów jest zostać ojcem chrzestnym naszego następnego dziecka. To jego słowa. - Wziął jej dłoń do ręki. - A wcześniej on i Verity zostaną świadkami na naszym ślubie.

- Ale..

- Ale jesteśmy Blakehurstami. Powiem ci, jeśli cię to interesuje, że Max zazdrości nam, ponieważ okoliczności naszego ślubu są bardziej skandaliczne niż jego przed rokiem. - Poglądził ją po policzku.

- Nikt poza Makssem nie zaakceptuje Sophie. Będziesz podlegał towarzyskiemu ostracyzmowi.

- Za co? Za to, że uznałem własną córkę?

- Własną córkę? - Thea pojęła, jak daleko Richard jest gotów się posunąć.

- Moją córkę - potwierdził. - Max uzmysłowił mi panującą w tych sprawach hipokryzję. Ludzie będą mnie potępiać za swobodne obyczaje, za to ciebie wychwalać pod niebiosa za gotowość do uznania mojego dziecka.

Thei w pierwszej chwili spodobało się takie rozwiązanie, ale zaraz ogarnęły ją wątpliwości.

- Nic z tego, Richardzie. Spójrz na nią! Jest jak dwie krople wody podobna do...

- Do rodziny Winslowów, widzę to. Podejrzewam, że w związku z jej uznaniem przeze mnie zaczną krążyć jeszcze głupsze plotki, że Sophie nie jest ani twoja, ani moja, lecz twojego brata. Ludzie uznają nas za świętych. Trochę to może krępujące dla twojego brata, ale to był jego pomysł. Będzie udawał, że do tej pory utrzymywał ją i jej matkę, ale po niedawnej śmierci matki musiał inaczej zapewnić dziecku opiekę.

Milczenie Thei zatrwożyło Richarda.

- Rozumiem, że chciałabyś ją mieć wyłącznie dla siebie, ale tak będzie dla niej lepiej. Chociaż ludzie zaczną przypisywać ojcostwo twojemu bratu, moje oficjalne uznanie zapewni jej odpowiednią pozycję w świecie.

- Zrobisz to dla mnie?

Otoczył ją ramieniem. Czuł, że postępuje właściwie.

- To i jeszcze więcej.

Pogłaskał miękki, jedwabisty policzek śpiącego dziecka.

- Ona nie miała niczego - odezwała się Thea - oprócz wstydu i świadomości, że własna rodzina jej nie chce. Wiedząc o tym, nie mogłam jej porzucić.

- To prawda, nie mogłaś. - Zacisnął ramię wokół Thei. - Kiedy to zrozumiałem, uzmysłowiłem sobie, jakim głupcem byłem, że się wahałem.

- Nie potrafię myśleć o niej, że jest jego - odezwała się cicho. - Ona jest moja... - Thea zawahała się.

- I moja - zapewnił. - Tak, kochanie. Naprawdę tak myślę. Nie tylko prawnie moja, ale pod każdym innym względem. Ta mała dziewczynka, która śpi w twoich ramionach, to Sophie Blakehurst, nasza córka.

Otoczył je obie ramionami. Czuł ogarniającą go bezbrzeżną radość brania i dawania w równej mierze.

- Kto oddaje tę oto kobietę temu oto mężczyźnie?

Thea niepewnie uśmiechnęła się do Davida, który oddawał jej rękę pastrowi po to, by ten złożył ją na dłoni Richarda.

- Ja, Richard Alexander, biorę cię, Dorotheo Sophie, za ślubną małżonkę...

Thea wiedziała, że za jej plecami stoi Verity, trzymając Sophie za rączkę, a za plecami Richarda - z dumną miną Max. Usłyszała głęboki i zdecydowany głos Richarda, powtarzającego za kapłanem słowa: ...i przyrzekam cię kochać, szanować i wspierać na dobre i złe, dopóki śmierć nas nie rozłączy...

Thea nie starała się ukrywać spływających po policzkach łez. Zaciemniały jej obraz i niemal uniemożliwiały wypowiedzenie przysięgi, gdy przyszła jej kolej. W swoim sercu dawno już złożyła śluby. Ale tu, w starym kościółku, słowa dźwięczały wyraźnie, tym donioślejsze, że wypowiedziane i przyjęte.

Richard wsunął jej na palec obrączkę i trzymając jej dłoń w swoich dłoniach, dokończył ślubów:

- Przyjmij tę obrączkę na znak mojej miłości, którą ci ofiaruję wraz z moim ciałem i wszystkimi dobrami doczesnymi, jakie posiadam...

Przyjęcie ślubne dobiegło końca. Nadszedł czas pożegnań. David odprowadził świeżo poślubioną panią Richardową Blakehurst do powozu męża, uściskawszy ją na pożegnanie. Wraz z Sophie Blakehurst wyjeżdżali na noc poślubną do Tarring House. Verity chciała zatrzymać Sophie u siebie, ale Richard i Thea woleli mieć córkę przy sobie. Wszystko, co wokół niej się działo, było takie nowe i nieoczekiwane, że mała nie odstępowała świeżo odzyskanej mamy, jak gdyby w obawie, że wraz z nią zniknie jej nowe życie.

Richard stał przy oknie sypialni i czekał. Thea poszła ułożyć do snu Sophie i opowiedzieć jej bajkę na dobranoc. Gdy wróci... Jakże jej pragnął!

Tak niewiele było okazji do rozmowy w dniach poprzedzających uroczystość ślubną. Thea przebywała w Blakeney, a on tutaj. Czy boi się tego, co ma nastąpić?

Usłyszał, jak otwierają się drzwi. Odwrócił się od okna. Wyczuł jej wahanie. Nieśmiałość czy obawa? Tak długo była u Sophie...

Weszła do pokoju oświetlonego jedynie ogniem na kominku i kilkoma świecami umieszczonymi w kandelabrze stojącym na półce nad kominkiem.

- Przepraszam, że tak długo. Chciała, żebym przy niej posiedziała. Wszystko dla niej jest nowe. Musiałam poczekać, aż zaśnie.

Richard przestał się bać. Wyciągnął rękę do żony. Natychmiast do niego podeszła.

- To nasza noc poślubna.

- Tak.

- Chcesz teraz? Nie poczekamy?

- Nie. Na co? Żebym cię bardziej pokochała? Bardziej cię pragnęła?

- Pragniesz mnie?

- Tamtego wieczoru, gdy tu byliśmy i prawie uwiodłeś mnie w salonie, wiedziałeś, że cię pragnęłam. Nic się nie zmieniło. Richardzie, jeśli tego nie chcesz...

Uchwycił jej dłoń, uniósł do ust i całował drżące palce. Potem przesunął nią wzdłuż swego spiętego ciała. Dotknięcie niemal parzyło jego skórę, mimo że miał na sobie szlafrok. Następny ruch pozostawił Thei.

- Mężczyźni mogą udawać prawie wszystko, ale nie to. Poczuj, jak bardzo cię pragnę - poprosił chrapliwie.

Gotów był zrezygnować w każdej chwili. Nagle poczuł dotknięcie, lekkie jak muśnięcie pajęczyny. Zadrżał, usiłując powstrzymać odpowiedź swego ciała. Nie udało się. Z ust Thei wydobył się stłumiony okrzyk.

- Nic się nie stało, kochanie. Jeśli nie chcesz, nie musisz. - Pochwycił jej dłoń.

Uciszyła go pocałunkiem. Zagłębił się we wnętrzu jej gorących ust.

Wyrwała mu swoją dłoń i dotknęła go raz jeszcze, lekko i jakby z wahaniem. Richard rozpaczliwie zapragnął też jej dotknąć. Drżącymi palcami rozwiązywał tasiemkę jej koszuli. Ustąpiła, odsłaniając delikatne, kremowe piersi. Całował je i pieścił bez opamiętania, a ona wiła się z rozkoszy i wykrzykiwała jego imię.

- Lubisz to?

- O, tak, tak - szeptała gorączkowo. Przywarła do niego całym ciałem. Wszelkie obawy pierzchły, napawała się jego bliskością.

- Obiecuj coś, Thea.

- Obiecuję. - Nie chciała, aby przestał, nie dbała o to, jakiej obietnicy on oczekuje.

- Spójrz na mnie.

Otworzyła oczy. Odsunął się od niej na odległość wyciągniętego ramienia.

- Pamiętaj, że w każdej chwili będziesz mogła poprosić mnie, bym przestał: Obiecuję, że jeśli będziesz się czegoś bała albo nie będziesz czegoś chciała, powstrzymasz mnie.

Patrzyła oszołomiona. Wiedziała, jak bardzo Richard jej pragnie. Ale w jego oczach było coś jeszcze: bezmiar miłości i czułości. A także obawa, żeby spełniając akt wzięcia żony w posiadanie, nie utracić jej. Jeśli potrzebowała jeszcze jednego dowodu miłości męża, to go miała.

- Obiecuję pod pewnym warunkiem - szepnęła, sięgając do paska szlafroka Richarda.

Złapał ją za rękę.

- Jakim warunkiem?

Thea pociągnęła za koniec paska.

- Że nie zatrzymasz się, jeśli cię o to nie poproszę.

- Myślę, że mogę ci to obiecać.

Thea obudziła się o świcie. Jasna poświata złociła pokój i łóżko, w którym leżała wtulona w męża. Objęta jego ramionami, z policzkiem przytkniętym do jego piersi, nogami splątanymi z jego nogami. Przepęniało ją szczęście. Każde włókienko jej ciała pulsowało spełnieniem. Przywarła do niego jeszcze bliżej, pocałowała go w ramię. Poruszył się.

- Nie śpisz?

Zapytał tak cicho, że gdyby spała, toby jej nie zbudził.

- A jeśli nie?

- Będę musiał poczekać albo cię obudzić.

Budził ją w nocy kilka razy, okazując jej czułość i namiętność. Uśmiechnęła się.

- To śpię - powiedziała.

Zaśmiał się i zaczął ją budzić. Budzić do życia, do radości, do szczęścia.

Epilog

Stukot podków na podjeździe wyrwał Theę z drzemki w cieniu dębu. To kłusowała Sophie. W pewnej odległości za nią jechał Richard.

- Mamusiu, tatuś uczył mnie skakać przez pień drzewa! A wujek Max powiedział, że to był wspaniały skok.

Dziewczynka zatrzymała kucyka przed fotelem matki. Mały konik spuścił głowę na kolana Thei i wydmuchując głośno powietrze, domagał się pieszczot. Thea pogłaskała jego aksamitne chrapy.

- A co powiedział tatuś? Richard zeskoczył z siodła.

- Tatuś mówi, że jego córka bezwstydnie owinęła sobie wujka Maksa wokół palca - odezwał się.

Jego córka. Serce Thei wezbrało radością. W głosie Richarda było tyle miłości. Nawet przyjscie na świat sześć miesięcy temu małego Davy'ego nie odmieniło stosunku Richarda do Sophie. Ich więź nawet się zacieśniła.

- Jak tam Davy? - zapytał, całując ją delikatnie. Thea z dumą spojrzała na wózek obok fotela.

- Śpi. Właśnie go nakarmiłam. Dojechaliście do Blakeney?

- Nie - odpowiedziała Sophie, zsiadając z kucyka. - Wujek Max wyjechał nam naprzeciw. Mówił, że cici Verity nie wolno teraz jeździć konno, a powozem nie może, bo ma mdłości.

Richard potwierdził uśmiechem nieme zapytanie Thei.

- Tak. Max poinformował mnie, że znowu zostanę wujkiem. Zawział się, żeby nas dogonić. Twierdzi, że oszukujemy.

- Wspaniała wiadomość i świetny pomysł. Może powinniśmy trochę więcej pooszukiwać?

- Następna bezwstydnica. Jestem nimi otoczony - zażartował Richard.

- Dlaczego on ciągle śpi? - zapytała Sophie, patrząc na brata.

- On rośnie. Tak jak ty. Idź do Nell i poproś o szklanekę mleka i kawałek ciasta - poradziła matka.

Sophie spojrziała na nią z wyrzutem.

- Najpierw muszę zaprowadzić Astrę do stajni. Tatuś mówił, że zawsze najpierw trzeba zadbać o kucyka.

- Masz rację, kochanie - pochwalił ją Richard. - Zaprowadź ją więc, a potem poproś o mleko i ciasto.

Thea i Richard z dumą patrzyli na oddalającą się dziewczynkę.

- Ona jest taka szczęśliwa, Richardzie. Dziękuję ci.

- Za co? Za to, że byłem na tyle rozsądny, żeby poślubić kobietę, którą kocham, i zyskać córkę?

- Za to, że jesteś sobą. I za to, że miałeś tyle rozsądku, jeśli musisz już używać takiego określenia.

- Znajdę później inny sposób, aby to wyrazić.

Uniósł Theę z fotela i usiadł w nim, trzymając ją na kolanach. Rozwiązał jej czepek, rzucił go na trawę, zanurzył twarz w płowych włosach.

- Czasami - mruczał, całując ją w ucho - nie mogę uwierzyć, że wybaczyłaś mi moją głupotę. - Przerażała go wciąż myśl, że był tak blisko utraty Thei.

- Na tym polegał mój zdrowy rozsądek.

Objął ją silniej. Spodziewał się szczęścia w małżeństwie i je znalazł. Czego się nie spodziewał, to że takie cudowne chwile jak ta, w której trzymał ukochaną w ramionach, opromienią szczęściem całe jego życie, także to, w którym jeszcze nie było Thei.

